

Antonina Domańska

Przy kominku

Wstęp

**Antonina Domańska,
powieściopisarka i działaczka
pracująca w organizacjach
opiekujących się dziećmi,
urodziła się w roku 1853 w
Kamieńcu Podolskim, zmarła w
roku 1917 w Krakowie.
Debiutowała w roku 1890 drobnymi
utworami dla dzieci, a następnie
od 1909 roku zaczęła pisać
powieści historyczne, które
stały się bardzo popularne wśród
ówczesnych czytelników
dziecięcych.**

**Głęboka znajomość epoki,
oparta na sumiennych studiach
historycznych, umiejętność
sugestywnego odtwarzania klimatu
opisywanych czasów, barwna,
niekiedy wręcz sensacyjna
fabuła, żywe postaci i humor -
to wielkie zalety pisarstwa
Domańskiej, dzięki którym jej
książki wznawiane są do dziś. Do
najczęściej wydawanych powieści
należą "Paziowie króla
Zygmunta" (1910), "Historia
żółtej ciżemki" (1913) i "Krysią
Bezimienna" (1914).**

**Książka "Przy kominku" ukazała
się po raz pierwszy w roku 1911.
Jest to zbiór baśni osnutych na
tradycyjnych motywach podań
ludowych. Czytelnicy, którzy
lubią baśnie, na pewno
przeczytają ją z
zainteresowaniem i dużą
przyjemnością. Zetkną się tu z
nowymi, nie znanymi sobie**

wątkami i będą mieli okazję
wzbogacić swoje słownictwo,
baśnie bowiem napisane są
stylizowanym językiem,
naśladowującym mowę polskiej wsi
z czasów, kiedy w powszechnym
użyciu były jeszcze gwary.
(Wiesława Skład)

Gdy w śpiewie ptaszków słyszę
ludzką mowę,@ gdy w kwiatach
widzę zakłętą królową,@ we mgle
korowód rusalek powiewny,@ a w
soplach lodu stroje
brylantowe...@

Gdy zbrodnia smocze skrzydła
rozpościera,@ a złość w osobie
staje czarownika,@ z klatki
złocistej rajski ptak umyka,@ a
znad strumienia dziwotwór
wyziera...@

Powietrzem płyną niewidzialne
grajki,@ a krasnoludki skaczą w
takt muzyki,@ w skalnych
szczelinach kryją się
chochliki...@ Ludzie się
śmieją... bajki, bajki, bajki!@

Wy - ludzie mali, tego nie
powiecie,@ bo wam nie dziwne,
smoki, czarownicy,@ ptaki
mówiące i błędne ogniki.@

Wy rzucać urok najlepiej
umiecie,@ wam każda chwila nowe
stwarza cuda,@ wasz świat ułuda,
a światem ułuda.@

Rycerz Taran

Dawno już temu bardzo żył w
ubogiej wiosce nad Wisłą rybak
stary. Miał trzech synów;
najstarszy wiosłował tak
zręcznie, że gdy się puścił w
swej łodzi na rzekę, nie było na
dziesięć mil wokoło takiego, co

by go prześcignął. Przy tym
zastawiał sidła na ptaki tak
jakoś sprawnie, że ile tylko
zechciał, tyle nałapał. Młodszy
syn łowił wybornie ryby na
wędkę, przy czym gwizdał
prześlicznie, a rybki,
oczarowane muzyką, procesjami
się gromadziły i nieledwie ręką
dawały się chwytać. Trzeci syn
wcale nie był uczony ani
zręczny, ani sprytny, za to siłę
miał olbrzymią i prawdę palił
prosto z mostu, czy go o to
proszono, czy nie.

Ludzie zaś dziwne mają
usposobienie... gdy im kto powie
na przykład: "Strasznie masz nos
czerwony" albo: "A to z pani
bajczarka!", albo: "Co prawda,
to nie grzech, prochu wcale nie
wynałazłeś", to się dąsają i
obrażają.

Więc też nie cierpieli wszyscy
Jacusia i przezwali go
"Taranem". Wyraz ten oznacza,
jak wiadomo, narzędzie ciężkie i
grube, a służy do rozbijania
murów i łamania skał. Ale Jacuś
nic sobie z tego przezwiska nie
robił, owszem, nawet lepiej mu
się podobało być Taranem, niż
Jacusiem.

Pewnego dnia ojciec i dwaj
starsi synowie poszli z siecią
na ryby. Jacuś ofiarował się z
pomocą, a w myśli sobie
powtarzał: "Muszę strasznie
uważać, bym czego nie spletał i
tatuś mnie znów nie łajali. Ta
sieć taka cieniutka i
słabiuchna niczym tiul, sama się
w rękach rozłazi". A sieć była z

grubego szpagatu, ino jego ręce tak wszystko targały. Przebierał tedy delikatnie palcami, żeby sieci nie popsuć, i trzymając za jeden koniec zapuszczał ją do wody, a bracia z ojcem we trzech trzymali drugi koniec. Jakoś wcale nieźle się udało, czuli, że ryb musi być pełno, bo ledwie mogli uciągnąć. Widząc Jacuś, że im ciężko, chciał za nich siłą nadłożyć, jak też z lekka ino od

swego końca szarpnął, tak tamci sieć puścili, popadali na ziemię, a ryby pouciekały.

- Nie źlijcie się, tatusiu, na mnie - przepraszał Jacuś pokornie - do takiej roboty trza słabowitego człowieka; co ja temu winien, żem taki mocny.

Gdy bracia wyrzekali na niezgrabiasza i zabierali próżną sieć do domu, pokazało się, że coś ciężkiego zaczepiło się na samym dnie. Żaden nie mógł wyplątać ani udźwignąć.

- Chodź no ty, Waligóro Taranie, zobacz, co tam takiego wisi.

A Jacusiowi aż się oczy zaiskrzyły. Ledwie rękę do sieci włożył, bez żadnego trudu wyciągnął ów ciężki przedmiot... Był to miecz ogromny, z błyszczącej stali, bez śladu rdzy, choć, po wielkości i kształcie sądząc, bardzo był stary i pewno setki lat w wodzie przeleżał.

- Wiwat! - zawołał Jacuś. - Mam sobie mieczyk jak się

patrzy, teraz walę w świat i
zdobę królestwo!

Śmignął olbrzymi oręż w górę,
wykręcił nim młyńca i oparł
końcem o ziemię. Bracia chcieli
mu wydrzeć zdobycz z ręki, ale
we dwóch nie byli w stanie
dźwignąć miecza, więc dali
spokój.

- Oj, głupi, głupi... -
roześmiał się ojciec -
królestwo będzie zdobywać!
Myślisz, że wystarczy miecz w
ręku, żeby królem zostać?

Ale Jacuś nie dał sobie
wyperswadować: "Pójdę i pójdę,
nie brońcie mi".

Na drugi dzień zerwał się
raniuteńko, pożegnał rodziców,
braci i powędrował w świat.

Idzie, idzie, idzie, idzie, aż
mu się dziwno zdaje, że ten
świat taki ogromny. Co
przejdzie jedną rzekę, to za
małą chwileczkę skądś się
druga bierze. To znów góra przed

nim wysoka, aż pod samo niebo;
dalejże Jacuś na górę, niech już
raz będzie koniec. Gdzie tam...
wylazł na szczyt, a tu pola,
rzeki, lasy i góry przed nim -
pola, lasy, rzeki i góry za nim.
Cóż to za robota znowu, nigdy
końca nie będzie, czy co
takiego? I wali prosto przed
siebie.

Na pszenicy siedzą wróble i
ćwierkają:

- Dziw, dziw, dziw... Jacuś
idzie w świat, świat, świat!

A wilga się wyśmiewa:

- Fiju, fiju... wesołej drogi!
Kruki na drzewie przypatrują
mu się z góry i krzyczą:

- Aha, Taran! Aha, Taran!

- Znacie mnie? Ano, to dzień
dobry wam!

I poszedł znowu prosto przed
siebie.

- A to nudno, jak Boga kocham,
na tym szerokim świecie...

Gadają ludzie o smokach, o
lwach, o tygrysach... gdzie tu
jaki smok? Gdzie tygrys? Żeby
choć niedźwiedź się nadarzył,
toby się człowiek poborykał,
miecza spróbował... Droga
szeroka, gładka, aż się spać
chce.

Ściemniało się już dobrze, gdy
Jacuś doszedł do jakiegoś
ogromnego lasu. Idzie, idzie,
patrzy... światełko. Zbliża się
po cichutku, gałązki rękoma
odgarnia, dech w sobie
wstrzymuje, bo strasznie
ciekawym, co by to było, a nie
chce, żeby go spostrzeżono. Z
trzech stron ściany skalne,
ognisko wielkie się pali, przed
nim czterech brodaczy
strasznych, z nożami, pałkami...
ani chybi rozbójnicy. A w kącie
na ziemi leży człowiek
skrępowany i jęczy.

- Dobrze nam się udało, żeśmy
starego przyłapali - powiada
jeden zbójca - musi nas do zamku
zaprowadzić i dać swoich skarbów
choć połowę.

- Ej, chytry z niego czarownik

- odparł drugi - nic nie da,

jeszcze nas gotów w jakie psy
albo koty pozaklinać.

- Albo to prawda? Póki ręce i
nogi związane, póty nam nic nie
zrobi. A nie zechce po
dobroci, to mu skórkę nad ogniem
przypieczemy, i koniec.

- A niedoczekanie wasze, lotry
bezecne! - krzyknął Jacuś
wskakując do jaskini. - Zaraz mi
puszczajcie wolno tego
człowieka, bo...

- Strasznie się ciebie boimy,
głupi młokosie! - wrzasnął
przywódca zbójców. - Nas
czterech, a tyś sam jeden!
Krucho z tobą!

I porwali się wszyscy do
broni.

A Jacuś jak nie zakręci młyńca
swoim mieczem olbrzymim, tak
dwie głowy od razu na ziemi
leżały. Machnął drugi raz,
przeciął trzeciego zbója na dwa
kawały, a czwartego płazem
lekuśko po łbie smyrgnął i zabił
na miejscu. Po czym rozciął
więzy staruszka i rzecze:

- Idźcie teraz do domu
spokojnie, już wam te pajace nic
złego nie robią; pokładli się
na ziemię jak trusie i śpią.

Stary czarodziej podziękował
bardzo Jacusiowi i zaprosił go
do swego zamku. W jaskini leżała
latarka, zaświecił ją i poszli.

Idą, idą pod górę, a tak
stromo, jakby się kto na ścianę
drapał. Ale jakoś wyszli na
wierzch. I znowu gęsty las, a w
tym lesie skała gładka niczym
szkło, a czarna jak węgiel.
Czarodziej uderzył trzy razy
laseczką w oną skałę, zagrzmiało
gdzieś w głębi, rozsunęły się
głazy i weszli w jakiś korytarz
wąski a długi. Skała się za nimi

na powrót zamknęła, poszli
prosto jak strzelił i trafili do
ogromnej sali, w której nie było
okien, tylko złota kula wisiała
u pułapu i od niej światło biło,
aż oczy bolały.

Nagle szare, brudne łachmany

opadły z czarownika i ukazał się
oczom Jacusia wysoki starzec, ze
srebrzystą po pas brodą, w sukni
białej, atlasowej, całej usianej
gwiazdami. Zaprowadził Jacusia
do pięknej komnaty z obiciem
haftowanym w przeróżne osoby,
drzewa i kwiaty. Na środku był
stół nakryty cieniusieńkim
obrusem, w srebrnych naczyniach
potrawy przewyborne, w
krystalowych karafkach wina
wyśmienite, w złotych koszykach
owoce zamorskie, słowem,
jedzenie, jakiego Jacuś nie
tylko nigdy nie kosztował, ale
nawet w życiu nie widział.

Zanim się chłopiec napatrzył i
opamiętał, czarodziej się gdzieś
podział. Zasiadł tedy Jacuś do
stołu, spożył doskonałą
wieczerzę, popił winem starym,
zakąsił brzoskwinia i ananasek,
przeciągnął się, ziewnął, patrzy
na ścianę, aż tu zegar wisi
złocisty... wyskoczyła z niego
kukułka, zatrzepotała
skrzydełkami i zakukała
dwanaście razy. Więc się prędko
rozebrał i poszedł spać. A co za
łóżko było wspaniałe! Poduszki
jedwabne, poszewki haftowane,
kółdra złotolita, a nad głową
baldachim adamaszkowy! Spało się

też to, smacznie spało, jak
nigdy w życiu.

Rano słońce zagląda do okien,
Jacuś nie chce wstawać, obrócił
się do ściany i śpi dalej. Aż tu
coś zaszumiało mu nad głową; nie
mógł się wstrzymać od
ciekawości, spojrzął, papuga
zlatuje jakby od sufitu, kłania
mu się nisko i rzecze:

- Najniższa służa pana
dobrodzieja! Mam zaszczyt
zawiadomić Jego Wielmożność, że
mistrz Furibundus, największy z
magów całego świata, życzy sobie
pomówić parę słów z Wielmożnym
Taranem.

Zerwał się Jacuś na równe
nogi, aliści wanna z ciepłą wodą
wyłazi spod podłogi... więc się
zaraz wykapał.

Chce się ubierać - na krześle
przy łóżku strój wojskowy,
złotem szamerowany mundur
pułkownika. Epolety
szczerozłote, spodnie z łosiowej
skóry, buty po kolana, ostrogi
srebrne, a miecz starożytny
spoczywa w nowej pochwie, bogato
cyzelowanej, na złotym
pendencie. * Już się Jacuś
niczemu nie dziwił, ubrał się
ino śpiesznie i za papugą do
czarodzieja podążył. Papuga
naturalnie podlatywała naprzód i
ogłądała się raz po raz na
Jacusia; a co się obejrzała, to
fik_mik - przewróciła koziołka z
wielkiego uszanowania. Zapukała
dziobem we drzwi, a te się same
otworzyły. Jacuś wszedł do

**komnaty. Była to widocznie
pracownia astrologa: narzędzia
jakieś tajemnicze - niby trąby,
niby rury - stały na trójnogach
wysokich, skierowane do sufitu,
a cały sufit szklany z
rozsuwanymi szybami.**

**Pendent - pas zakładany przez
ramię, służący do noszenia broni
białej, np. szabli, szpady itp.**

**Mistrz Furibundus siedział
przy stole i wymierzał cyrklem
jakieś linie, a znać cyfry
złotym ołówkiem na pergaminie.
Przywitał Jacusia skinieniem
głowy, kazał mu usiąść przy
stole i tak się odezwał:**

**- Już wczoraj wiedziałem, że
moce nadludzkie tobą się
opiekują, gdy sam jeden czterech
zbójców pokonałeś. Jeden rzut
oka wystarczył mi, by się
przekonać, że posiadasz skarb
wielki, miecz księcia Bojomira.
O tym mieczu historia nas uczy,
że nazywał się Pogrom, należał
do najwaleczniejszego rycerza na
świecie; po jego śmierci wrzucon
został na dno rzeki głębokiej,
gdzie miał spoczywać lat dwa
tysiące i dostać się w ręce
niewinne człowieka, który nigdy
nie skłamał, a którego los
wybrał do wielkich czynów.
Pytałem gwiazd dziś w nocy,**

**jakim prawem oręż ten dostał się
w twoje posiadanie. Wyczytałem w
nich odpowiedź, że syn rybaka,
Jacus, zwany Taranem, jest
właśnie owym młodzieńcem
prawdomównym, niewinnym a silnym**

**i że ma spełnić wielkie dzieło,
a mianowicie wyzwoli z zaklęcia
nader niebezpiecznego królowną
Morganę. Tyle powiedziały
gwiazdy.**

**Jakimi czarami spętana jest
królowna, gdzie jej szukać, w
jakiej świata stronie, o tym się
nie mogłem dowiedzieć. Ale mam
jeszcze sposób: ranek jest
piękny, wolno mi rozmówić się z
promieniem słońca. Zobaczymy, co
on nam powie.**

**Powstał stary czarodziej,
wyjął ze szklanej szafy
malusieńkie krzeselko z kości
słoniowej i postawił je na
stole. Po czym odsłonił firankę,
otworzył okno z południowej
strony, słoneczne blaski wpadły
szerokim strumieniem do komnaty.
Krzeselko z kości słoniowej całe
było zalane światłem. Mistrz
Furibundus chwycił to światło w
ręce, zaczął je miąć, zwijać,
skręcać, aż uformował malutką
osóbkę, strasznie fertyczną,
ruchliwą, uśmiechniętą, z
oczkami barwy topazu, a włosami
krętymi z dukatowego złota.
Osóбка usiadła na krzeselku i
spytała:**

**- Czego żądasz ode mnie,
mistrzu?**

**- Powiedz mi - rzekł
Furibundus - gdzie przebywa
Morgana, córka królewska?**

**Promień słońca namyślał się
długo, kręcił główką w prawo i w
lewo, aż z loków iskry latały, w
końcu rzekł:**

**- Znam wszystkie a wszystkie
królowny na całej kuli
ziemskiej; gdzie nikt wejść nie
zdola, tam ja z łatwością
wpadam. Widziałem dzieci
królewskie biegające dokoła**

**fontanny o kroplach tęczowych,
widziałem księżniczki jadące**

**konno z sokołem na rękę,
widziałem - rzadko wprawdzie -
królowny niosące pociechę do
chat nędzarzy, widziałem córki
cesarza chińskiego, o
poczernionych brwiach i
skrępowanych nóżkach, widziałem
królowny hotentockie i
przysmalilem im skórę na czarno,
widziałem indyjskie
księżniczki... ale tej, o którą
pytasz, królowny Morgany, nie
znam wcale.**

**- Bardzo ci dziękuję za
fatygę, leć z Bogiem - rzekł
czarodziej.**

**Osóbka zerwała się pędzej, niż
to pomyśleć można, coś się
mignęło w oknie i już jej nie
było.**

**- Poczekajmy wieczora; jeżeli
promień księżyca nam nie
odpowie, to już naprawdę nie
wiem, co robić.**

**Ledwie się ściemniło, tarcza
księżyca ukazała się spoza
drzew, mistrz Furibundus wyjął
znów ze szklanej szafy
krzeselko, tym razem
alabastrowe, i dalej postępował
tak samo jak rano; urobił
człowieczka bladego, spokojnego,
o twarzy pełnej, nieco nawet za
okrągłej, posadził go na
krzeselku i pytał:**

**- Powiedz mi, księżycowy
promieniu, gdzie przebywa
Morgana, córka królewska?**

Promień księżyca przemówił

głosem cichym i łagodnym:

**- Wiele córek królewskich
spotykałem w swej podróży
około ziemi: niejedna wychodziła
na balkon swego pałacu, by mi
się przypatrzeć, zaglądałem do
okien niejednej królowy, gdy
spała, ale Morgany, córki
królewskiej, nie widziałem, jak
żyje.**

**- Dziękuję ci za fatygę, leć z
Bogiem.**

**Blady człowieczek rozwiął się
jak mgła i wypłynął w postaci
białego obłoczka za okno.**

Czarodziej zaśwycił lampę

**wiszącą ponad stołem i rzekł do
Jacusia z miną skłopotaną:**

**- Teraz to już doprawdy nie
wiem, do kogo się udać. Dziwne
to stworzenie ta księżniczka
Morgana... której ani słońce ani
księżyc nie znają.**

**Rozparł się w fotelu i
zapatrzył w zamyśleniu w płomień
lampy.**

**Wtem ku wielkiemu zdziwieniu
mistrza i Jacusia cieniutki
głosik zaświergotał:**

**- Ciekaw jestem, dlaczego mnie
nie chcesz zapytać!**

**Zamigotało coś w lampie i na
knocie siedział mały, czerwony
chłopaczek i trzymał się pod
boki.**

**- A cóż ty, biedaku, możesz
wiedzieć, jeśli słońce i księżyc
nie wiedzą?**

**- Otóż to właśnie, że bardzo
ldużo wiem! - hardo burknął
płomień lampy i odchrząknął, aż**

zaskwierczało.

- No to powiedz, kiedyś taki mądry.

- Zanim przyszedłem do ciebie, mieszkałem u mojej mamy, olbrzymiej lampy w pałacu królowy Morgany. Znakomitego rodu jestem; ani wiesz, z kim mówisz: moja mama pełni służbę słońca w pałacu i jak cały dwór królewski może zaświadczyć, wywiązuje się ze swego zadania kapitalnie. Widywałem królowę co dzień, gdy się przechadzała po ogrodzie.

- Jak możesz zmyślać tak bezczelnie! Wszak byłby ją tam spostrzegł promień słońca albo księżyc!

- Nie lubię, jak kto plecie o rzeczach, na których się nie rozumie... - prychnął zuchwale czerwony chłopczyk. - Ogród księżniczki Morgany znajduje się w ogromnej, przeogromnej hali kamiennej bez okien, oświetlonej przez moją mamę. Drzewa w nim są ze srebra, złota i innych szlachetnych metali, a kwiaty z drogich kamieni. Tak cudnego

ogrodu najbujniejsza wyobraźnia odmalować nie jest w stanie.

- Gdzie jest ten ogród?

- W stolicy państwa Barokko, a Morgana jest córką króla.

- Dziękuję ci bardzo; rzeczywiście wielką nam przysługę wyświadczyłeś. Czy wracasz do mamy?

Czerwony chłopczek mruknął coś niewyraźnie, ukruszył się i

spadł poza palnik, a lampa
świeciła dalej jasno i wesoło.

No, teraz dowiemy się reszty -
rzekł mistrz z wielkim
zadowoleniem i wyjął z
biblioteki ogromną księgę, w
grubą skórę oprawną, przewrócił
kilkadziesiąt kartek, natrafił
na to, czego mu było trzeba, i
czytał:

- "Królestwo Barokko, na samym
końcu świata, dwa kilometry na
lewo. Stolica Rokoko_Kakadu, nad
rzeką Ceregielą, mieszkańców
trzysta tysięcy, obecnie
panujący król: Pompacy XVI..."
Teraz sobie pójdziemy do
łóżeczka, bośmy się wszystkiego
dowiedzieli. Dobranoc, idź spać.

Nazajutrz rano, pokrzepiwszy
przyszłego bohatera wyborym
śniadaniem, odprowadził go
czarodziej aż do drzwi w skale,
które się same otworzyły. Ledwie
wyszedł na łączkę w lesie,
ujrzał przywiązane za uzdę do
drzewa prześlicznego siwka
złotogrzywka, już osiodłanego i
gotowego do drogi. Wsiadł nań
Jacuś Taran i pogalopował w
świat.

Zwiedził krajów niemało,
wojował ze smokami i
jednorożcami, zwyciężał
najstraszniejsze potwory, a
sława jego imienia rozbrzmiewała
wielkim echem na sto mil wokoło.
Aż w końcu dojechał do królestwa
Barokko i nie zatrzymując się
nigdzie po drodze, dotarł
pewnego ranka do szerokiej rzeki
Ceregieli, nad brzegami której
rozsiadła się wspaniała stolica
- Rokoko_Kakadu.

**A z odczarowaniem księżniczki
Morgany to taka była historia.**

**Żyła w tym państwie stara i
wielce znamienita boginka, która
się srodze pyszniła i głowę
ponad inne wróżki zadzierała,
gdyż była ostatnią z rodu
czarodzieja Merlina, a prababkę
miała córkę króla elfów ze
Skandynawii. Potężna to pani,
złośliwa i zawistna, obrazila
się srodze na króla Pompacego i
małżonkę jego Dziwomodę, że
sprawiając chrzciny swej córki
Morgany zapomnieli zaprosić ją
na tę uroczystość. I kiedy oboje
królestwo bawili się w najlepsze
ze swoimi gośćmi, nagle drzwi
się z trzaskiem otwarły, wpadła
wróżka Pychosława z orszakiem
swych służebnic, pobiegła prosto
do kołyski małej królowny i
przepowiedziała jej straszne
nieszczęście, a nawet śmierć,
jeżeli przed szesnastym rokiem
ujrzy choćby przez najmniejszą
szczelinę promień słońca albo
księżycy. Na te słowa
skamieniali wszyscy ze strachu,
a królowa Dziwomoda tak się
zapomniała, że nie wołając nawet
niańki porwała księżniczkę na
swe dostojne ręce i uciekła z
nią pędem do piwnicy. Następnie
zamurowano wszystkie okna w
pałacu, wszelkie wejścia
opatrzone poczwórnymi drzwiami,
słowem, strapieni rodzice
uczynili wszystko, co było w ich
mocy, by zabezpieczyć ukochaną
dziecinę przed spełnieniem
przekleństwa Pychosławy.**

**Lecz musiała ta niepocziwa
czarodziejka rzucić jeszcze**

**jakiś niedostrzegalny czar na
serce królowny, bo pokazało się,
że gdy skończyła lat szesnaście
i śmiało już mogła korzystać ze
światła słonecznego i cieszyć
się cudami przyrody, ona wręcz
oświadczyła rodzicom, że czuje
najgłębszy wstręt do świata
rzeczywistego, nie chce znać
słońca ani księżyca, brzydzi się
prawdziwymi drzewami, żywymi**

**kwiatami, świeżą trawą i nigdy
poza mury swego pałacu nie
wyjdzie.**

**Zrozpaczeni rodzice wysłali
poselstwo do złośliwej boginki,
by zdjęła czar z serca ich córki
i wróciła jej zdrowie. Lecz ta
nie przyjęła bogatych darów,
jakie jej posłowie u stóp
kładli, a rzekła tylko, że jest
bardzo łatwe lekarstwo na
chorobę królowny, lecz sprawi
ono cudowny skutek wtedy tylko,
gdy młody rycerz, który zechce
wyleczyć Morganę, sam własną
myślą i wolą to lekarstwo
wynajdzie.**

**A królowna żyła sobie dalej w
zamknięciu i czuła się zupełnie
szczęśliwą. Uprosiła rodziców,
by jej wybudowali ową salę, czy
halę olbrzymią, i założyli w
niej sztuczny ogród, o czym to
płomień lampy opowiadał już
Jacusiowi i czarodziejowi.**

**Kto tego ogrodu nie widział,
nie zrozumie nawet, co to było
za cacko. Pnie drzew były
śliczne, na ciemny brąz
lakierowane, liście z delikatnej**

zielonej materii lub ze sztywnej skóry, stosownie do tego, jak bywa u naturalnych drzew i krzewów. Żółte kwiaty były ze złota, białe ze srebra albo z rybich łusek, czerwone z rubinów, niebieskie z turkusów lub szafirów. W ponurych skałach z masy papierowej wyżłobione były groty zaciszne, ponad szklanymi strumykami przerzucone mostki ze złożonego drzewa prowadziły do małych świątynek greckich, mniej lub więcej rozpadających się w sztuczne gruzy. Na gałęziach drzew umieszczono gniazdka przez nadwornych koszykarzy i tapicerów nader wiernie naśladowane, a w nich siedziały szklane ptaszki ślicznie śpiewające. Co parę godzin przychodził zegarmistrz najjaśniejszego pana i nakręcał ptaszki, żeby latały i śpiewały. Na drucianych szpalerach pięły

się sztuczne winogrody, a grona złotawe lub ciemnoszafirowe, były arcydziełem cukiernika królowej i zawierały w każdej jagódce kroplę słodkiego wina. Czy to nawet spamiętać można, jak tam było w onym ogrodzie wszystko na centymetry wymierzone, na kratki podzielone, milutkie, czyściutkie, pomalowane, wylakierowane, z kurzu pocięte... ach, nie do opisanie cudne!

Do utrzymywania porządku w ogrodzie było osobnych

**dziesięciu lokai; drugich
dziesięciu przybiegało ze
wschodem słońca (to znaczy z
chwilą zaświecenia dziennej
lampy, gdyż na noc świecił
sztuczny księżyc), ci więc
przybiegali wczas rano i
zakrapiali kielichy kwiatów
stosownymi zapachami. Nazywali
się oni wonnikami i mieli nad
sobą przełożonego, nadwornego
wonnika jej królewskiej
wysokości.**

**Z wolna, z wolna, z początku
bardzo nieznacznie, potem coraz
prędzej, zaraził się cały dwór
chorobą królowy Morgany.
Obrzydzenie do wszystkiego, co
naturalne, wzrastało z każdym
dniem: doszło do tego, że damy
dworu, a nawet urzędnicy
królewscy wpadali w omdlenie
poczuwszy zapach prawdziwej róży
lub fiołka. Naśladowali ślepo
każdy niemądry kaprys
księżniczki, robili z siebie
prawdziwe straszdyła na wróble,
byle jej się tylko przypodobać.
Mężczyźni strzygli sobie włosy
przy samej skórze, a na ich
miejsce wdziewali spiętrzone
peruki; panie także usadzały na
głowach jakieś upudrowane
olbrzymie koafiury do koszów,
ulów, skrzydeł podobne i
myślały, że im w tym jest
prześlicznie. Zamiast zgrabnych,
wygodnych sukien, ściągały się
żelaznymi pancerzami, by cienko**

**w pasie wyglądać, ubierały się
w sztywne, wydęte jak dzwon**

spódnice, trzewiki nosiły na
ćwiekowych obcasach i tak
wystrojone błąkały się po
papierowych grotach sztucznego
ogrodu królowy; potem pląsały
po ścieżkach złotym piaskiem
wysypanych i wachały rubinowe
róże lub ametystowe hiacynty.

Wykrygowani lokaje,
przedstawiający starożytnych
niewolników, roznosili na tacach
czekoladę z imitacją śmietanki.

Wieść o zaczarowanej królownie
rozeszła się po całym świecie:
królewicze, książęta, błędni
rycerze zbiegali się rojno do
królestwa Barokko i do stolicy
Rokoko_Kakadu, z pełnym zapału
sercem i niezłomną chęcią
wyzwolenia biednej Morgany, a
król Pompacy powtarzał wszem
wobec i każdemu z osobna, że pół
królestwa daruje i córkę odda za żonę
temu, kto ją uleczyć zdoła. Ale
niestety... kto tylko
przekroczył progi zaklętego
pałacu i przez jedną minutę
oddychał jego powietrzem,
popadał w tę samą chorobę; każdy
z książąt kazał sobie od razu
strzyc włosy, sprawiał sążnistą
perukę, zbliżał się w krygach i
drygach do uroczej królowy,
wypowiadał jej orację tak zawiłą
i nienaturalną, że ani mówiący,
ani słuchający jednego zdania
pojąć nie mogli, a z ostatnim
wyrazem, który zazwyczaj bywał
niebotycznie przesadzonym
komplementem, następowało
śmiertelne porażenie... rycerz
czy książę kamieniał w jednej
chwili i jako porcelanowy Chińczyk
stanowił ozdobę sali tronowej
króla Pompacego. Zastępy takich
zaczarowanych lalek umiejących
tylko kiwać na wszystko głowami,

**siedziały bezmyślne i bezduszne
pod ścianami.**

**Gdy rycerz Taran przejeżdżał
na swym siwku złotogrzywku przez
ulice miasta, mieszkańcy
wychylali się z okien, a nawet**

**wybiegali przed domy, by mu się
lepiej przypatrzeć; takiego
bowiem młodzieńca urodziwego i
zdrowego, a wspaniale strojnego,
dawno już nie widzieli. A on
sobie jechał prosto na zamek i
kazał się do króla prowadzić.
Kamerdyner, któremu objawił to
swoje życzenie, poprosił go do
eleganckiej poczekalni, a ledwie
drzwi za sobą zamknął, wybiegli
doń z przeciwległej komnaty
jacyś dwaj śmieszni panowie i
ofiarowali swoje usługi.**

**Pierwszy z nich był nadwornym
fryzjerem, a drugi krawcem.
Perukarz przyskoczył do Jacusia
z nożycami, ale dostał takiego
klapsa po rękach, że mu się na
miesiąc odechciało.**

- Wynoś mi się precz...

**koczkodanie jakiś! - zawołał
rycerz Taran wyrzucając go za
drzwi. - Chybabym musiał zmysły
postradać, gdybym pozwolił
komukolwiek tknąć moich
pięknych złotych włosów, a
oszczędzić się tą szkaradną peruką!**

**Krawiec z niskim pokłonem
prosił słodziutkim głosem, by
mógł dostąpić zaszczytu wzięcia
miary dostojnemu rycerzowi.**

**- Jakiej miary? Na co miary? -
pytał dostojny rycerz.**

- Na frak i spodeńki...

- Ani fraka, ani spodeńków za nic w świecie nie wdzieję, mam śliczny mundur, spodnie łosiowe i buty z ostrogami, na tym mi dość.

I wyrzucił krawca tak samo jak fryzjera za drzwi.

W parę minut później ukazał się wielki ochmistrz dworu, za nim dwudziestu kamerdynerów.

- Racz, jaśnie oświecony panie... - rzekł drżącym głosem
- udać się ze mną do sali tronowej, gdzie oczekuje cię jej wysokość księżniczka Morgana...
lecz błagam waszą książęcą mość i zaklinam, by zechciał odpiąć przynajmniej ostrogi, jeżeli już nie ma zamiaru zmienić stroju...
- A to po co?

- Jej królewska wysokość raczy być w najwyższym stopniu nerwową.

- Niech się odzwyczai, bo to głupstwo - odparł Taran.

Wielki ochmistrz poszedł tedy przodem, dzwoniąc zębami i dygocąc na całym ciele, za nim maszerował ostro rycerz Taran; kamerdynerzy bladzi jak płótno zamykali pochód.

- Co to za krzyki? - spytał Jacuś przechodząc przez podwórze.

- To jeden z wonników królewny zasłużył na plagi: zamiast bowiem różanego olejku, użył przez pomyłkę miętowego i wszystkie róże miętą pachną. Skutkiem tej strasznej pomyłki ulubiona dama dworu królewny dostała zapalenia organu węchu.

- Czemu nie powiesz po prostu,

że jej nos spuchł? - zadziwił się Jacuś. - Zaraz mi rozwiązać tego biedaka i puścić wolno - dodał rozkazującym głosem, a nikt nie ośmielił się nawet w myśli sprzeciwić się jego woli.

Weszli do wielkiego przedsionka. Jeden z dwudziestu kamerdynerów otworzył podwoje i anonsował:

- Jaśnie oświecony książę Taran z Prawdowic.

Jacuś dał mu kuksańca za te kłamliwe tytuły, ale nie było czasu odwoływać, chcąc nie chcąc musiał wejść do sali tronowej.

Wielkim półkolem otaczali dworzanie i dostojne damy osoby ich królewskich gości. Pompacy Xvi i małżonka jego Dziwomoda siedzieli na wzniesieniu; poniżej, na mniejszym tronie książę _niczka Morgana.

Kilkudziesięciu Chińczyków przytakujących głowami zajmowało prawą stronę sali, po lewej rozpoczynał się sztuczny ogród z całym przepychem swych złotych i brylantowych kwiatów. Słoneczna lampa rzucała jaskrawe blaski.

Na widok wchodzącego Jacusia szepty oburzenia dały się słyszeć:

- Przebóg... ten człowiek

ośmielił się nie przywdziać peruki! Ma swoje własne włosy...

Taran tymczasem, nie zważając na nic i na nikogo, szedł butnie, dzwoniąc ostrogami, wprost do królewskiego tronu. Ukłonił się najjaśniejszemu

państwu i królownie Morganie i zasiadł bez ceremonii na fotelu dla siebie przygotowanym.

Nikt nie przewidział rzeczy nadzwyczaj przykrej, a mianowicie, że młody rycerz kilkanaście ostatnich godzin spędził w lesie i świeże, orzeźwiające powietrze, pełne woni żywicznej, weszło z nim razem do sali. Całe zgromadzone towarzystwo zaczęło kichać lub wachać flakoniki z perfumami, a księżniczka, chcąc jak najprędzej pozbyć się gburów, nie rozpoczęła z nim wcale rozmowy. Prawie nie patrząc nań rzuciła mu pierwsze z trzech pytań, jakie zadawała swym wielbicielom:

- Gdzie jest najpiękniejszy ogród na świecie?

Dotąd każdy z młodych paniczów odpowiadał bez zająknięcia:

"Właśnie go oglądają moje oczy; twój ogród, królowno, jest najpiękniejszy w świecie".

Ale rycerz Taran rzucił pogardliwym wzrokiem dookoła i rzekł:

- Pójdź ze mną, księżniczko, do lasu, spojrzysz na jodły niebotyczne, na dęby rozłożyste, posłuchaj ich potężnego szumu, posłuchaj śpiewu ptaszków, zobacz sarny i jelenie, jak się pasą swobodnie, zobacz młode zajączki i płasające po drzewach wiewiórki, a potem powiesz mi, czy może być piękniejszy ogród nad ten, do którego cię wprowadzę. To szkaradzieństwo tutaj jest niemądrą a kosztowną zabawką zrobioną z metalu i kamieni; tego nikt rozumny nie nazwie przecie ogrodem.

Królowna skrzywiła buzię, damy dworskie zakryły się ze wstydu

wachlarzami, a panowie mruknęli

pogardliwie: "Gbur". Żaden jednak nie wymówił tego słówka głośno, postać rycerza i jego miecz olbrzymi przejmowały ich niezmiernym szacunkiem; gdy spojrział na któregoś z nich, ten spuszczał zaraz oczy i liczył tafle posadzki.

A ponad pałacem przeciągała czarna chmura i dał się słyszeć grzmot groźny. Królowna zadała drugie pytanie:

- Czy znasz słońce nad słońca?

Zazwyczaj odpowiadano jej na to: "Najcudniejsze słońce świeci w twoim pałacu, o pani!" Ale Jacuś ruszył ramionami i rzekł:

- Nie rozumiem tego pytania. wiadomo każdemu, że jedno tylko jest słońce, to jasne, wspaniałe, ogniste, co oświeca naszą ziemię. Nie przypuszczam, by się znalazł wśród nas ktoś tak bardzo ograniczony, co by miał ten duży kaganek z olejem słońcem nazwać.

Morgana zbladła jak śmierć... trzynaście panien i pięciu panów omdlało i spadło z krzeseł. A nad kopułą pałacu zagrzmiało po raz drugi, aż się mury zatrzęsły.

Królowna powstała z tronu, postąpiła jeden krok i bezdźwięcznym głosem zadała trzecie pytanie:

- Która księżniczka jest najpiękniejsza w świecie?

Cisza grobowa zapanowała na sali, dworzanie wstrzymali oddech nasłuchując odpowiedzi. A

Taran mówił głośno i dobitnie:
- Podróżowałem wiele,
widziałem księżniczek na tuziny:
były między nimi ładne i
brzydkie, ale śmiało i otwarcie
mogę powiedzieć, że takiego
stracha na wróble jak ty,
królewno, jeszcze jak żyję, nie
spotkałem!

Cały dwór króla Pompacego
rzucił się w konwulsjach na
ziemię, najjaśniejsi państwo
patrzyli w osłupieniu to na
córkę, to na zuchwałego
przybysza, a Taran ani się

zająknął, tylko rąbał dalej:

- Masz cudze włosy na głowie,
posypane prochem nie wiedzieć po
co, bo nie rozumiem, dlaczego
młoda dziewczyna ma być siwa jak
stara baba. Z tych włosów
wyprawiasz niesłychane jakieś
dziwolągi, twarz usmarowałaś
bielidłem i różem, ponalepiałaś
jakieś plasterki czarne, jakbyś
miała dwadzieścia pryszczycy na
twarzy. Zesnurowałaś biedne
ciało, że wyglądasz cienka, jak
osa, ani jeść, ani pić, ani
śmiać się nie możesz. Spódnica
twoja twarda i sztywna rozdyma
się jak beczka, a zamiast
chodzić uczciwie na własnych
stopach, łazisz niezgrabnie na
jakichś szczudłach. Bardzo mi to
przykro wyznać, ale właściwie
jesteś najbrzydszą księżniczką na
całym świecie.

Ledwie rycerz Taran wymówił
ostatnie słowa, ze strasznym
hukiem uderzył piorun w pałac

króla Pompacego, mury popękały
aż do fundamentów i
poprzewracały się na wszystkie
strony, nie raniąc szczęściem
nikogo. Straszna trąba
powietrzna zerwała dach razem z
kopułą i lampą słoneczną i
poniosła gdzieś na drugi koniec
świata. A z grzmotami i
piorunami lunął deszcz rześisty
i tak gwałtowny, że połamał,
powywracał sztuczne drzewa i
krzewy, splukał ścieżki złocone,
poniósł w bystrych potokach
groty, mostki, świątynie aż het
tam, gdzie pieprz rośnie...

Gdzie przed chwilą wznosił się
pałac królewski i hala ze
sztucznym ogrodem, zostało
miejsce opustoszałe i nagie.
Aliści po deszczu tęcza ukazała
się na niebie, słońce wyjrzało
spoza chmur, a na ogrzanej jego
promieniami ziemi zaczęło się
coś niby trawka zielenić. Tu i
ówdzie wystrzeliły kwiateczki
różnobarwne, fiołki, stokrocie,
dzwonki, konwalie... Znalazła
się cudem jakimś potężna skała

mchem porośnięta, z jej szczelin
trysnęło źródelko, w przeciągu
kwadransa wyskoczyły spod ziemi
krzaki zielone, zleciały się
roje ptactwa i obsiadły gałęzie,
słowem, nie minęła godzina, a w
miejscu starego pałacu i
przebrzydłej imitacji * ogrodu
rozpostarł się gaj uroczy,
pełen kwiatów, ptaszków i bujnej
zieloności.

Imitacja - naśladowanie.

Cóż się działo tymczasem z królową Morganą i całym jej dworem? Oj, i z nimi obeszła się burza nader bezwzględnie.

Robrony * sztywne i niezgrabne gdzieś się podziały, a wszystkie panie, nie wyłączając królowy, miały gęste, jasne lub ciemne włosy i nie potrzebowały wcale zasłaniać ich perukami. Dopiero teraz musiał przyznać, jak cudownie piękną była księżniczka Morgana.

Robron - strojna suknia o szerokiej, usztywnionej spódnicy, noszona w Polsce w XVIII w.

Rycerz Taran zbliżył się do niej i wyciągnął rękę; podała mu swoją nie tylko bez gniewu, ale z uśmiechem i radością.

Czar był złamany - królowa zdrowa zupełnie.

Trzystu rycerzy próbowało nadaremnie ją uleczyć, żaden się nie domyślił, że jedynym lekarstwem na jej chorobę była prawda wypowiedziana w oczy najsurowiej, i to koniecznie trzy razy.

Rycerz Taran ożenił się z królową Morganą; po śmierci króla Pompacego wstąpił na tron państwa Barokko, panował mądrze i sprawiedliwie, uwielbiany przez swych poddanych. Synowie królewscy - a było ich dwunastu - odznaczyli się roztropnością i niezmierną siłą, córki - a było ich dwanaście - zachwycały urodą i dobrocią. Żyli wszyscy zdrowo i szczęśliwie, a jeżeli nie pomarli, to dotąd jeszcze żyją.

Wodnik

W chacie rybaka Andrzeja
siedzi przy kominie babka jego,
Pawłowa: starowinka to
zgrzybiała... może ma lat
dziewięćdziesiąt, może sto...
sama już nie pamięta ile. Ręce
jej się trzęsą, nogi nie chcą
słuchać, oczy trochę gorzej
widzą niż w onych dobrych
czasach, gdy miała lat
piętnaście. I uszy niedomagają,
jakieś w nich szумы, jakieś
szmery... To te lata ciężkiej
pracy, niedoli, smutków,
utrapien szepcą do niej swe
dzieje dawno minione.

Straszna zima na świecie, mróz
parzy, a śnieg się iskrzy i
skrzypi pod nogami. Wszystko,
co młode i zdrowe, prawie cała
wieś wybrała się do miasteczka
do kościoła, bo to dziś Boże
Narodzenie; po chałupach
zostali tylko starcy i dzieci
małe. Pawłowa grzeje się u
komina, a przy jej nogach na
niziutkich ławeczkach dwoje
prawnucząt najmłodszych, Janek i
Kasia - bliźniaki. Noc zapadła,
rodziców jakoś nie widać,
dzieciom się przykrzy...

- Opowiedzcie, babuniu, o
wilkołaku... - prosi Janek.

- Nie, nie, lepiej o Wodniku -
przerywa mu Kasia.

I babunia opowiada dziwy
straszne o złośliwym potworze,
co w pałacu kryształowym na dnie
jeziora mieszka.

- A wyście go widzieli kiedy,
babusiu, tego Wodnika?

- Widzieć, tak jak ciebie w
tej chwili, to niby nie, bo się

go zawsze okrutnie bałam, co by
mnie nie porwał. Ale z daleka,
ho_ho, mało dwadzieścia razy.

- No to powiedzcie, bardzo
strasznie wygląda?

- Oj, bardzo! Najlepiej się na
niego wybrać na ten przykład w
zimie, bo to ze śniegu można
kopczyk uzgarniać, schować się
jak za płot i podglądać. W lecie

nie wiadomo, w której stronie go
szukać, w zimie łatwiej, bo choć
calutkie Gopło na kamień
zmarznie, to zawsze tu albo
ówdzie okrągła dziura zostanie
wolna (już takie widno jego
prawo), coby miał którądy na
świat wyzierać.

- A on na brzeg jeziora
wyłazi, babusiu?

- Nigdy w świecie, nie wolno
mu. Zresztą choćby nawet chciał,
to się boi, boby go ludzie
widłami ubili. Nieraz żeśmy się
zmawiali, chłopcy i dziewczęta,
robiliśmy wał ze śniegu na
skraju lasu, tuż niedaleczko
brzegu, i tam, bywało, że dwie
godziny marznąc siedzieliśmy i
czatowali na onego.

- No i co, babusiu? No i co?

- Czasem daremne było nasze
czekanie, mróz nas palił jak
gromnicami, a Wodnik w swoim
pałacu na dnie jeziora siedział;
a znowu czasem...

- A znowu czasem, babusiu?

- Jak nie weźmie lód pękać raz
za razem, trask... trask...
przysięglby kto, że fornale z
batów strzelają. Albo i gorzej,

**jak nieraz huknęło na Gople, to
aż echa były przemocne.**

- A wy co?

**- A my siedzimy jak trusie, bo
każdy wie, co takie trzaskanie
znaczy.**

**- No to gadajcie, prędko, bo
my nie wiemy.**

**- Znaczą, że się Wodnikowi
zima uprzykrzyła, ciasno mu i
nudno, więc się przeciąga, kości
sobie prostuje, a co się plecami
o lód zaprze, to w tym miejscu
jakby siekierą uciął, rysa leci
od środka aż do brzegu i
strzela. I wtedy najczęściej
wyłazi do swojego okienka,
dźwiga się na onych łapach
szkaradnych i wytrzeszcza ślepie
na świat boży. Dokumentnie go
dojrzeć to chyba nikt nie
dojrzał, bo zawsze jakieś mgły,
jakieś opary koło niego się
podnoszą; ale wielki jest jak**

**sześciu ludzi, głowę ma gęstymi
kudłami porośłą, ręce ohydne,
płetwiaste, a jak wzdychnie albo
chrząknie, to ani grzmot lepiej
nie zdoli.**

**- A co on złego robi, że
powiadacie, co by go chcieli
widłami ubić?**

**- Nie wiesz co? Dusze ludzkie
w niewoli trzyma, a jakże - taka
z niego potwora. Skoro ino jaki
nieboraczek w jeziorze utonie,
czyli w zimie, czy w lecie, czy
z dopuszczenia boskiego, czyli z
diabelskiej namowy, jeszcze do
samgo dna nie doszedł, juści go
ten śleporód chwyta jak swego,**

duszę mu gwałtem wydiera, do szklanego gąsioreczka szczelnie zamyka, a samego do swojej służby zabiera i bez nijakiej litości katuje.

- Cóż mu z tych dusz przyjdzie?

- Widzicie, taka już w onym zazdrość okrutna: sam duszy nie ma, więc się mści, jak ino może, na biednych topielcach. Ma ci taką przestronną tajemną izbę we swoim pałacu, tam półki szerokie, jedna wedle drugiej, a wiecie na co? Flaszki z duszami tam chowa. Biedne duszyczki srogie cierpią męczarnie, bo choć rok za rokiem przemija, to im się wcale nie liczy: która sprawiedliwa, dawno by już była w niebie, która grzeszna, do czyśćca pragnie, co by się z grzechów oczyściła, a tu nie i nie... siedź w niewoli do sądnego dnia. Gdyby się kto znalazł, co by korki z flaszek powyjmował, uleciałyby jedną minutą, gdzie się której należy. Ale taki niełatwo się znajdzie między ludźmi albo i nigdy.

- A jakież to musi być, babuniu? - spytała Kasia.

- Musi być wcale niewinny, co jeszcze śmiertelnego grzechu nie popełnił, musi mieć przy sobie żywokwiat_ziele, co by go od utonięcia i wszelkiej inszej śmierci bronił, a po trzecie, musi z kochania wielkiego na

ratunek utopionemu pod wodę z uciechą i odwagą iść. Jak się taki znajdzie, co te trzy prawa

będzie miał w sobie, to nie tylko że wszystkie dusze z niewoli wypuści, sam zdrów i wesół na świat powróci (jednego topielca wolno mu ożywić i ze sobą zabrać), ale, co najważniejsza, to to, że Wodnik od tej chwili nie śmie się tknąć duszy chrześcijańskiej. Takem się nasłuchiwała o tym wszystkim od mego dziadusia nieboszczyka, ale choć mi to powtarzał i rozpowiadał dużo razy, zawsze mówił na końcu: "Od stworzenia świata jeszcze się taki nie narodził, co by mógł one biedaczki z niewoli wypuścić". Ano, pora spać, Kasiuniu, i tobie, Jasiu, oczka się kleją, zmówcie pacierz i lulu.

- Dobranoc, babusiu... ale on tu do nas w nocy nie przyjdzie?

- A niechże Bóg broni i zachowa! Toć to dziś Boże Narodzenie, pod wodą się kryje potwora.

Dzieci pokładły się do łóżeczek i chwilę jeszcze rozmawiały o czymś ze sobą.

- Ino nie wygadaj się... - szepnął Janek.

- Ani mru_mru... - odszepnęła Kasia. Przewróciła się na prawy boczek, przeżegnała się, by strachy odpędzić, i usnęła smacznie.

Niebawem powrócili z miasta rodzice i starsze dzieci; Andrzej przyniósł babuni różaniec biały, kościany, a bliźniętom serca z piernika, pogadano jeszcze o tym i o owym z pół godziny, przysypano żar grubo popiołem, żeby nie wygasł do jutra, Andrzejowa zdmuchnęła lampę, Andrzej obszedł wszystkie kąty w domu i w stajniach, czy

się gdzie, broń Boże, złodziej
nie zakradł albo iskra nie
padła, pozamykał bramę i furtkę
i gdy już wszyscy dawno
chrapali, dopiero on się ostatni

położył.

Nazajutrz rano mróz się gdzieś
podział, ino tyle, że nie
tajało, więc tym bardziej trzeba
było iść do kościoła uczcić św.
Szczepana, pierwszego
męczennika. I znowu babusia
została sama w chałupie z
Jankiem i Kasią. Ale dziś już
dzieci nie garnęły się do
komina, nie prosiły o bajki, co
innego im było w głowie.

- Babusiu - rzekł Janek -
takie dobre powietrze, ani
wiatru nie ma! Weźmiemy
saneczki, będziemy się wozić z
Kasią, pozwolicie?

- Idźcie, idźcie, bawcie się,
ino niedaleko od domu.

Pobiegli do szopy, wyciągnęli
malutkie sanki, co im tatuś do
zabawy sporządził i pognali po
śniegu prosto na jezioro.

- Wiesz, co najpierw trzeba
zrobić? - rzekł Janek. - Musimy
tuż przy brzegu jechać dokoła
póty, aż dojrzymy Wodnikowe
okienko. Wtedy schowamy się za
krzaki albo, tak jak babusia
gadali usypiemy górkę ze śniegu
i będziemy przypatrywać się, czy
nie wypłynie pod wierzch.

- Ej, Janku, Janku... ja się
strasznie boję.

- Cichoże bądź! Każdy się
boi, a przecieby go rad widzieć.

No, to siadaj prędzej, powiozę cię, a jak się zmęczone, to znów ty mnie.

Samym brzegiem jada, a wciąż upatrują na wszystkie strony.

- Jest! - zawołała Kasia.

- Gdzie?

- Nie widzisz? Cały lód na jeziorze biały, śniegiem przysypany, a tam ku środkowi na lewo czerni się dziura okrągła i para z niej idzie, jakby woda ciepła była.

- A prawda... wylazł z sanek... chodźmy zobaczyć.

- Za nic w świecie! A nuż na nas wyskoczy... nawet nie stójmy tutaj, ino w krzaki uciekajmy.

- Ja pójdę kilka kroków,

przecie mi nic nie robi.

Choćby i wylazł, a chciał mnie gonić, to mu ucieknę: co moje nogi, to nie jego stare kościska.

- Jasieńku, nie idź!

- Właśnie że pójdę! Zostań tu sama, kiedyś tchórz.

I pobiegł. A Kasia krok za krokiem, powolutku za nim; nie chciała porzucić braciszka, a bała się Wodnika.

- O rety... patrzaj no, Kasiu, co za ryba trzepocze się na lodzie! Wyskoczyła z wody i nie może na powrót trafić... ale też to szczupaczysko! Złapię go i matusi zawieziemy; będziemy mieli obiad jutro jak jacy królowie!

Chwycił ogromną rybę oburącz, aż tu stało się coś nieprzewidzianego a strasznego:

szczupak trzepnął ogonem, wyrwał się Jankowi; wydało się Kasi, że nagle urósł w czwórnasób, złapał chłopca zębami za sukmankę, coś się ino migło i wpadli obaj do wody.

Podniosła Kasia rączki do góry i coś jej gardło ścisnęło niczym żelazną obręczą, ani krzyknąć, ani się ruszyć... stoi jak skamieniała.

Na szczęście właśnie gajowy krajem lasu przechodził i zobaczył dziecko martwe ze strachu i żalu.

- A ty tu co robisz, Kasiu?

Kasia nic.

- Czekasz na kogo?

Kasia nic.

- Boli cię co?

Kasia nic.

Więc skoczył na łód po nią, bo mu dziwno było, co taka nieruchoma i oniemiała.

Patrzy... oczy w słup, buzia otwarta...

- Kasiu... Kasiu... zbudź się!

Chwycił dziewczynkę na ręce, potrząsnął nią, dopiero się ocknęła.

- O Jezu...

- Co tobie, dziecko?

- O Jezu... Wodnik porwał

Jasia do jeziora!

- Tak ci się śniło, prawda?

- Ach, nie śniło się...

I Kasia opowiedziała wszystko jak i co staremu Mikołajowi.

Zwołał czym prędzej ludzi, wyrąbali kilka dziur w jeziorze, osękami zmacali, przeszukali

raz koło razu, żeby choć martwe
ciało wyciągnąć... gdzieby tam
Wodnik oddał, jak co raz porwie.

Oj, smutny dzień, smutne
święta mieli rodzice i biedna
babusia starowinka. A Kasia aż
zachorowała od wielkiego
zmartwienia: dwa dni w strasznej
gorączce leżała i tylko na cały
głos Janka przywoływała. Na
trzeci dzień polepszyło jej się
od rana, leżała spokojnie w
łóżeczku, ino coś szeptała sama
do siebie.

Po obiedzie Andrzej poszedł z
koniem do kowala, Andrzejowa
zamknęła się w alkierzu, pewno
żeby się wypłakać w skrytości,
babusia z załamanymi rękoma przy
kominie siedzi, w ogień patrzy,
łzy się szklą w oczach i powoli
jedna za drugą płyną a płyną.

Usiadła Kasia na łóżeczku i
zaczęła się ubierać; cichutko,
żeby babusia nie dosłyszeli.
Wdziała na siebie wszystko, co
ino miała najcieplejszego, buty
do rączki i chyłkiem popod ścianą
sunęła ku drzwiom. Otworzyła
lekuśko, przecisnęła się
szparką, usiadła w sieni na
schodkach, buty wzięła i
chusteczką głowę zawiązała.
Dalej za bramę i potem prosto
jak strzelił do lasu.

A w biednej głowinie tyle,
tyle myśli...

"Gadali babusia, co kwiat
życia trza mieć, bardzo kogoś
kochać i grzechu nie popełnić...
O Panie Jezu, Ty wiesz, żem
greczna; słucham babuni, mamy,
tatusia; ani jednej gruszki, ani
jabłka z cudzego ogrodu nie
wzięłam, co dzień izbę i sień
zamiatam, prawda, Panie Jezu, że
grzechu nie mam na duszy? To by

było moje pierwsze prawo. A Janka to tak strasznie kocham, że ani powiedzieć nie zdolę. To by było drugie prawo. Ino trzecie najtrudniejsze: skąd wziąć żywokwiat _ziele? Na środku drogi chyba nie rośnie, ino gdzieś w tajemnym kąciku. I pod śniegiem... o matko... gdzież ten śnieg odgarnąć? W którym miejscu szukać? Pójdę do lasu na starą mogiłę, gdzie te pogruchotane kamieniska stoją, może trafię w szczęśliwą godzinę".

Idzie, idzie, wciąż o Jasiu ino myśli, a spuszczone oczy po bieluchnym śniegu wodzi, czy jej się ów cudny kwiateczek nie ukáže. Minęła pierwsze krzaki, las coraz gęściejszy, boi się bardzo, a nuż wilk wyskoczy!... Ale co tu banie pomoże, kiedy iść trzeba.

Już z daleka bieleją na polanie złomy skaliste, jakby ludzką ręką w półkole ustawione, ku nim Kasia biegnie z jakąś dziwną otuchą w sercu. Patrzy, a na śniegu ślady nóżek maleńkich raz koło razu gęsto się znaczą... półroczne dziecko większe ma nóżki chyba. Zdumiała się Kasia bardzo, ale prościutko idzie na polanę za onymi śladami. Zawróciły się kroczy pod najwyższy kamień, idzie i Kasia tamtędy. Zaszła do skały i nie wie, co dalej będzie... "A co to za szczelina? Może się tam wcisnę, może się

stanie co dobrego?" - myśli.

Wsunęła się Kasia do jaskini
jakiejś i dziw ją wielki
ogarnia: na polu zimno, śnieg,
lód, drzewa z liści ogołocone, a
tu zaledwie krok jeden zrobiła,
ciepłe powietrze ją owionęło i
takie zapachy ją zalatują ze
wszystkich stron jakby
kwiateczki najpiękniejsze. I
widno wcale, niby że księżyc tam
świeci, czy co. Oparła się o
ścianę, boi się kroku postąpić,
wtem słyszy głosik cieniuchny, a

jak dzwoneczek donośny:

- Hej, Skierka, Skierka,
dziecko się budzi, biegaj,
zakołysz!

Kasia oczy wypatruje,
odetchnąć nie śmie. Z ciemnego
kąta wyfrunęło śliczne
stworzonko lnianowłose, o
szafirowych skrzydłach łątki
wodnej... odgarnia rączką
zasłonę zieloną, utkaną z gałęzi
chmielowych, bluszczu, paproci
i zielonego wina, błysnęło coś,
jakby światło słoneczne.
Nieprzeparty urok ciągnie Kasię
ku tej zasłonie. Zbliża się z
bijącym sercem, paluszkami
osłony uchyla i patrzy, patrzy,
napatrzeć się nie może...

Komnata złocisto sklepiona, od
stropu blask bije niezmierny,
ściany z róż najwonnieszych,
lili śnieżnobiałych i bzów o
kiściach bogatych. Pod
baldachimem z różnobarwnego
powoju kołyska brylantowa, a w
niej, na pościeli z fiołków i

**pierwiosnków, leży dzieciątko
maleńkie. Skierka u kołyski
stoi, z wolna nią porusza i
śpiewa:**

**- Uśnijże mi, uśnij, a prędko
mi rośnij,@ trzy miesiące
jeszcze niechaj cię upieszczę,@
Pan Jezus cię zbudzi, polecisz
do ludzi...@**

**Dziecko buzię skrzywiło,
płacze przez sen...**

**Migiem skoczyła przez różane
podwoje do drugiej komnaty,
pierzynkę z kwiatów jabłoni
przyniosła i maleństwo
troskliwie okrywa.**

**- A widzisz, biedaczko, po co
się budzisz, kiedy jeszcze nie
pora. Zimno ci, oj, zimno; nie
płacz, Skierka utuli, ukołysze;
uśnij, złotości moje.**

**Gdy tak Kasia zasłony
uchyliwszy do komnaty zagląda,
nagle czuje, że ją ktoś ciągnie
za spódniczkę...**

- Jakim prawem, ludzka istoto,

**wdarłaś się do naszego
mieszkania?**

- Kto ci tu wejść pozwolił?

- Uciekaj, bo zginiesz!

- Zgubna twa ciekawość...

życiem ją przyplącisz!

**Chór głosików przenikliwie
dźwięcznych wykrzykuje tak do
niej z gniewem.**

**Odwróciła się Kasia i
patrzy... a to same drobniuskie
dziwolągi ją obskoczyły. Jedne
zgrabne, skrzydlate, podobne do**

Skierki, w sukienkach z płatków róży lub malwy; inne czarniawe, ze skośnymi oczkami, czerwono odziane, przysięglby kto, że małe diabliki, to znowu grube a krótkie, chyboczą się na koślawych nóżkach; najzabawniejszy wśród nich jeden, z dużą głową, rękoma cienkimi jak łapki u komara, podskakuje i ferta się jak niespełniak, * a nóżki to ci ma prawdziwie ze ździebełek słomy porobione.

Niespełniak - niespełna rozumu, matolek.

"Aha - myśli Kasia - już wiem, coś ty za jeden... nie opowiadali to babusia, że najstarszy między krasnoludkami to człeczek na słomianych nóżkach? A te insze to pewnikiem jakieś majki, * świetliki, chochliki czy co takiego".

Majka - nimfa, rusalka.

Choć ich taka chmara, Kasi wcale nie straszno, gdyby ino zechciała, dwadzieścioro by naraz zdusiła. Stoi między nimi niby olbrzymka, a oni piszczą i łają aż uszy bolą. Wreszcie się zmęczyli i zamilkli na chwilę; z tego korzystając tak się Kasia do nich odezwała:

- Moi drodzy ludkowie, nie żlijcie się na mnie, ja nie z głupiej ciekawości tu weszłam za śladem waszych nówek na śniegu, ino po ratunek w bardzo ciężkiej potrzebie.

Ta mowa Kasi podobała się widno krasnoludkom, bo przestali

się marszczyć i miny straszne
wyrabiać, a człeczek na
słomianych nóżkach podskoczył ku
niej kiwając ogromną głową.

- Pomocy potrzebujesz,
dziewczyno? Tak to, tak, gdyby
nie my, co by ludzie robili na
świecie?

- Hi, hi, hi... - zaśmiały
się czerwone chochliki.

- Powiedź, o co ci chodzi?
- mówił dalej człowieczek.

I Kasia odpowiedziała mu
okropną przygodę Janka od samego
początku aż do końca, czyli do
swego postanowienia pójścia na
dno jeziora na pomoc
braciszkowi. Człeczek na
słomianych nóżkach słuchał z
powagą, a głowa mu latała na
onej cienkiej szyi, raz na
prawo, raz na lewo, to w tył, to
naprzód, wreszcie rzekł:

- Szczęście twoje, dziewczyno,
żeś do nas trafiła; musi to być
prawda, że grzechu jeszcze nie
masz na duszy, i dlatego w
powietrzu, na ziemi, pod ziemią,
w wodzie i pod wodą zguby nie
zaznasz. Żywokwiatu żądasz? W
mojej mocy dać ci go. Hej,
Skierka, Skierka! Gdzieżeś się
podziała?! - zawołał zgryźliwie.

- Jestem tutaj - odezwała się
lątka wybiegając ze złotej izby
do jaskini - dzieckom usypiała.

- Jak to? Już się budzi?

- Juści, zrywa się, pierzynkę
odrzuca, z kołyski wyskakuje,
ledwie je utuliła.

- Powiedz mi, śliczny motylku
- szepnęła Kasia jednemu z
świetlików do uszka - co to za
dzieciątko śpi w tej złotej
konnacie?

- To Wiosna - odparł świetlik.

- Pan Bóg ją zsyła na ziemię
nieraz w początkach grudnia, ale
że za maluśka, za delikatna,
zmarzłaby na nic wśród wichrów i
śniegowych zawiei, więc nam ją
daje na chowanie, póki jej pora
nie przyjdzie. Staramy się o to,
by ciągle spała, bo jak się
zbudzi za wcześnie, a strasznie

z niej dzieciuch samowolny i
uparty, to gotowa na pole
wybiegnąć, zaziębi się i potem
ciężko choruje, że nieraz ani w
maju nie możemy jej z kołyski
wypuścić.

- Aha... to Wiosna... -
powtórzyła Kasia i zadumała się.

A słomiany człeczek rozkazał
Skierce przynieść jeden włos z
główki Wiosny.

- Znowu się przebudzi i będzie
kłopot - burknęła Skierka
niechętnie, ale nie śmiała się
sprzeciwiać, poszła i przyniosła
w paluszkach długi jedwabisty
włos, złoty jak promień słońca.

- Wyjdź z jaskini,
dziewczynko - rzekł dobrotliwie
człeczek - połóż ten włos na
śniegu i czekaj uważnie, co
dalej będzie. Niech ci się
stanie, jako pragniesz, a nie
zapomnij o tych, co ci
dopomogli.

- O, nie zapomnę! Bóg wam
zapłać, dobry człeku - odparła
Kasia ze łzami.

- Życzymy ci powodzenia!
- Wracaj szczęśliwie! -
zaśpiewały chórem krasnoludki.
Ledwie że się znalazła na

wolnym powietrzu, zaraz ukłękła i
tak jak jej człeczek rozkazał,
położyła złoty włoszek na śniegu.
Zaszypiało, zawrzało, jakby kto
rozpalony węgiel do wody wrzucił,
śnieg stopniał w okamgnieniu,
zaczerniała ziemia, a z niej
wystrzeliły dwa bładozielone
kielki. Roślina migiem
podniosła się w górę, wypuściła
kilka listeczków, potem długą
łodygę... pączek... coś
zamigotało i kwiat roztworzył
koronę. Czerwony był niczym
głownia rozjarzona, aż Kasię w
oczy zapiekło od tej
czerwoności. Odurzający, śliczny
zapach płynął z kwiatu w
powietrze. Kasia go zerwała czym
prędzej, starannie sześć razy w
chusteczkę zawinęła i na węzeł
zawiązała; wiadomo bowiem, że
póty moc ożywcza trwa w kwiecie,

póki woń z niego nie uleci. "Już
słońce się zniża - pomyślała
Kasia - trzeba się śpieszyć
bardzo". - Kwiat życia napelniał
ją taką otuchą, że gotowa była
na wszystko. Pobiegła z wesołym
sercem, już jej nikt nie zmoże
ani Wodnika się nie boi.

Zasrebrzył się lód jeziora,
poskoczyła prędko ku przerębli i
bez namysłu rzuciła się w wodę.
Plusło tylko i ani śladu, ani
znaku, co się stało w tej
chwili. Kasia tak prędko spadła
na samo dno, że nawet nie miała
kiedy zmarznąć, a tam na dole
wcale inaczej niż na ziemi:
ciepło, światło nie takie

jaskrawe, jakieś zielone,
przyjemne; mchy trochę śliskie
na spodzie, tataraki i trzciny
gęsto kępami rosną, a wśród nich
cały naród małych rybek i dużych
starych ryb kręci się i uwija.
Jedne płyną prosto przed siebie,
inne rzucają się zygzakowato,
inne znowu, zamyślane nad czymś,
trwają nieruchomie w miejscu, to
znów dwie lub trzy szturchają
się nosami, jakby sobie
tajemnicę opowiadały...

Zapomniała się Kasia w pierwszej
chwili i ciekawie przypatrywała
wszystkiemu. Nagle klasnęła w
rączki, aż się karpie
przestraszyły i rozskoczyły się
na wszystkie strony.

- O Boże... ja tu stoję
i nic nie robię, a tam biedny
Janek pewno tęskni za mną i
wybawienia wygląda!

Ale gdzie go szukać? Przed
sobą, za sobą nic nie widzi, ino
trzciny, sitowie i ryby.

- Trzeba iść naprzód, może
kogo napotkam, może mi kto drogę
pokaże.

Idzie, idzie, zda jej się, że
bardzo już długo, spotyka
znajomego parobka co utonął
przeszłego lata kąpiąc się w
Gople.

- O, Bartek... słuchaj no...
którędy droga do Wodnikowego
pałacu?

A on patrzy na nią zimnymi jak
ta woda oczyma, ani się
uśmiechnie, ani głową ruszy,
idzie dalej, jakby nie słyszał.

Strasznie się Kasia zmartwiła,
że jej Bartek dopomóc nie
chciał. A jej tak pilno, trochę
ją strach ogarnia, nuż Janka nie
odnajdzie... jezioro takie
ogromne.

- Ach, Boże! To Hania
Stolarzówna siedzi na
kamieniu... Dzień dobry ci,
Haniu! Nie spotkałaś gdzie
naszego Janka?

A ona patrzy zimnymi jak ta
woda oczyma, ani się uśmiechnie,
ani głową ruszy, siedzi
spokojna, zadumana, jakby wcale
nie słyszała.

- Józiek... Józiek... czekaj
no... nie poznajesz mnie? To ja,
Kasia od Andrzeja Pszczoły; nie
pamiętasz to, jakieśmy się ładnie
razem bawili? Czekajże... nie
odchodź, nie widziałeś tu gdzie
naszego Janka?

A on patrzy zimnymi jak ta
woda oczyma, ani się uśmiechnie,
ani głową nie ruszy, idzie
prosto przed siebie, jakby nie
słyszał wcale.

- Jezusieńku najśłodszy! Dyć
to Janek tam z pręcikiem stoi!

Biegnie Kasia oszalała z
radości, rozwarłszy ręce
szeroko, prosto na Janka biegnie.

- Jasieńku... widzisz, jak mi
pilno było do ciebie? Dopiero
czwarty dzień, a już przybiegłam
cię wybawić. Jasieńku...

Janeczku... czemu tak stoisz
smutny? Pocałuj mnie, już się
skończyło nasze nieszczęście,
zawiodę cię do domu, toż się to
matusia, tatuś, babunia,
wszystkie dzieci ucieszą!

A on patrzy na nią zimnymi jak
ta woda oczyma, ani się
uśmiechnie, ani głową ruszy,
pręcikiem karpie do kupki

zagania, niczym pastuszek gąski
na łące, i stoi cichy, jakby nie
słyszał wcale.

- Jasiu... Janeczku... co to

takiego? Dlaczego nic nie
mówisz do mnie?

- On już mój, już go nie
wrócisz do życia, on mój do
końca świata! - zahuczał głos
ponury gdzieś spoza gęstwiny.

Siódme dreszcze przebiegły
Kasię, ale odważnie idzie w tę
stronę, skąd głos usłyszała.

Siedzi sobie Wodniczysko
rozparte na szerokiej skale i
tłustego karpia na surowo z
łuskami, ze wszystkim zjada, a
oczyma łypie jak jaki diabeł.
Gdyby nie żywokwiat_ ziele w
zanadrzu pod katanką, dałby on
Kasi, dał, a tak nie śmie, ino
go gniewy srogie rozpierają.
Stała dziewczyna przed
Wodnikiem i wręcz na niego
krzyczy.

- Janka mi oddaj! - powiada.

A ten się zaśmiał, aż woda
zabulgotała.

- Aha, w te pędy ci go oddam!
Weźże go, nie bronię, bierz
zaraz!

- Kiedy mnie nie poznaje, nie
chce gadać do mnie...

- A widzisz? Duszy nie ma, cha,
cha, cha!

- Duszę oddaj!

- Jak sama znajdziesz, to bez
pozwolenia bierz; ale twój
kwiatek zwiędnie jutro o
zachodzie słońca. Janka nie
uratujesz i sama zginiesz na

wieki.

- A niedoczekanie twoje,
śleporodzie jeden! Ani myśli
takiej nie dopuszczę do siebie.
Pozwolił mi Pan Jezus tu
przyjść, to i zdrowo na ziemię
wyprowadzi.

Raz jeszcze wróciła do Janka,
popatrzyła nań serdecznie,
wzięła za rękę, pocałowała w
buzię, on nic... martwy gorzej
kamienia. Więc poszła dalej,
gdzie oczy poniosą. Spotykała po
drodze topielców i topielic
dużo: młodzi, starzy, kobiety,
dziewczęta, parobcy, dzieci,
wszystko to wałęsało się w
różnych stronach, niby

próżnując, ale każdy był w
służbie u Wodnika i pańszczyznę
swoją odbywał, ino Kasia nie
rozumiała się na tym. Spać się
jej wreszcie zachciało, bo wiele
godzin minęło odkąd skoczyła do
jeziora, i wielki kawał drogi
schodziła nadaremnie. Więc
przedarła się w głąb jakichś
wodorostów, żeby jej ryby nie
szturchały, położyła się na mchu
i zasnęła. Po kilku godzinach
zbudziła się wypoczęta i zdrowa,
chusteczkę powolutku z zanadrza
wyjmuje, wacha nie rozwiązując;
pachnie mocno.

- No, to chwała Bogu, jeszcze
mam sporo czasu przed sobą.

Jakieś natchnienie ją
przeniknęło, by nie iść głównym,
szerokim gościńcem, tylko po
krzakach się kryjąc szukać
powolutku pałacu Wodnika,

**zakraść się tam niepostrzeżenie
i śledzić, gdzie owa izba
złowroga, w której straszycie
dusze ludzkie przechowuje. Co
sobie ułożyła, tego i dokazała;
ani jej ryby, ani topielcy nie
spotkali, takimi zaułkami
posuwała się naprzód i naprzód,
aż wreszcie zaszła pod pałac.**

**Nic to nie było szczególnie
ciekawego do widzenia, bo Wodnik
nie dbał o wspaniałość, ino o
wygodę; więc gmach był z
wielkich brył kamiennych
wybudowany, dach kryty muszlami,
okna szerokie i wysokie,
kryształowymi szybami oszklone,
a wewnątrz sprzęty proste, ino
posłanie na łożu ze mchu
najdelikatniejszego, żeby
szkaradnemu potworowi miękko
spać było.**

**Kasia zajrzała do sieni przez
uchylone drzwi, nie ma nikogo...
Weszła do pierwszej izby, nie
ma nikogo... idzie dalej, aż
dotarła do sypialni Wodnika, i
tu pusto.**

**- Musiał pójść gdzieś za
swoimi sprawami albo topielców
dręczy. Schowam się tutaj, może
co wypatrzę, może co podsłucham.**

**Wlaza pod łożko i przytuliła
się do samej ściany.**

**Zaledwie się jako tako
ułożyła, żeby jej widać nie
było, dały się słyszeć ciężkie
kroki i grzmiące pokaszliwanie:
stary Wodnik wszedł do izby.
Rozejrzył się podejrzliwie po
wszystkich kątach, szczęściem,**

że mu się pod łóżko nie chciało schylać.

- Dziwna rzecz, gdzie ta żywa dziewczyna łązi- mruczał pod nosem - od wczorajszego wieczora nigdzie jej nie widzę. Coś ja to miałem ważnego na myśli i zapomniałem... aha... ciekawość, co to za dziwo spadło dziś rano pod łód... przyniósł mi je któryś z tych mazgajów darmożjadów... zobaczę, co to takiego.

Zdjął z wysokiej skrzyni baryłkę niewielką, wyciągnął zębami szpunt, powąchał...

- Jakaś woń wcale niezgorsza - szepnął zaciekawiony. Przytknął do gęby, przelknął raz, drugi...

- Jak Lucypeerowi zdrowia życzę, wyborny jakiś napitek. Ino z tego naczynia pić niezdarnie.

Postawił dzban miedziany, przelał doń wszystko z baryłki i prawie jednym tchem pełen dzbanek wychylił. Potem się roześmiał skrzypiącym śmiechem.

- Teraz by warto zajrzeć do moich duszyczek, póki ten brzdąc przekłęty łązi, sam nie wie gdzie...

Pocisnął jakąś zasuwę w ścianie, skryte drzwi się otwarły, i wszedł do drugiej izby, której Kasia ze swego kącika dojrzeć nie mogła. Długą chwilę nie było go widać, wreszcie wyszedł podśpiewując sobie i zataczając się od ściany do ściany, jak się to pijakom przytrafia.

- Cóż, u licha, w nogi mi wlało! Zaziębienie czy jaki paraliż? - wrzasnął ze złością. Ale wnet dobry humor zwyciężył. Wodnik drzwi za sobą z trzaskiem

zamknął, zwałił się jak długi na
łóże i chrapnął w jednej chwili,
aż szyby zaczęły dzwonić w
oknach.

Teraz już Kasia bez obawy spod
łóżka się wysunęła; obraca się
na lewo i drzwi tajemnych
szuka... ale, niestety, ściana
gładziusieńka, ani szparki
najmniejszej, ani znaczku
żadnego. Ryby, raki, muszle,
żaby na niej pomalowane...
przecie musi być sposób, ino
jaki? Ogląda malowanie,
przypatruje się pilnie...
wszystkie rybki srebrne,
zielone, dlaczegóż jedna
czerwona?... Przycisnęła ją
palcem, traff! Ściana się
rozsunęła, a przerażonym oczom
Kasi ukazała się tajemna
komnata, o której babusia
opowiadali. Oj, półki, półki
jedna nad drugą... gąsiorków
tysiące szczelnie zamkniętych, w
każdym pono jedna dusza
uwięziona...

- O Jezu... jakże ja poznam,
która Jankowa! - zapłakała Kasia.

Podniosła oczy na pierwszą
półkę z brzegu i stoi z
załamanymi rękoma; patrzy na
drugą, na trzecią, patrzy niżej,
patrzy wyżej...

- Janku... Jasieńku... która
twoja dusza?

Wtem w jednej flaszcze jarzące
iskierki zaczęły skakać...

- Tyś to, braciszku
najmilejszy?

Chwyciła czym prędzej flaszkę
i chce uciekać; aż tu iskry

**zabłyły we wszystkich
więzieniach: dusze błagają Kasię
o litość.**

**- Nie mam czasu, duszyczki,
kiedyż bym ja tyle korków
powyjmowała? Ale tak was
zostawić... do sądnego dnia w
niewoli? Czekaście, zaraz ja tu
porządek zrobię!**

**Machnęła rączką przez jedną,
drugą półkę, flaszki pospadały
na kamienną posadzkę, potłukły
się na drobniuteńkie okruszyny,**

**z wyższych półek postrącała
drażniem, co był w kącie oparty;
ani jedna cała flaszka nie
została.**

**Uwolnione dusze uleciały w
górze w postaci złotych ogników i
znikły. A Kasia z
niewypowiedzianą radością w
sercu wybiegła szalonym pędem z
pałacu wodnego potwora. Ledwie
próg przestąpiła, zaraz
niedaleczko na rybiej łączce
dostrzegła Janka pasącego
karpie tak jak wczoraj.**

**Poskoczyła do niego. Już ani
próbowała mówić z nim, ani go
całować, ino otworzyła mu przemocą
buzię i wyjąwszy korek z flaszki
dała wypić one iskry złociste.**

**Szara bladość ustąpiła z
twarzy braciszka, martwe oczy
zajaśniały życiem, rzucił się na
szyję siostrzyczce...**

**- Kasiuniu... co my tu robimy
w tej głębinie? Po cośmy tu
przyszli?**

**- Nie pytaj, nie pytaj,
uciekajmy co sił, zanim się**

Wodnik obudzi.

- Jaki Wodnik?

**- Nie pytasz, Jasieńku, chwyć
mnie za katanę, musimy się
spieszyć, bo jakoś tracę siły.
Kwiat życia chyba już więdnije.**

**Pobiegli oboje w stronę
Wodnikowego okna, które z dołu
wyraźnie było widać! Kasia
chwyciła się trzciny, a trzcina
tejże chwili urosła w drzewo
grube, z gęstymi gałęziami aż ku
górze. Dzieci z łatwością
wspinały się na sam wierzch,
stanęły na lodzie i z krzykiem,
śmiechem, z uciechą nieopisaną,
jakby wiatrem gnane, leciały do
domu.**

**Że babusia, mama i tatuś nie
pomarli na ich widok, to tylko
dlatego, że prawie nigdy nie
umiera się z radości.**

*** * ***

**A lód na jeziorze jak nie
zacznie pękać i trzaskać. Tak do
samej północy strzelało niczym
z armat. Nad okienkiem Wodnika**

**coś niby słup mglisty unosiło
się, wyższe od sosen
nadbrzeżnych, i wyło tak ponurym
a przeraźliwym głosem, że
ludzie po chałupach poklękali i
pacierze mówili, psy w budach
się pochowały, koguty piąć
zapomniały. Strach zapanował
taki, że wypowiedzieć nie sposób.**

**A bo to Wodnik ryczał z
rozpaczy, że mu Kasia tyle
tysięcy dusz z niewoli wypuściła.**

*** * ***

Minęło kilka dni, Kasia poszła

do lasu na starą mogiłę, ale
jakoś nigdzie wejścia do jaskini
znaleźć nie mogła. Przez szparkę
w skale krzyknęła tylko:

- Dziękuję za pomoc, kochani
ludkowie! Daj wam Boże Wiosnę
zdrowo odchować!

A z głębi tysiąc cieniutkich
głosików odpowiedziało:

- My z tobą, dobra Kasięńko!
Całe życie będziesz szczęśliwa.

W zaczarowanym młynie

Był sobie raz głupi Wojtek. Od
małego dziecka tak go ludzie
przezywali i choć pracowity był,
do czego się wziął, dobrze i
porządnie zrobił, na każdej
książce pięknie czytał, nawet i
pisać umiał jako tako, już się
ten przydomek od niego nie
odczepił... głupi Wojtek, i
tyle. A macochę miał straszną
złośnicę. Dokuczała mu i językiem,
i ręką po karku, i rzemieniem po
plecach, nie za to, to za owo.
Nigdy jej nie mógł dogodzić,
wiecznie coś cierpiała do niego.

Aż mu się wreszcie sprzykrzyło
i postanowił iść w świat służby
szukać. Wolałby ci on, wolał, u
którego z gospodarzy we swojej
wsi za parobka stanąć, ale na
nic by się to nie zdało, bo by
go tatuś tej samej godziny do
chałupy przygnali z powrotem,
skórę jak się patrzy
wygarbowali, a macocha by swój
przyczynę dołożyła. Więc nie
było rady, ino daleko do obcych

ludzi iść i tam roboty szukać. A Wojtek, choć wcale nie taki głupi, jak by kto myślał, na jedno był niemądry: nie wiedział, gdzie się obrócić, kogo się zaradzić. Prócz Suchodołów, gdzie się urodził, i Mirowa, gdzie do kościoła co niedziela chadzał, jeszcze, odkąd żył, nijakiej innej wsi ani miasteczka nie znał. Więc mu jakoś markotno było, w którą stronę świata iść, czego szukać, z kim gadać.

"A niech ta! - pomyślał sobie jednego wieczora, gdy mu już macocha za siódmą skórę zalazła. - Niech ta, lpójdę se zaraz jutro, gdzie oczy poniosą, przecie mnie smoki nie zjedzą, bo już chyba gorszego jako nasz w chałupie nie napotkam".

Wczas rano się zerwał, pół bochna chleba z półki chwycił, bieliznę do węzła zawinął, kabat czerwony na siebie, sukmanę ino tak po wierzchu zarzucił, pawich piórek wiązkę na czapce umocował, pożegnał się i powędrował w świat. A że jedyna znajoma Wojtkowi droga prowadziła do Mirowa, tedy same się nogi w tę stronę obróciły. Idzie, idzie, nikogo nie spotyka, bo ledwo dnieje, ledwie gdzieniegdzie ptaszek ćwierknie, jeszcze zaspany.

Do miasteczka zaszedł... a teraz co? Za kościołem trzy ścieżki się rozchodzą: prosto, na prawo i na lewo... Którą wybrać? Ludzie, gdy kogo chwalą, powiadają "prostą drogą chodzi"; ale także nieraz gadają "prawy człowiek"; a w lewo znowu, to tak niby wedle serca. Którą ścieżkę wybrać?

- Aha, wiem! - zawołał na głos Wojtek. - Podrzucę wysoko czapkę, w którą stronę spadnie, tędy i ja pójdę.

Śmignął czapką, jak ino mógł najwyżej, upadła na prawą ścieżkę.

- Ot, już nie trzeba namysłu,

wiem, gdzie idę.

I obrócił się w prawo.

Może ze ćwierć mili uszedł, a tu las mu na poprzek staje. W Suchodołach nijakiego lasu nie było, więc też zdziwił się Wojtek dosyć, po co tyle drzew razem rośnie. "Ano, trza iść w tę gęstwinę - myśli sobie - kiedy mi się już taka droga wyznaczyła, to nie ma co przebierać ani się zawracać, ino śmiało przed się, i koniec. Ładnie tu i chłodno, i cienisto... już teraz będę rozumiał, jak ludzie o lesie zaczną gadać".

Idzie drugie ćwierć mili, patrzy, chatka niziutka, szerniała strzecha na niej, okienko jedno w ścianie i drzwiczki na ścieżaj otwarte. A w sieni na zydelku staruszek siwy siedzi i groch łuska do garnka.

- Niech będzie pochwalony - przywitał go Wojtek.

- Na wieki wieków - odparł dziadek. - A skąd to, parobeczku?

- Ze Suchodołów.

- A za czym?

- Służby szukać: nie narailibyście mi jakiej?

- Czemu nie; o służbę łatwo,
ino nie o dobrą.
- A dobrej byście nie
wiedzieli?
- Może bym ta i wiedział. Do
zaklętego młyna zgodziłbyś się,
synku?
- Co bym się nie miał zgodzić;
ino nie wiem gdzie.
- I ja nie wiem; ale mam brata
starszego w drugim lesie, jego
się idź zapytaj.
- A którądy mam iść?
- Ino prosto, a prosto; jutro
na południe zajdziesz. A za
dobrą poradę narąb mi drewek do
pieca i wody przynieś ze źródła.
Usłużył Wojtek staruszkowi i
grochu mu pomógł nałuskać;
ugotowali, zjedli razem,
pożegnali się i chłopak poszedł
dalej. Zanocował w polu pod

stogiem siana, rano się zerwał i
pędzi dalej naprzód, myśli, że
rychlej zajdzie; albo to prawda?
Mówił dziadek, że na południe -
to na południe. Znowu las
gęsty, dęby grube, więcej jak
po sto lat mają. Do chatki
pustelnika zaszedł, taki sam
dziadzius na progu siedzi, ino
starszy o wiele, a brodę ma po
sam pas. Pięknie go Wojtek
pozdrowił i o drogę do zaklętego
młyna pyta.

- Dawnom już tam nie był -
powiada staruszek - to i
zapomniałem; ale mam starszego
brata, on wie z pewnością.

- A którądy do niego?

- Ino prosto, a prosto; w

trzecim lesie go znajdziesz. Za dobrą poradę zamieć mi izbę i wymyj okienko, bom ja już stary, sam nie zdolę.

Usłużył Wojtek staruszkowi, jeszcze i pęcaku przypilnował w ogniu, co by się nie przypalił; pojedli ze smakiem, pożegnali się i chłopak poszedł dalej.

Wszystko się tak stało jako za pierwszym i drugim razem.

Znalazł w trzecim lesie trzeciego pustelnika; a stary był strasznie i brodę miał po kolana. Pyta go Wojtek o młyn zakłęty, a dziaduś rzecze:

- Dobra tam służba, ani słowa; i zapłata rzetelna, nie lada jaka, ale praca ciężka, nie każdy się podejmie.

- A cóż tam trzeba robić? - pyta Wojtek.

- Tego mi powiedzić nie wolno. Sam zobaczysz i sam musisz odgadnąć.

- To mi choć drogę pokażcie, dziadku - i pokłonił się nisko.

- Idź jeden dzień prosto na zachód słońca, drugi dzień ku południowi, pół dnia na wschód, pół dnia na północ i dalej tak ciągle powtarzaj, póki przed sam młyn nie zajdziesz. A za dobrą poradę przynieś mi w tej płachcie suchych liści z lasu, bo mi się posłanie uleżało i

kościska stare bolą.

Usłużył Wojtek dziadkowi chętnie, jeszcze mu i jagód sporo nazbierał; jedli oba, pożegnali się i poszedł chłopak

w drogę do zakłętego młyna.
Powtarza sobie, żeby nie zmylić:
jeden dzień na zachód, drugi na
południe, pół dnia na wschód,
pół dnia na północ.

Szedł tak może ze dwa
tygodnie, po drodze trafiał na
wsie przeróżne, wszędzie go
pozywili, napoili, a każdy mu
się dziwował, co za odwagę ma
taką zuchwałą, że się zakłętego
młyna nie boi. Nikt wprawdzie
tam nie był ani o takim młynie
nie słyszał, ale mu wszyscy
odradzali i przepowiadali
straszne przygody. A Wojtek tak
się zawiązał na oną służbę i
szedł z wytrwałością i ochotą
wielką. Ostatnie dwa dni bardzo
mu się naprzykrzyły, bo żadnych
wsi ani przysiółków nie spotykał
po swojej drodze, ino lasy,
łąki, stepy rozległe; nawet
podróżnych nijakich prócz niego
nie było. Dobrze jeszcze, że
wziął chleb i sera kawał na
zapas, bo by musiał chyba głodem
przymierać.

Dzień był gorący. Wojtek długą
wędrówką zmęczony, więc
powolutku mu onego stepu
ubywało; aż o szarym zmierzchu
dojrzał w niewielkim oddaleniu
mur wysoki.

"Ano, Bogu dzięki... przecie
jakieś ludzkie mieszkanie -
pomyślał - może mnie przenocują
i drogę pokażą".

Dochodzi bliżej, bramy szuka,
a tu hałas, szum wody, łomotanie
wielkie.

- Aha... to będzie ów młyn,
ani chybi.

Furtkę w murze otworzył, koła
się obracają, woda po nich
spływa i tryska, a kamienie
terkoczą: "tarte przetarte,

tarte przetarte" ...

**- Gdzież tu jaki gospodarz od
tego młyna? - krzyknął Wojtek**

**nie widząc nikogo przy domu. Ale
zapewne źle patrzył, bo pod
ścianą na ławce siedziała
starowinka jak grzybek i kądział
przędła.**

**- Wyście młynarka? - pyta
Wojtek.**

**Położyła palce na usta, a
potem głową i oczami coś mu
jakby pokazała. Odwrócił się
chłopak, a tu koń stoi na
podwórku ciężkimi worami
obładowany.**

**- Aha, gadać nie trzeba, ino
robić; ano, to dobrze.**

**Zdjął wory ze zbożem z konika,
wyniósł po jednym na górę i pod
kamienie podsypał. Potem obszedł
wszystkie kąty, czy się co nie
psuje, czy nie ma jakich
bydłątek do pokarmienia albo
innej roboty. W kurniku
siedziały już kury na grzędach i
spały, krowa w obórce miała
wszystko zładzone jak się
należy, pies wystawił łeb z
budy i przypatrzył się Wojtkowi,
koń się gdzieś podział i babki
już na ławie nie było.**

**Przeczekał tedy Wojtek do
północy, aż wszystko zboże
zostało zmielone; zatrzymał
młyn, zsypał mąkę do worków i
zaniósł na dół, by oddać temu,
kto po nie przyjedzie.**

**"Warto by się teraz przespać -
myśli sobie - ale nie wiem,
gdzie jaka izdebka dla mnie".**

**A tu się coś o jego nogi
ociera. Spojrzał, koteczka
biała, patrzy na niego tak
mądrze jak człowiek - biegnie
naprzód, a co ujdzie kilka
kroczków, to się na niego
ogląda.**

**- Aha, mam iść za tobą? - pyta
Wojtek; ale kotka też była
niema, ani miauknie, ino w
korytarz idzie i przed drzwiami
staje. Doprowadziła Wojtka do
izby, a sama gdzieś się podziała.**

**Wszedł śmiało, izdebka ładna,
na stole latarnia się świeci,
miska czyściutka pełna kwaśnego
mleka, chleba światłego cały**

**bochenek i nóż przy nim, znaczy:
kraj i jedz, ile chcesz. Bardzo
się to Wojtkowi podobało, bo też
był strasznie spracowany i
głodny aż hej. Łóżko też czystą
pościelą zasłane.**

**"To jakaś poczciwa babusia,
dba o swego parobka" - pomyślał
rozciągając się z
ukontentowaniem na sienniku.**

**Zasnął smacznie, pierwszy raz
od tylu dni w porządnym i
wygodnym łóżku. Śpi twardo, a
śni mu się dziwne rzeczy:
koteczka biała siedzi na jego
poduszce i tak mu do ucha szepce:**

**- To, co dziś robiłeś,
będziesz robił co dzień; worki
ze zbożem masz z konia
zdejmować, mąkę nań ładować na
powrót, tylko młyn do ciebie
należy, więcej nic. Dziś gadałeś
do gospodyni i do mnie, a to
jest surowo zabronione. Pierwszy**

raz uszło ci bezkarnie, ale pamiętaj, że mówić tutaj nie wolno. Gdybyś mnie nie usłuchał, służbę stracisz.

- No, ale kiedy sama rozmawiasz ze mną, kiciu - odrzeczę Wojtek - to mi raz na zawsze wytłumacz, co to wszystko znaczy.

- Wszyscy, ile nas tu jest, prócz kur i krowy - powiada kotka - odbywamy ciężką pokutę za grzechy. Młynarka szkodziła sąsiadom i sąsiadkom złośliwym językiem: obgadywała jednych przed drugimi, bajkowała, różniła ludzi między sobą, że na dziesięć mil wkoło niezgodę ino siała i jątrzyła. Koń, co tu zboże przynosi, był gospodarzem w niedalekiej wsi, ale się rozpił i rozpróżniaczył, że dobytku nie pilnował, o rolę nie dbał, ino w karczmisku ciągiem przesiadywał. Psa widziałeś w budzie przy bramie? To był parobek młody i zgrabny jako i ty, ale włóczęga niezmierny i złodziej; teraz musi na łańcuchu siedzieć i cudzego dobra pilnować. Kogut był paniczem we

dworze: do południa sypiał, uczyć się nie chciał, nawet na obiad nieraz mu się wstawać nie chciało, kazał sobie jadło do łóżka przynosić. Teraz o północy musi pisać i wczesno przed wszystkimi się zrywać, a do roboty budzić.

Zamilkła koteczka i łapką sobie uszko umywa.

- No, a ty, co takiego nabroilaś?

- Ja... ja jestem młodszą siostrą koguta; byłam panienką, miauu...

- No, gadaj, gadaj, nie wykręcaj się.

- Nie cierpiałam wody i mydła, wrzeszczałam wniebogłosy, jak mię w dzieciństwie nianka myła albo kąpała; później, gdy urosłam, stałam się jeszcze bardziej nieporządnym brudasem. Przy tym... miauu...

- No, przy tym?

- Grymasiłam strasznie w jedzeniu...

- Aha! - przerwał jej Wojtek ze śmiechem - teraz musisz rada nierada myszami się żywić, a co ci zbędzie czasu od polowania, to się ino myjesz.

- Miauu, miauu... - zajęczała koteczka.

- A któż was tu wszystkich zgromadził w tym młynie?

- Pustelnik jeden bardzo stary przemienił nas w zwierzęta i tu kazał mieszkać póty, póki nas nie wyzwoli człowiek, co siedem lat w pracy między nami przeżyje, a przez cały ten czas ani jednym słowem się nie odezwie. Młynarkę jedynie pozostawił w ludzkiej postaci, żeby jej trudniej było milczeć niż nam, co w zwierzęcym ciele nie jesteśmy zdolni do mowy.

- No, a jak się taki znajdzie, co wytrwa?

- Młynarka się w proch rozsypie, bo już ma ze dwieście lat, a my, co tu niedawno dopiero pokutujemy, wrócimy z radością do swoich. Bądź zdrów,

już dnieje; trzeba mi do roboty
spieszyć.

Gdy się Wojtek obudził rano,
taki był rzeźwy i wesół, że się
omal nie rozpędził i nie
zaśpiewał krakowiaka; dobrze, że
sobie w porę przypomniał i ręką
usta przytknął. Wyszedł na
podwórze, koń stoi z workami
zboża na grzbiecie. Zabrał te
wory, a naładował mu gotową mąkę
i koń poszedł. Pies ino łypnął
okiem z budy, ale się nie rusza.
Babka siedzi i przędzie;
wszystko tak jak wczoraj, nic
się nie zdaje inaczej, niż u
ludzi bywa.

"Czy mi się to wszystko śniło,
co mi ta kotka mówiła?" - myśli
sobie Wojtek, ale się nie
odzywa do nikogo. Puścił młyn,
koła się obracają, kamienie
terkoczą: "tarte przetarte,
tarte przetarte"...

Ze trzy razy biedne konisko
przychodziło w ciągu dnia ze
zbożem, a Wojtek w milczeniu
robił, co do niego należało.

Na obiad miał żur z kielbasą i
ziemniaki, pojadł se godnie.
Wieczorem jagły na gęsto i
słodkie mleko. Dzień za dniem
upływał jednym porządkiem. Kto
gotował, kto się zajmował całym
gospodarstwem, nie można było
odgadnąć, tym bardziej że się
Wojtek wcale do niczego nie
mieszał; nie był ciekawy po
kątach szperać, a co wyszedł
przede drzwi, zawsze babusię z
kądzielą na ławie widział.

"A niech ta, czary, nie czary,
co mi tam do tego" - myślał.

Nadeszła zima; kalendarza nie było we młynie, ale przecie wyglądało na to, że się nieza_ długo nowy rok rozpocznie. Jednego dnia koń częściej ze zbożem przychodził, późno się Wojtek położył, więc sobie trochę zasnął. Budzi się, a tu na stołku leży nowy kabat, bielizny po parę sztuk, a na podłodze buty świecące, aż radość spojrzeć.

- Aha, Nowy Rok, kolęda!
Dzięki Bogu, bo mi się już stare łachy drzeć zaczynają.

Minął drugi rok, znowu na kolędę nowe odzienie, wszystko, co trzeba. Przykrzyła się co prawda jednostajna robota Wojtkowi, a jeszcze bardziej ono ciężkie milczenie... zdawało mu się czasem, że nie wytrwa, i ni z tego, ni z owego chciał krzyczeć w głos, ile sił ino miał w piersiach. Ale skoro pomyślał, że całe utrapienie na nic, że go wypędzą ze służby, zapłaty nie dadzą, a biedne pokutniki znowu długie lata cierpieć będą, zaraz mu otucha wracała, ścisnął zęby, swoje robił i milczał.

Tak się to zdaje łatwo powiedzieć: siedem lat... ale niechby ino kto spróbował!
Sześć razy następowała zima po lecie, sześć razy powtórzyła się kolęda. Im dłużej ta służba we młynie trwała, tym bardziej widział Wojtek, że wszystko ku dobremu idzie, bo i babka ze

swoją wieczną kądzielą, i
zaczarowane zwierzęta coraz były
weselsze; jednego dnia to nawet
koń tak jakoś popatrzył na
niego, jakby chciał przemówić, i
widno się zapomniał, bo jak nie
zarzy... hi, hi, hi, aż
Wojtka ciarki przeleciały. Od
tyłu lat prócz piania koguta i
turkotu młyna głosu żadnego nie
słyszał. Zamyka furtkę za
koniem, a pies wyskakuje z budy,
łasi się po pierwszy raz i też
takim ludzkim okiem na niego
spogląda. Poglaskał biedne
psisko, odwraca się ku domowi, a
to co? Babusia kądziel na ławie
położyła i śmieje się do niego;
ino że ani jednego zęba nie
miała, to paskudnie było patrzeć
w owo śmianie. Kotka na schodach
siedziała, hyc, jednym susem
skoczyła mu na ramię; ociera
główkę o jego głowę i mamrocze
po cichu swoim kocim sposobem,
ale Wojtkowi koniecznie się

zdawało, że mówiła: "Barrrrdzoś
dobrrrry, barrrrdzoś dobrrrry".

Ano, tedy siódma jesień
minęła, siódmy Nowy Rok minął,
Wojtek sobie rachuje, że w
poziomkowej porze do służby
nastał, to i niebawem będzie
koniec. Ale swoje robi, zrywa
się co dzień skoro świt, worki z
konia zabiera, zmieloną mąkę na
niego ładuje, nie wtrąca się do
niczego i milczy jak kamień.

Jednego ranka wyjrzał oknem
na pole, choć się to na nic nie
zdało, bo mur przestraszny cały

świat zasłaniał, ale ino pogody
Wojtek był ciekawy. Patrzy,
niebo cudne, bez chmurki, a
gorąco... ogień od słońca idzie.

"Chyba to już lipiec albo co -
myśli Wojtek. - Trza iść do
mego koniska".

Schodzi na dół, na podwórze,
nie ma konia.

"Zapóźnił się? A może zdechl z
tego ciężkiego haroweania. Cóż
ja mam teraz robić? Ani się
pytać nie wolno, zresztą któż mi
odpowie? Ten pies w budzie?
Rety... nie ma psa!..."

Aż mu w oczach pociemniało, bo
się zaczął czegoś domyślać.

"Nie wytrzymam i spytam się
babusi, czy to może już koniec
naszej biedy?"

Ogląda się w tamtą stronę, nie
ma i babusi... kądziel na ziemi
leży, a na ławie spora kupka
popiołu czy prochu... takie coś
szare jak święta ziemia.

A mój Wojtek jak się nie
chwyci za głowę, jak nie skoczy
do furtki... Szarpnął klamkę co
sił, drzwi się otwarły, a on w
nogi... Ani po swoje rzeczy do
izby nie wrócił, ani o zapłacie
pomyślał, ino ucieka a ucieka.
Przecie mu tchu zabrakło, więc
przystanął na minutkę. Straszna
ciekawość go zbiera, czy jaka
zmora nie goni. Ogląda się
odrobinę, cicho wokoło...
ogłada się całkiem za siebie,
stepisko niezmierne, trawy ino
wiatr porusza, ani muru, ani

młyna, ani rzeki, wszystko się

gdzieś podziało czy w ziemię
zapadło. Rozgląda się
dookolusieńka, przeciera oczy,
cóż zobaczy, kiedy nie ma nic.

- Ano, pięknie mnie
wykwitowali za siedem lat
służby, z gołymi rękami
odchodzę, jakem z gołymi
przyszedł. Żeby choć do lasu
prędzej się dobić, zanim gorszy
upał będzie. - Już nie liczy,
jak ma iść, czy ku północy, czy
ku południowi, tylko bodaj
jakiego drzewka upatruje. Z
godzinę się przemęczył, jeść mu
się chce, pić mu się chce; no,
przecie las niedaleczko. Dowłókł
się do onego lasu, usiadł pod
drzewem i na płacz mu się
zbiera. Wtem przypomina sobie,
że wczoraj przy robocie miał
placek z serem, ale nie był
głodny i do kieszeni włożył... a
juści, jest coś w kieszeni...
Wyciąga spory kawał placka...
ugryzł, ach, co za przysmaki! Na
ostatek mu babusia podchlebiła.

Ale jak się kto raz w czary
zapłacze, to nie tak łatwo się
wywikłać. Wojtek zajada a
zajada, a placka ani kruszynki
nie ubywa. Jak była ćwiartka
spora, taka i jest; można
ogryzać ze wszystkich stron, w
tej chwili na powrót przyrasta.

- To ci figlasy ze mną
wyprawili - śmieje się Wojtek.
Najadł się do sytości, odpoczął
sobie w cieniu, więc mu się
humor poprawił. - Jeszcze tam
coś twardego w kieszeni...
trzeba zobaczyć.

Wyjmuje... woreczek ze
zgrzebnego płótna, sznurkiem
ściągnięty. Rozwiązał, zagląda -
duży srebrny pieniądz.

- Fiu, fiu... hojna zapłata za

**siedem lat! - I znowu się
śmieje, bo mu tak wesoło i lekko
na sercu, że to już może i
gadać, i śpiewać, i że ten mur
zatracony przed oczyma już mu
nie stoi.**

- Ciekawość, czy talar, czy

rubel, czy pięć koron?

**Bierze w palce, obraca, nie
rozumie napisu, ale wszystko
jedno, zawsze pieniądz. Woreczek
spadł na trawę, bierze go Wojtek
do ręki... cóż u licha? Znowu
talar w nim siedzi? Wyjął ten
drugi, jest trzeci; wyjął
trzeci, jest czwarty...**

**- Ho_ho... to ja sobie wielki
pan, mam pieniędzy więcej niż
sam król!**

**Wsypał talary do sakiewki,
ojoj... gdzież się tamte
podziały? Tylko jeden został!
Brzydkie takie żarty...**

**Ale gdy kilka razy woreczka
czarodziejskiego wypróbował,
zrozumiał jego tajemnicę: nigdy
mniej, nigdy więcej, zawsze
jeden talar.**

**Można przez godzinę i przez
cały dzień brać z niego, zawsze
jeden zostanie. Ino mieć rozum i
nie wsypywać z powrotem.**

**- Placek przyrostek i trzosik
jednogrosik w kieszeni, to już
człowiek ma życie spokojne!
Prawdę powiedział najstarszy
dziadek, że zapłata rzetelna i
nie lada jaka... toć ja teraz
pan całą gębą. A żem się w
zaczarowanym młynie milczenia
dokumentnie wyuczył, to mi się**

**tak nie stanie jako onemu
chłopcu, w bajce, co to
przeróżne dary dostawał, zawsze
się wygadał i chytry ludzie
wszystko pozabierali. Ho _ho,
pierwej macocha swoje ucho
uwidzi, niżeli mój woreczek i
mój placuszek. Poczęstować,
dlaczego nie, każdemu ukroję i
dam, ale zawždy się pierwej
zamknę w jakiej komórce, żeby
mnie kto nie podpatrzył. No -
komu w drogę, temu czas, pójdę,
gdzie oczy poniosą, a po drodze
ludzi się rozpytam, to i do domu
trafię. Oj, Boże, Boże... Gdzie
Mirów... Gdzie Suchodoły! Tyle
lat mnie tam nie było. Pewno
tatuś myślą, że już mnie na tym
świecie nie zobaczą.
Przeczekał w lesie najgorętsze**

**godziny, a potem puścił się w
drogę. Zachodzi do jakiejś wsi
późnym wieczorem, spotyka
gospodarza niemłodego i pyta,
czy by go nie przenocował.**

**- Ja bym ciebie miał nie
przyjąć, mój Wojtusi kochany?
Własnego łóżka ci ustąpię, sam
jadł nie będę, byleś ty miał
zadosyć.**

**- Cóżecie taki dobry dla
mnie i skąd wiecie, że mi
Wojtek?**

**- Ani kumoter żaden nie jest
mi tak bliski jako ty.**

- Dy ja was nie znam.

**- Widzisz, a dopiero
wczorajeśmy się widzieli.**

**- Co to, to nieprawda,
wczoraj służyłem w za... we**

młynie.

**- A któż ci bez siedem lat
zboże nosił, he?**

- Rety... Wyście to byli?

**- A ja; ino nie gadaj o tym
przed moją babą ani przed nikim.
Oni wszyscy myślą, żeśmy oba z
Jędrkiem byli w Ameryce i
dopiero dziś przede dniem
wrócili.**

- Z jakim Jędrkiem?

**- Ano, znałeś go, w budzie
przy bramie, dziś se wszyscy
trzej razem powieczerymy.**

Poszli do chaty Błażeja.

**Wojtek się wesoło zabawił, zjadł
ze smakiem, co mu podano,
wyskoczył na chwilę do sieni i
przyniósł ze sześć kawalców
placka, niby to z tłumoczka
wyjął. Rozmawiali do późna,
wypali się dobrze, a wczas rano
gospodarz i parobek odprowadzili
swojego wybawcę duży kawał za
wieś, aż do rozstajnych dróg.**

**I znowu musiał Wojtek czapkę
rzucić, bo nie wiedział, która
ścieżka najlepsza. Poszedł
prosto, idzie, idzie, ze dwa dni
węduje, aż trafił do wielkiej,
ładnej wsi. Domki dachówką
kryte, ogródki przed oknami,
sady po drugiej stronie, aż miło
popatrzeć. Minał wieś, aleja
lipowa prowadzi go do pięknego**

**pałacu. Przystanął u wrót i
spogląda ciekawie, bo jak żyje,
pańskiego dworu nie widział. Aż
tu z ogrodu wybiega panna
urodziwa w białej sukience, za
nią młody panicz, pewno brat, bo**

podobni do siebie jak dwie krople wody. Gonią się dokoła trawnika, a śmieją się czegoś, widno im wesoło na świecie. Spostrzegli Wojtka, podbiegają ku niemu...

- Miau! - krzyknęła panienka.

- Kukuryku! - zapiał panicz i uciekli w te pędy do pałacu.

Wojtek przetarł oczy... co to było takiego? Aż tu idzie ode wsi fernal czy jaki tam inszy parobek, więc go pyta:

- Co to za jedni ci dwoje, co biegli tędy tylko co?

- Ci dwoje? To dzieci naszych państwa - odpowiada parobek. - Siedem lat ich nie było, kończyli nauki gdzieś aż w Paryżu.

- Bodaj to prawda była! - wyrwał się niechcący Wojtek i parsknął śmiechem.

- Cóż w tym śmiesznego, że państwo za granicę na edukację wyjeżdża? - ofuknął go tamten.

A Wojtek aż się za boki trzyma i na przemiany sobie powtarza: "kukuryku", "miau".

"Ot, jakiś biedak zwariowany czy co" - pomyślał fernal i poszli każdy w swoją stronę.

I znowu długie dnie szedł Wojtek, ludzi się pytając i radząc, wreszcie skończyła się wędrówka, powrócił zdrowo do Suchodołów. A że pieniędzy miał zawsze pod dostatkiem i co niedziela przynosił z Mirowa doskonałego placka z serem, więc wszyscy mu byli radzi, a i macocha przestała dogryzać, bo już taki porządek na świecie, że bogatego każdy szanuje.

Ożenił się z Baską Wielgusówną i żyli, żyli szczęśliwie, a jeżeli nie pomarli, to do tej

pory żyją.

Głupi Maciuś i królewna

**Był sobie raz gospodarz
uczciwy, kowal z rzemiosła,
który miał trzech synów: Jaśka,
Staszka i Maciusia. Jako się to
często przy trojgu dzieciach
trafia, dwóch synów było
rozumnych, a trzeci głupi.
Ojciec ich wszystkich zarówno
kochał, ale Maciusia to nawet
popieścić i pogłaskać lubił,
niby że mu żal było biedactwa.**

**Ku starości się już kowalowi
życie pochylało, ręce z każdym
dniem słabły, młot co dzień
zdawał się cięższy, a ludzie
widząc, że robota Bartłomiejowi
nieraźnie idzie, woleli chodzić
do drugiej wsi, do młodego
kowala, bo ten śpiewająco
prędzej trzy konie podkuł,
zaczynając jednego. Tedy
smucił się stary, że mu bieda
zagłąda do chałupy, jeszcze mu i
żona nie wiadomo na jaką chorobę
w dwóch dniach pomarła, więc
zgryzota za zgryzotą, utrapienia
ciężkie powaliły biednego
kowala, zaniemógł śmiertelnie.
Jasiek i Staszek wynajęli się do
żniwa, żeby tatusiowi choć
butelczynę wina kupić na
pokrzepienie, a sobie chleba i
kaszy jakiej; Maciuś zaś
pozostał w domu, przysunął se
ławkę do tatusiowego łóżka,
siadł przy nim i płakał gorzkimi
łzami, bo strasznie tatusia**

**kochał. Bartłomiej postękiwał,
kaszlał, gorączka go
męczyła, wreszcie usnął. Budzi
się za jaką godzinę i tak rzecze
do Maciusia:**

**- Jakoś mi lżej trochę i głowa
nie boli, to się zwlokę i
przysposobię wam podarunki na
pamiątkę.**

**- Ady się nie ruszajcie,
tatusiu, jeszcze wam się
pogorszy, niech Pan Bóg broni
wstawać.**

**- Wstanę, synku, bo mi się
wyraźnie śniło, żebym tak
zrobił. Rozpal mocny ogień,**

przysposób kowadło, spróbujemy.

**Usłuchał Maciuś, bo się nie
śmiał tatusiowi sprzeciwiać, a
Bartłomiej, choć ledwie się w
nim dusza plątała, stanął przy
kowadle, wziął młot, żelazo do
białości rozpalil i kuje.**

**Ukuł foremną siekierkę jedną,
ukuł drugą, aż tu zesłabł nagle
tak, że omal na ziemię nie
upadł, ino go Maciuś obłapił i
do łóżka powolutku zaprowadził.**

**- O, moje dziecko, biedne,
kochane, toć ja już tobie nic
nie podaruję, nijakiej siły nie
mam.**

**- Co mi ta o siekierkę,
tatusiu, byleście ino
pozdrowieli.**

**- Oj, nie pozdrowieję, synku,
ani zachodu słonka nie doczekam.
Już mi ostatnia godzina bije.
Jak starsze chłopaki wrócą z
roboty, już mnie nie zastaną
żywego. Więc przynajmniej ciebie**

pobłogosławię.

Ukląkł Maciuś przed ojcem, a ten go Panu Jezusowi i wszystkim świętym polecił, przeżegnał krzyżem na czole, pocałował i tak sobie lekuśko zasnął na wieczne spanie, że ani Maciuś nie wiedział kiedy.

Pod wieczór przychodzi Staszek i Jasiek, niosą wino tatusiowi, a onego już nie ma na świecie. Popłakali się obaj jak bobry, ale że okrutnie byli spracowani i głodni, więc zjedli chleba, Maciusiowi też ułamali krzyżę, a potem poszli wszyscy spać.

Na drugi dzień rano wstali rażno, zajęli się pogrzebem, sprawili wszystko, jak mogli ino najlepiej. Cała wieś wyległa Bartłomiejowi ostatni raz posłużyć, bo go wszyscy ludzie szanowali.

Ano wracają chłopcy do domu.

- Co teraz będziemy robić? - gada Jasiek.

- Idźmy w świat, bo tu se nijakiej rady nie damy - gada Staszek.

- Ale co poczniemy z

Maciusiem? Taki niedołęga to ino kula u nogi.

- O mnie się ta nie turbujcie - powiada Maciuś. - Choć mi tatuś nie zdołali siekierki ukuć, ale mnie pobłogosławili, to mi się życie będzie wiodło jak po maśle.

- Jakiej siekierki?

- A prawda, zabaczyłem.

Maciuś powtórzył braciom słowa

tatusia i oddał upominki.

- Co nam ta po tym - rzekli -
ale że to ostatnia pamiątka, to
zabierzemy z sobą i pójdziemy,
gdzie oczy poniosą.

Doprawili siekierki na stare
toporzyska, próbują: ostre,
poręczne, w co ino uderzyć, za
jednym razem przetnie, aże się
zdziwili, bo jeszcze jak żyją,
takich doskonałych siekierek nie
widzieli.

- Ano, to idźmy szukać roboty

- gada Jasiek. - A ty, Maciek,
gdzie się obrócisz?

- Ja też pójdę za służbą, ino
se ciupagę wyrzeżam z bukowego
klocka.

- Słusznie, słusznie -
zaśmiali się bracia - jaki
robotnik, taka i siekierka.

Bywaj zdrów!

Poszli, a Maciusia samego w
pustej chałupie zostawili. Jasiek
przystał do cieślów, co w
trzeciej wsi dworskie stodoły i
czworaki stawiali, a Staszek
zabrał się z flisakami Wisłą, aż
do morza.

Siedzi Maciuś na ławie przy
oknie i dłubie a dłubie
kozikiem w onym klocku bukowym,
aże gorąco na niego bije.

Wreszcie mu się jeść zachciało:
patrzy na półkę, nie ma nic,
zagląda do szafy, skórka z
chleba zeschnięta jak kość, a we
flaszce wino, co chłopcy
przedwczoraj tatusiowi
przynieśli. Nalał do garnuszka,
chleb rozmoczył, zjadł, popił,
skrzepił się nieco i dalej do
swojej ciupagi. Wyrobił jakieś
koślawe brzydactwo na

podobieństwo siekiery i strasznie rad, że mu się tak pięknie udało, wybrał się tak samo jak starsi bracia na wędrówkę. Węzełek mizerny z biedną przyodziewą na plecy - i cała parada.

Raz się ino poza siebie obejrzał...

- Niech se ta chałupa stoi i czeka, nie ma strachu, żeby się kto na nią zlakomił, bo stara i do krzty spróchniała, ino patrzeć, jak się zawali.

Po drodze wstąpił Maciuś na cmentarz pomodlić się za tatusiową duszę, pocałował ziemię święconą i ruszył niewiele myśląc prosto przed siebie.

Idzie, idzie, rozgląda się na wszystkie strony...

- Ach, żeby to spotkać kogo mądrego a popytać się, dy ja wiem, żem głupi, sam sobie nijakiej rady nie dam. Oho... figura przy drodze... siądę se i odpocznę, może mi się co dobrego przydarzy, dy mnie tatuś przede śmiercią pobłogosławili.

Usiadł na kamiennym stopniu, patrzy, torba z białego sukna leży w trawie.

- Cie wy. Ktoś zgubił albo porzucił za niepotrzebne, może się dla mnie przyda.

Rozwiązał sznurki, zagląda do środka: bochenek razowego chleba, kielbasy kawał spory i sera gomółka.

- No... widzicie, ludzie, takie jadło pańskie porzucać na rozstajnej drodze to chyba grzech. Poczekam nie krótko, nie

długo, może nadejdzie ten, co
jego torba, to mu oddam, a nie
to dziękując Panu Jezusowi
wezmę sobie na drogę.

Jakoś nikt się nie zgłaszał,
Maciuś coraz był głodniejszy,
chleb świeży pachniał niczym
piernik, a kielbasa jeszcze
lepiej.

- E... co bym ta medytował
dłużej - mruknął Maciuś. -

Dobrze onemu tak. Niech nie
zostawia torby.

Wyjął z kieszeni kozik, ukroił
chleba tęgą piętękę, kielbasy ze
ćwierć łokcia, pojadł se do
sytości, wyciągnął się jak długi
pod jesionem, co rósł obok
figury i chrapnął, aż wróble ze
strachu furknęły z jesionu na
brzozę po tamtej stronie drogi.

Budzi się Maciuś, słońce opada
ku ziemi, dobrze będzie
chłodkiem wieczornym wędrować.

Łąka nie łąka, rzeczka nie
rzeczka, prosto jak strzelił
idzie, aż do wielkiego lasu
zaszedł. Między drzewami ścieżka
wydeptana...

"Chodzili tędy ludzie, pójdę i
ja" - myśli Maciuś i dalej w
imię Boże. Aż tu coś jęczy,
wzdycha w gęstwinie. Inny by się
zląkł i uciekał, ażby się za nim
kurzyło. Maciuś, że był chłopak
głupi, nie znał się na takich
rzeczach. Przedziera się przez
jałowce, przez tarninę, onym
stękanie się kieruje i szuka,
co by to takiego było. Patrzy,
sosna aż pod niebo, a do niej

przywiązany za ręce i za nogi,
stary człowiek jakiś stoi.

- Zlituj się, parobeczku,
porozcinaj sznury, bo mi się już
do krwi powrzynały, uwolnij mnie
na miłość Boską!

- W te pędy rozetnę, bo mi was
serdecznie żal, gospodarzu.

Maciuś do kieszeni... o
matko... a gdzie kozik? Zgubił
go czy pod figurą zostawił?

- O moiściewy - powiada niemal
z płaczem - zgubiłem kozik...
węzły takie sztuczne, rozwiązać
nie dam rady, zębami nie
rozgryzę ani tą siekierką
drewnianą nie rozetnę.

- Rozetniesz, synku, ino mi z
kieszeni oselkę wyjmij i parę
razy przeciągnij.

Maciuś wyjął czym prędzej,
szastu prastu siekierkę, w
prawo, w lewo... coś dziwnego
się dzieje... drzewo coraz
twardsze, ostrze na włos

cieniutkie, niczym brzytwa.

"Chyba kto odmienił moją
ciupagę" - myśli Maciuś. Skoczył
do sosny, sznury porozcinał i
uwolnił staruszka.

- Oj, Bóg ci zapłać,
parobeczku dobry - rzeczy tenże.

- Już trzeci dzień tak stoję i
ratunku wołam. Niejedni
przechodzili, słyszeli, ale nikt
się nade mną nie użalił, ino ty,
Maciusiu.

- To wy mnie znacie, dziadku?

- dziwi się chłopak.

- Nie znam cię, ino mam taki
dar od Pana Jezusa, co z twarzy

każdego człowieka jego imię
wyczytam. A nie masz tam chleba
w torbie, bom głodny strasznie;
tyle dni nie jadłem.

- Macie, jedzcie, na zdrowie
wam; a kielbasy albo sera nie
chcecie?

- Chleba i sera mi daj.

- Któż was tak ukrzywdził
okrutnie?

- Czarownik jeden tak mi
zrobił przez zemstę, bo go
mierzi, że ja ludziom dopomagam
i gdzie ino mogę, dobrze czynię.
Już pięćdziesiąt lat w tym lesie
mieszkam; kto biedny, kto chory,
kto utrapiomy, do mnie jak w dym
przybiega, a ja prawie zawsze
dobrze doradzę. On zaś,
diabelski sługa, ino pijakom a
złodziejom przyjaciel. Że mocy
nie ma zabić mnie, to mnie na
śnie znienacka przyłapał, w
gęstwinie do drzewa przywiązał i
liczył na to, że zginę tutaj
marnie. Za twoje dobre serce
muszę ci się odwdzięczyć, więc
powiem ci dwie rzeczy: siekierki
pilnuj jak oka w głowie, bo
przyjdzie taki czas, że ci
będzie potrzebna. A drugie:
gdybyś spotkał takiego, co ma
wielkie oczy, a wmawiał ci się
do kompanii w drodze, weź go;
albo takiego, co ma długie nogi,
albo takiego, co ma wielką gębę,
bierz wszystkich ze sobą.
Koniecznie ci to radzę,
zobaczysz, że nie pożałujesz. A

gdybyś kiedy był w wielkim
kłopotcie, to przyjdź do mnie.

Teraz bywaj zdrów. Niech ci się dobrze wiedzie.

- Dziękuję wam, dziadku. Ale i ja także coś wam powiem: zapierajcie drzwi i okna w chałupie, jak spać macie, coby was ten zbój kiedy nie napadł, bo drugi raz nie będę tędy przechodził.

Pożegnali się, staruszek poszedł do swej chatki, a Maciuś, gdzie oczy poniosą. Idzie, idzie, ściemniło się już na dobre, ale co mu ta, wszystko jedno którądy i gdzie, byle natrafić na ludzi i na niezłą służbę.

Wtem jakieś dwa konary czy dwie belki na poprzek drogi leżą... potknął się Maciuś, bęc na ziemię.

- A to co za niedojda, co ludziom spać nie daje? - zakrzyczało coś z krzaków przydrożnych.

- To ja, głupi Maciuś - odpowiada chłopiec. - A kto żeście wy, co do mnie gadacie?

- Ot, prawda, że głupi - śmieje się coś w krzakach. - Po nogach mnie depczesz i nie widzisz.

- Ja was?

Aż tu poruszyły się one dyle na drodze i stanął przed Maciusiem wysoki, cienki, prawdziwa tyka od chmielu, a nogi od pasa do ziemi to takie były długie, że Maciuś ani mu do kolan dostał.

- O raju... cóżeście wy za cudak straszny... - dziwuje się chłopiec, a głowę do góry zadziera.

- Kiedyś mnie zbudził, to mi daj jeść, bom głodny okropnie.

Uciął Maciuś kielbasy kawał i

**podrzucił mocno, a tamten złapał
zręcznie i zjadł ze smakiem.**

**- Głupiś, to prawda, ale w
torbie u ciebie niegłupio.
Szukam właśnie dobrego pana,
może byś mnie wziął za parobka?**

**- O mojaś ty długosierna osobo,
dy ja sam biedny i za służbą
idę.**

**- Nic nie szkodzi, przydam ci
się na co.**

**Aż tu nagle przypomniał
sobie Maciuś słowa dziadka w
lesie: "Weź go, nie pożalujesz".**

**- Ano, kiedy chcesz, to
chodźmy razem - powiada.**

**Księżyc czerwieniusieńki zza
gór wylazi, oni sobie chłodkiem
maszerują i wesoło gwarzą. Idą,
idą, mostek spróchniały na
rzece, deski pozapadane. Już
pewno nikt po nim nie chodzi ani
nie jeździ - drapie się Maciuś w
głowę, bo rzeka głęboka.
Długonogi zaśmiał się ino,
chwycił swego pana jak dziecko
na ręce - hop! i już po drugiej
stronie.**

**- Widzisz, jakem ci się
przydał - powiada - a to jeszcze
nie koniec.**

**- Hola, hola, dobrzy ludzie,
poratujcie biedaka! - woła ktoś
z łąki nad rzeką.**

Pobiegli oba.

- A co tam takiego?

**- Podajcie mi który rękę, bo
sam wstać nie mogę. Póki chodzę
albo stoję, to jeszcze jako
tako, ale niech się ino położę,
muszę potem czekać, żeby mnie**

kto dźwignął.

- Cóżecie taki słaby? - pyta Maciuś.

- Zdrowem jak ryba - odpowiada ów człowiek - ino głowę mam żelazną, to jej sam z ziemi nie uniosę, straszne cetnary.

Już teraz Maciuś dobrze pamiętał polecenie dziadka i z wielką gotowością dźwignął człowieka o żelaznej głowie.

- Poczciwy z ciebie chłopak - powiada tamten. - Weź mnie do służby.

- Rety... aże dwóch służących miał będę? A czymże ja was zapłacę?

- Jeść nam dasz - odparli obaj zgodnie.

- Przecie widzę - rzekł

Długonogi - że ci ktoś dobry podarował torbę_żywicielkę. Jeżeli jej nie zgubisz albo sobie wydrzeć nie dasz, do śmierci masz jadła pod dostatkiem.

- Naprawdę? - gada Maciuś i aż mu się gęba sama rozwala z wielkiego podziwienia. Zagląda do torby, juści: bochenek chleba, kielbasy wianek i ser nie napoczęty, choć go już ze cztery razy ułamywał.

- To ci dopiero uciecha. A chodź, Żelazna Głowo, dobrze nam będzie razem.

Całą noc podróżowali z wesołością, na rano zaszli do brzozowego gaiku, pokładli się i spali do południa. Byliby jeszcze dłużej odpoczywali, ale

ich wielki wiatr obudził. Patrzy Maciuś i nie może zrozumieć: drzewa stoją spokojnie, ani się listek nie ruszy, ino dołem paprocie i trawy gną się na wszystkie strony; podmuch mocny nad samą ziemią idzie.

- Pobiegnij no który zobaczyć, co to takiego? - każe Maciuś swoim parobkom, a Żelazna Głowa odpowiada:

- Po co patrzeć? Wiadomo, że Gębaty musi spać gdzieś niedaleko.

- Cóż to za jeden? - pyta Maciuś zaciekawiony.

- A ot, leży tam na prawo, obejrzyj go sobie.

Idzie Maciuś ostrożnie, upatruje, ale jak zobaczył, aże do ziemi przysiadł... Nastraszył się pierwszy raz w życiu.

A było czego. Człowiek to był niby zwykłej budowy, wcale szczupły, odziany przystojnie, ino głowę miał zanadto wielką, wargi grubaśne i gębę niezmierną. Jeszcze ją we śnie otworzył, wyglądała jak studnia.

- Hej, wy, jakże wam ta?... Zbudźcie się, bo wam żaby ponałożą do gęby! - wrzasnął Długonogi śpiącemu nad samym uchem.

Ten spojrział leniwie podnosząc na wpół powieki, ziewnął, aż zafurczało w powietrzu, i Maciusiowi czapka z głowy spadła; potem się ocucił na dobre, wstał i tak gada:

- Dziękuję wam, kochani

ludzie, żeście mnie na czas
zbudzili, bo z tymi żabami co
dzień mam kłopot... czasem ze
trzydzieści albo i więcej
nawskakuje mi do ust, a to
trochę niemiło, zwłaszcza gdy
się żab nie jada. Bardzo mi się
wszyscy podobacie: ty, drażalu,
za trzy kroki milę ubiegiesz,
tobie się łeb chwieruta... dobrą
wagę mieć musi... ho_ho, a
tobie, maleńki, uczciwie z oczu
patrzy i torbę masz nieźle
wyładowaną. Nie wzięlibyście
mnie z sobą?

- A chodź - powiada Maciuś -
ino staraj się nie dmuchać
zanadto, bo z przeciągu zęby
mogą rozboleć.

Zasiedli społem na trawie i
obiadowali gwarząc. Maciuś
wypytywał każdego z nich, czy
nie słyszał o jakiej robocie
albo o służbie niezłej, bo
przecież tak łązić po świecie i
próżnować to niepodobna. Wtem
zachręściły suche gałązki, ktoś
szedł ku nim. Ogląda się Maciuś
i jak nie krzyknie wniebogłosy:

- Rety...

- Cóż tam za "rety", czego
piszczysz? - zgryźliwie mruknął
przybyły. - Człowieka nie
widziałeś czy co?

- A prawda, że takiego jak ty
nigdy jeszcze nie widział.
Oczyska masz jak patelnie.

- Nie żałuj se, powiedz: jak
koła u wozu. Wolę mieć za
wielkie oczy i widzieć aż na
kraj świata aniżeli takie
szparki krecie jak wy wszyscy i
końca swego nosa nie dojrzeć.

- No, no, nie gniewaj się. To
tylko pierwszy moment najgorszy,
teraz jakoś wytrzymam. Siadaj i
jedz z nami, pewnoś głodny.

- Co bym nie miał być głodny,

od wczorajszego ranka nie
jadłem. Pi, pi... kielbasa jak u
samego króla... aha... kiedy o
tym mowa, słyszeliście nowinę?

- Nowin dużo na świecie -
odparł Żelazna Głowa - powiedz,
co wiesz.

- Ano, taka nowina, że
księżniczka Dziewanna,
jedynaczka najmiłościwiej nam
panującego Łopucha IV,
oświadczyła, przed pół rokiem
najjaśniejszemu swemu ojcu, żeby
spomiędzy siedmiuset czternastu
książąt krwi wybrał i mianował
następcę tronu, ponieważ ona nie
ma wcale zamiaru wyjść za mąż i
zięcia król mieć nie będzie.

Tedy strasznie się stary Łopuch
zmartwił, prosił i błagał córkę,
by zelżyła w tej srogiej
zaciętości, i tyle wreszcie
wskórał, że się zgodziła wyjść
za takiego, co dwa jej rozkazy
wypełni, a na pytanie bardzo
zawile da stosowną odpowiedź.
Rozesłano heroldów po wszystkich
krajach świata, by tę wieść
rozgłosili.

- No i znalazł się taki
mądry? - spytał Maciuś.

- Znalazło się od tego czasu
dwa tysiące królewiczów,
książąt, rycerzy szlacheckich.
Wszystko to zjeżdża huczno i
buńczuczno do stolicy, przecudna
królowa wprawia każdego w
zachwyt i przejmuje miłością,
ale cóż, kiedy jeszcze dotąd
żaden nie potrafił spełnić

trudnych zadań; i jak szumno wchodzili na zamek królewski, tak ze wstydem i spuszczoneymi głowami do domu wracają.

- A nie wiesz, czego chce ta dowcipna panna? - spytał Gębaty.

- Słyszałem od jednego z rycerzy tylko tyle, że to są niepodobieństwa i że się jeszcze ten nie urodził, co by choć jedno zdołał wykonać.

- Wiecie co, a żebyśmy tak spróbowali? Mam was czterech do pomocy, bo i ty, Wielkooki, przyłączysz się do nas, prawda?

- Czemu nie; kielbasa wyśmienita.

- Chodźmy prosto na zamek i popytajmy się.

- E... jakoś to inaczej trzeba będzie zrobić - rzekł Żelazna Głowa i zamyślił się.

- Bo co? - spytał Długonogi.

- Bo Maciuś strasznie obdarty, nie dopuszczą go do króla.

- Mam dobrą myśl - odezwał się Długonogi. - Niech nasz pan ze swej torby żywicielki skorzysta, nakraje chleba, sera, kielbasy ze trzysta kawałków, w pobliskim miasteczku doroczny jarmark, ja mam płachtę ogromną w tłumoku, wyniosę towar na targ, wysprzedamy jadło w godzinie, bo co dobre, to ludzie chętnie kupują, a za te pieniądze sprawi sobie Maciuś przyodziewę jak należy, by się ani królewskich sług, ani samego króla nie powstydzic.

- A kto przy towarze

zasiądzie?

**- Ej, chyba żaden z nas;
gotowi by się ludzie przelęknąć
i nie byśmy nie utargowali. Sam
nasz pan niech za kupca stanie.**

**Uznano radę za wyborną.
Nazajutrz rano torba żywicielka
dostarczyła w obfitości
smacznego mięsiwa, sera i
chleba. Długonogi zaniósł toból
na rynek. Maciuś zabrał się do
sprzedawania, a wierni słudzy
oczekiwali nań ukryci w lasku
brzozowym.**

**Jak się spodziewał Długonogi,
tak się stało. Zanim na południe
zadzwoniono, powrócił Maciuś do
swych towarzyszy z pełnymi
kieszeniami złotych. Do stolicy
stamtąd było pół milki, poszli
więc. W mieście zakrzętnęli się
około sprawunków; wstąpili do
szewca, do krawca, do sklepu z
bielizną, z kapeluszami, słowem,
posprawał sobie Maciuś, co ino
trzeba było, i naturalnie w jak
najlepszym gatunku. Taki szedł
strojny przez ulice, aniby
rodzeni bracia nie poznali**

wczorajszego ubogiego parobczaka.

**Z butną miną, jakby co dzień z
królami przestawał, paraduje
prosto na zamek. Służba z
niskimi pokłonami zaprowadziła
go od razu do poczekalnej izby,
a następnie do komnat Dziewanny.**

**Wyszła do niego uśmiechając
się szyderczo, nawet go nie
powitała, jak obyczajnej pannie
się godzi, ino wręcz ostro
przemówiła:**

- Pierwsze zadanie, które musi spełnić mój przyszły mąż, jest: wydobyć skarb ukryty w granitowej skale nie biorąc ze sobą narzędzi nijakich, o czym upewni się moja straż, która go przy wejściu ściśle obszuka.

Ciarki przeszły Maciusia...
Prawdę mówił Wielkooki, że to nieprawdopodobieństwo. Ale nie daje nic poznać po sobie, owszem, wyszczerzył zęby do królowny i gada:

- Tylko tyle? Chyba to żarty?
Ja myślał, że Bóg wie jaka robota. A sługę wolno wziąć do pomocy, ma się rozumieć, że także ino z dziesięcioma palcami?

- A weźcie sobie choćby i dwóch - rzekła królowna; wykręciła się na pięcie i jako się nie przywitała, tak bez pożegnania odeszła.

W te pędy Maciuś do zajazdu, pogadać z przyjaciółmi. Powtarza im każde słowo królowny... tak i tak. Słuchają, załamują ręce, a Żelazna Głowa w śmiech.

- Nie bój się, Maciusiu, granit nie granit, mój łeb wszystkiemu da rady. Chodźmy do roboty.

- Weźcie i mnie - prosi Długonogi.

- A chodź, różniej nam będzie.

I poszli.

Wskazano im drogę. Zaraz niedaleko zamku, za ogrodem, była grota niewielka. Strażnicy omal z nich duszy nie wydarli, tak ich pilnie rewidowali; wreszcie przekonawszy się, że ani kozika nawet przy sobie nie

mają, wpuścili ich do wnętrza.

Na gładzusińskiej jak tafla
lodu ścianie kamiennej wyryte
było słowo: "Tutaj".

- Ano, kiedy tutaj, to nie
trza przynajmniej szukać -
powiada Żelazna Głowa. - Usuńcie
się w kąt, bo złomy będą lecieć.

Jak się rozpędzi, jak nie
wyrznie onym stalowym łbem o
ścianę - od jednego razu pękła
na dwoje. Poprawił jeszcze raz i
jeszcze raz, ani kilof przemocny
tak nie zdoli; skaliste bryły
leciały w prawo i w lewo, a on
nie pyta, ino bije nie ustający.

Rozwalił dziurę potężną, aby
wleźć było można, zagładają
wszyscy trzej... o rety...
studnia głęboka.

- Aha, teraz moja robota się
zaczyna - gada Długonogi. -
Spuszczę się powolutku,
ciekawość, gdzie te skarby.

Włazł przez otwór do studni.

- Ij... figle, a ja myślał, że
se nogi połamię.

Zmacał na dole kociołek z
dukatami, podał go tamtym:
drugi, trzeci, dziesięć ich
znalazł.

- Pomóście mi oba, bo to ze
trzy sążnie, to się trudno
wydrapać.

Wylazł ze studni, śmieją się
wszyscy trzej, radzi, że się tak
dobrze powiodło.

- Nie boli cię głowa? - pyta
Maciuś Żelaznego z troskliwością.

- Bóg zapłać za pamięć, zdrowo
człowiekowi popracować trochę,
zaraz się apetyt poprawi.

Chodźmy na obiad.

- Idźcie - rzecze Maciuś - ja
muszę iść na zamek zawiadomić

królową, jako mi się pierwsza sztuka udała.

Najstarszy z dozorców, przywołany przez Maciusia do groty, zemdlął z przerażenia; padł jak długi na ziemię i nabił sobie potężnego guza uderzywszy głową o kocioł z dukatami.

Posłano gońca na zamek zapytując, czy najjaśniejsza

księżniczka raczy objawić nieznanemu rycerzowi drugie swoje życzenie, bo pierwsze już spełnione.

Na tę wieść zemdląca i Dziewanna, ale nie wyrządziła sobie szkody, bo ją panny dworskie na czas podtrzymały i na łóżku złożyły.

Ocuciwszy się wyszła, drżąca z podziwu, do Maciusia. Teraz już mu kiwnęła głową i popatrzyła się badawczo, zali to nie diabeł albo przynajmniej czarownik. Ale nie, wyglądał na dobrego chłopca, a nawet... wcale ładne miał niebieskie oczy i gęstą płową czuprynę.

- Drugie zadanie jest - zbudować wózek samojadący, najdalej do jutra wieczora.

- Do wieczora? - zaśmiał się Maciuś. - Jutro na południe będzie gotów.

I zabrał się do gospody głowę do góry zadarłszy. Ale ino tak udawał przed królową, bo teraz to już naprawdę nie wiedział, gdzie ratunku szukać. Takiego wózka ani Żelazna Głowa, ani Długonogi, ani Wielkooki, ani

Gębaty nie zdołają sklecić. Na to cieśli, kołodzieja i czarów potrzeba.

Przyjaciele wybiegli naprzeciw niego z ciekawością wielką, ale skoro się dowiedzieli, o co chodzi, zasepiły się ich twarze i rozpacz serca ogarnęła. Maciusiowi aż na płacz się zbiera... co tu robić... co począć...

Aliści, jakby mu kto do ucha szepnął, zerwał się nagle i zawołał:

- Trzeba się naradzić u starego dziadka w dębowym lesie.

- U pustelnika? Znam go - powiada Wielkooki. - Ale to strasznie daleko, nie wrócę na jutro.

- To siadaj mi na plecy - rzecze Długonogi - będziesz gadał którądy, a ja truchtem pobiegnę. Dopiero południe, dużo

czasu przed nami.

Zanim się tamci obejrzel, już znikli na zakręcie drogi.

Minęły dwie godziny, a może nie tyle, już byli z powrotem.

- Dobra nowina! - krzyczy z dala Wielkooki. - Dziadek ci się kłania i kazał powiedzieć, żebyś kupił desek z tartaku za miastem, cztery kółka u stelmacha przy Zielonej Bramie i rażno się brał do roboty. Ino ciosaj swoją siekierką po drzewie, ona sama cały wózek zmajstruje. Koła przyprawisz, osie wysmarujesz sownicę oliwą z tej flaszeczki, a cały wózek

pomalujesz farbą z tej
blaszanki, którą ci przeze mnie
przesyła. Dobrze, żeś mnie
posłał, a nie kogo innego, bośmy
dziadka nie zastali w domu.
Wylazłem na drzewo i upatrywałem.
Aże o cztery mile go ujrzałem, w
wąwozie był, ziółka i korzonki
na lekarstwa zbierał.
- A gdy zechcesz, aby wózek
ruszył - przerwał mu Długonogi -
powiedz te słowa:

"Toczcie się, kółeczka mojego
wózczyka.@ Nie trzeba mi koni,
nikt mnie nie dogoni!"@

A jak chcesz stanąć, tak
powiedz:

"Kółka, zatrzymajcie się,
dotąd jadę, dalej nie".@

Z wielkim pośpiechem wziął się
Maciuś do roboty; ale choć
siekierka dzielnie się
sprawiała, wieczór zapadł,
trzeba było dokończenie na
jutro odłożyć.

Zrywa się skoro świt, śmiga
ciupagą, ino trzaski lecą. Na
jaką dziesiątą rano wózek
gotowy. Osie wysmarował oliwą,
farbą pięknie cały raz koło razu
pociągnął, a tu strach go
ogarnia: deszcz się puścił
ulewny, słudzy Maciusiowi
zatoczyli pojazd do szopy, farba

mokra, nie wyschnie prędko.
Wprawdzie królewna kazała na
wieczór, ale Maciuś łudził się,

że na południe zdąży. Lamentuje biedaczek, a Gębaty w śmiech.

- I o takie drobiazgi będziesz płakał? Nie bójże się, ino trochę podmucham, zaraz wyschnie.

I prawdę gadał, wyszło.

Deszcz, jak na uciechę, ustał.

Gębaty i drogę do zamku wysuszył, co by się kółka nie zabłociły. Wyciągają wózek z szopy, świeci się złocisto, aż oczy bolą patrzeć. Przybrał się znów Maciuś odświętnie, wsiadł do onej czarodziejskiej kolaski i słowa zaklęcia wymówił...

Ale też to leciało... nawet się opowiedzieć nie da. Gębaty zanadto się przysłużył, bo nie tylko że błota po drodze nie było, ale kurz straszny; darmo, czasem trudno umiarkować.

Królewna Dziewanna właśnie w oknie stała, bo na Anioł Pański dzwonili w katedrze, ciekawa była, czy jasnowłosy chłopak dotrzyma słowa. Patrzy... i oczom nie wierzy... jedzie! I jak jedzie! Cudny wózek pomyka jak wiatr chyżo!

Służba wpuściła Maciusia na królewskie pokoje, a Dziewanna wybiegła naprzeciw niego z wesołym uśmiechem, rączkę mu podała, nawet usiąść prosiła.

- Jeszcze trzecia sztuka, może najtrudniejsza... - rzekła i westchnęła cichutko, bo jej żal było dobrego chłopca. - Musicie, panie, odgadnąć, czego ja się boję.

- Zaraz nie odgadnę - rzecze Maciuś - dajcie mi godzinę czasu do namysłu.

- Dobrze - powiada królewna i pożegnała Maciusia bardzo grzecznie.

Wózek naturalnie w podarunku

Dziewannie zostawił, a sam
biegnie do swoich
sług przyjaciół.
- Zmiłujcie się, nie wiecie,
czego się taka panna bać może?

- Nie wiemy - odpowiadają.
Ale Wielkooki pomedytował i
rzecze:

- Zakradnę się do ogrodu,
drzewa i krzaki wedle pałacu
gęste, nikt mnie nie увидzi,
może coś podpatrzę, może coś
podslucham, trzeba jakoś radzić;
od czego mam porządne oczy.

Jakoż nie wyszło pół godziny,
wraca, śmieje się do nich z
daleka i woła:

- Już się dowiedziałem.

- No i co, no i co? Gadaj! -
pytają wszyscy naraz.

- Wylazłem na drzewo naprzeciw
okien królowny i zaglądam, może
dojrzę, może odgadnę, czego się
ona boi. Nic ciekawego... siedzi
przy stole i pisze list. Drobne
literki stawia, szczęście, że
ino pięć albo sześć łokci od
okien jestem, bo ledwo
wyczytałem, a przydało się
bardzo, posłuchajcie. Do jakiejś
przyjaciółki, królowny Jemioły,
pisała. Opowiadała jej wszystkie
twoje sprawy. W końcu tak
pisze: "Kazałam mu odgadnąć,
czego ja się boję. Ach, żeby mu
się udało. A wiesz, o co mi
chodzi? Przepowiedziała mi
wróżka przed pół rokiem, że
mężem moim będzie kowala syn,
głupi Maciuś. Dlatego
postanowiłam nie wychodzić za

mąż, bo strasznie się boję mieć głupiego męża. A tymczasem ten młody rycerz zdołał skarb wydobyć ze skały bez kilofa, wózek samojadący zbudował, to przecie głupim być nie może". Dalej już nie czytałem, bom nie ciekawy babskiej paplaniny. Idź na zamek i odpowiedz na pytanie królowny.

- Rety... jak się dowie, że to właśnie ja... Ha, nie ma rady, pójdę i przyznam się.

Staje Maciuś przed królowną i tak zaczyna:

- Wiem, czego się boisz, jasna panienko, ale zanim to powiem, musisz mi powtórzyć obietnicę, że moją żoną zostaniesz.

A Dziewanna złożyła na krzyż palce.

- Przysięgam, trzy razy przysięgam.

- Boisz się, królowno mieć głupiego męża, Maciusia, kowalowego syna.

Jeszcze nie dokończył mówić, a ona biegnie ku niemu z radością na twarzy i obie rączki mu podaje.

- Zgadłeś. Zgadłeś. Dzięki Bogu, że ci się wszystko udało, bo właśnie ty jeden mi się podobasz, ciebie chcę za męża.

- A ja jestem głupi Maciuś, kowalowy syn... - szepcze biedny chłopiec i lzy mu stają w oczach.

- Niech się dzieje wola Boska!
- zawołała królowna. - Ciężki grzech jej się sprzeciwić.

Huczne gody sprawili, tysiące

gości sprosili, jedli, pili bez
miary, tańczył młody i stary.
Żelazny był tam także i Gębaty,
a jakże, i ten z długimi nogami,
i ten z wielkimi oczami.

Jedli goście przysmaki,
morskie ryby i raki; gęsi,
kaczki tuczone i prosięta
pieczone, i przeróżne słodkości
jedli aż do nudności. Potem
króla żegnali, do swych domów
jechali. A choć lat już niemało,
jak to się wszystko działo,
jednak Maciuś z królowną dotąd
żyją na pewno.

Cosechciał

Kto zna wszelkie zioła i
trawki, wie, na jakich łąkach,
po jakich lasach, pod jakimi
drzewami ich szukać, temu
wiadomo, ile to skutecznych
leków albo trujących jądów te
przeróżne ziółka zawierają. Ot,
na przykład liść babki goi rany
i oparzenia, szałwia dobra na
zęby, świetlik od bólu oczów,
lulek, co bladożółty ma kwiatek,
ugotowany w źródlanej wodzie
zmywa opaleniznę z twarzy; od
szaleju można dostać obłędu,
lubczyk budzi kochanie w sercu,

ino go trzeba ugotować w
dwojczkach i potajemnie wlać do
jadła temu, dla kogo
przeznaczony.

Wszystko to są bardzo
pożyteczne trawki, ale mało kto
na świecie zna jeszcze jedną,
ważniejszą nad tysiąc innych...

ziele Cosechciał. Jak dziwne ma nazwanie, tak też dziwne jego skutki. Kto to ziele znajdzie i zje, ten już na całe życie szczęśliwy: co ino zamyśli, czego zażąda, co mu się we śnie zamarzy, wszystko osiągnie, wszystko mu się sprawdzi. Oj, Boże, Boże... gdyby ludzie wiedzieli, gdzie tego ziółka szukać, co by się to działo na świecie... Cuda i cudenka.

Cosechciał rośnie ino w takiej ziemi, co pług nie zaznała, ino pod takim drzewem, które ma gałęzi do pary, a liści nie do pary. Ten zaś, co go zerwie, musi być urodzony w sobotę, być sierotą, a mieć rodziców, być najnędniejszym między ludźmi, a mieć wielkie znaczenie; w końcu musi znaleźć to ziółko przed wschodem słońca i zjeść je na czczo.

Są to trudności dość wielkie, dlatego też nieczęsto napotykamy ludzi, co by mieli w życiu wszystko według swej woli i swego pragnienia; jeśli się nawet czasem znajdzie taki, to chyba zjadł Cosechciał z przypadku, wcale o tym nie wiedzący.

Była sobie Tereska, maleńka dziewczynka, bardzo maleńka. Jak gospodyni wołała męża, dzieci i czeladź do obiadu, to Teresce musiała osobno miseczkę na stołku stawiać, bo z ławy do stołu ani nosem nie dosięgła, a tak, uklękła se na ziemi i zjadła z wygodą. Tylko że nie co dzień w jednej chałupie miała obiad, ino raz tu, raz tam, raz owdzie, a dlaczego? Bo niczyja była, nikt jej za swoją nie miał.

Szły raz Cygany bandą przez

wieś, jedna im baba zachorowała,
porzuciły ją przy drodze jak
szmatę niepotrzebną, to i
zamarzła na śmierć, bo setne
mrozy owej zimy były. Wracają
ludzie z jarmarku, patrzą, leży
coś czarnego przy moście na
góreczce; zaglądną bliżej -
Cyganka nieżywa, a przy niej w
grubą chustkę zawinięte
dzieciątko małe, może
roczne, i skwirczy niby kocię.
Straszna litość zdjęła ich
wszystkich; dalejże dziecko na
sanki, opatulili w koce, że ani
znaku nie było, co to takiego, i
wio do domu. Skoro ino zajechali
do wsi, prosto idą do wójta,
opowiadają mu wszystko, tak i
tak. Naradzili się starsi
gospodarze z wójtem i
postanowili do jakich sześciu
lat zostawić dziecko u starej
Paździorowej, wdowy po
organiście, co od kilku lat
bardzo już niedomagala, więc jej
gmina dała izdebkę pod
strychem na wikaryjce, a ksiądz
proboszcz żywić ją obiecał. Nie
tracąc czasu odnieśli dziecko
babusi, przykazali pilnować,
niańczyć, doglądać, aby rosło
zdrowo, zanim się na co przyda.

Gdy porozwijali brudne, łatane
szmaty, ukazała się dziewczynka
miluska jak aniołek z nieba,
jasnowłosa, białego ciała, nigdy
w świecie niepodobna do Cyganki,
ale prędzej do pańskiego albo
nawet królewskiego dziecka.
Koszulinę miała cieniuchną,

krzyżyk złoty na szyi, a na nim wryte imię: "Terenia". Chciał wójt schować ten krzyżyk, aby dziecko miało na starsze lata do stroju, tymczasem nijak nie można było zdjąć, bo gruby i mocny łańcuszek zamknięty był na klódeczkę.

- Ano, zginęło dzieciątko jakimciś wielkim panom i teraz na sierocym chlebie chować się będzie - westchnęła Paździorowa. - A wykwestujcież jakiego wdziania dziecku -

dodała zwracając się do gospodarzy - w samej koszulinie jej chyba nie zostawicie.

Baby się o Tereni zwiedziały, co która ino mogła, czy z bielizny, czy z ciepłych spódniczek i katanek, obdarowały dziewczynkę, że na jaki rok mogło wystarczyć albo i dłużej.

Gdy sześć lat przeminęło i Terenia rzeźwo się chowała a zdrowo rosła, uznali opiekunowie, że pora ją zaprawiać do roboty. Pokazały jej gospodynie raz, drugi, trzeci, jak ma od chałupy do chałupy wczesnym rankiem zachodzić, gęsi badyłkiem wyganiać i całe stado na pastwisko pędzić. Tam zasię pilnować, coby nie uciekły w jęczmień albo owies, baczyć, żeby się która nie zgubiła. W południe przychodziła druga pastuszka na zmianę, a Terenia biegła na obiad. Jak stały domy rzędem w ulicy, tak za

porządkiem co dzień u inszych
gospodarzy jeść jej dawano.
Czasem skąpo tego jadła bywało,
czasem resztki po dzieciach, to
znów u litościwych ludzi
okrasili żur słoniną, aż się
Teresce oczka śmiały do onych
skwarek. Ale sierotka za
wszystko była wdzięczna, czy
gorsze, czy lepsze, ze smakiem
do cna zjadała, posługiwała, jak
mogła, więc ją też baby lubiły i
niejedna to zapasę, to stary
gorsecik dziecku rzuciła. Z
gęśmi umiała dać sobie rady,
nigdy jej się nie rozbiegły,
nigdy żadna nie zginęła.

Pewnego razu wielka radość
spotkała Teresię. Gędkowa, jedna
z najbogatszych gospodyń, która
bardzo sierotkę lubiła i
najczęściej jeszcze o
przyodzianiu biedactwa
pamiętała, przyniosła jej z
kiermaszu spódniczkę gotową,
chusteczkę na głowę, w czerwone
kwiatki, i co najważniejsze,
najpiękniejsze, pierścionek z

zielonym oczkiem. Kosztował on
wprawdzie tylko dwa grosze, ale
Teresia nie wiedziała jeszcze,
co pieniądze, i tak się
strasznie wspaniałym podarunkiem
ucieszyła, że aż do nóg upadła
Gędkowej z radosnym piskiem. Za
duży był pierścionek na malutkie
paluszki dziewczynki, spadał
nawet z najgrubszego; namotała
nitkę z przeciwnej kamyczkowi
strony i, przyozdobiona
wspaniale, raz wraz pozierając

na lewą rączkę, pobiegła z
obiadu znów do swoich gąsek.
Ulina, jej zastępczyni, czekała
już niecierpliwie, bo i jej się
bardzo jeść chciało, tedy
nadąsana mruczała coś pod nosem.

- Patrz, co za śliczny złoty
pierścionek dostałam od
gospodyni! - zawołała Tereska.

- Pokaż bliżej, zdejmij z
palca, niech zobaczę - rzekła
tamta, a zazdrość ukłuła ją w
serce i podszepnęła coś bardzo
złego. Wzięła z rąk Teresi
obrączkę, roześmiała się
wzgardliwie: - Blaszką za grosz,
głupcom na radość. - I rzuciła
ją daleko przed siebie.

- O rety... cóżeś zrobiła...
Takie śliczności!

Teresia rozplakała się
rzewnymi łzami, a szkaradna
Ulinka postrugała jej marchewkę
na palcu i pobiegła na obiad.
Ale Teresia jeszcze nie umiała
się gniewać; serduszko ją
bolało, dziwno jej było,
dlaczego Ulina tak brzydko się
bawi i pierścionek w trawę
rzuca, ale złości nie miała w
sobie. Wzięła się ino czym
prędzej do szukania zguby i raz
koło razu przepatrzyła duży
kawał pastwiska, gdzie tylko
przypuszczała, że mógł
pierścionek dolecieć - ale
nadaremnie. Słońce już
zachodziło, a ona jeszcze
szukała.

Wreszcie pora była gęsiom do
domu, musiała i Tereska wracać.
Stara Paździorowa nie świeciła

lampy, kładła się spać ze
zmierzchem, a wstawiała o świcie.
Teresia zazwyczaj przeciągała
się na swoim sienniczku i
odwlekała wstawanie, póki mogła;
nazajutrz jednak po tak
ciężkiej stracie obudziła się
jeszcze raniej od swojej
opiekunki, umyła się i ubrała -
wstyd przyznać - całkiem byle
jako, i jak strzała pomknęła na
łąkę.

- O Jezusieńku drogi... żebyż
się rychło rozwidniło, może dziś
prędzej znajdę, może mi się uda.

Zaszła w to samo miejsce,
gdzie wczoraj stała z Uliną,
przyklękła na ziemi i powoluśku,
pełzając na kolanach, odgarniała
rączkami trawę, a pilnie pod
listeczki zaglądała.

- Chyba już dalej nie mógł
upaść jak pod tę jarzębinę -
szepnęła siadając na chwilę pod
drzewem. - Odpocznę, a potem
zawrócę wedle tamtych głogów...
o... jakie to śmieszne
listeczki... takie czerwoniaste
niby sina kapusta, a
postrzępione niczym krwawnik.
Ciekawość, czy kwaśne.

I jak to dzieci często robią,
czy trzeba, czy nie trzeba,
wszystko do buzi pakują, Teresia
zerwała dwa strzępiate sine
listeczki, pogryzła je i
przelknęła.

- Dobrze. Trochę kwaśne, trochę
słodkie... a miodem pachnie, jak
to wtedy przeszłego lata, co mi
kucharka na plebanii łyżkę dała
oblizać... Strasznie ten miód
był smaczny.

Zerwała jeszcze kilka listków
i zjadła.

- Oj, Boże, Boże... gdzie mój

**kochany pierścioneczek? Żebym go
tak teraz namacała...**

**Przesunęła rączką po trawie,
zaświeciło coś żółtego...**

- Raju... toli jest.

**I nie posiadając się z radości
włożyła odzyskany klejnot na
paluszek. "Ulisia gadała, że
blaszka... Skądże taka mała**

**dziewucha może się na tym
rozumieć?... A ja powiadam, że
złoty i kamień precudny. Któż
mi zabroni tak myśleć? Niech
sobie dla kogo będzie blaszka,
a dla mnie złotości, drogości".**

**Podskoczyła jak piłka z
wielkiej uciechy, zatańczyła
sobie w kółko i popędziła do wsi
po gąski. Biegnać od domu do
domu wstąpiła do Gędkowej,
pocałowała gospodynię w rękę,
opowiedziała jej swoje
wczorajsze zmartwienie i jak
niespodziewanie dziś zgubę
odnalazła.**

**- A nie zaśniedział ci na
rosie? - spytała Gędkowa.**

**- Gdzie zaś. Zobaczcie, jaki
żółciutki i jakie ognie z
kamyczka biją.**

- Dziecko... dy to nie ten.

**- Jakże nie ten? Wczorajem go
nicią owinęła, widzicie węzełek,
nawet brudny.**

**- Toli kupiłam ci bawidelko za
dwa grosze, a to ciężki
pierścień, pięknie wyrobiony,
człowiek by przysiągł, że to od
najpierwszego złotnika.**

**- A niech se będzie, jaki
chce; mnie się wczoraj podobał i**

dziś tak samo.

**I wybiegła gnać swoje białe
stado na łąkę.**

**- No... widzicie ludzie -
szepnęła do siebie - a śniadania
to mi nikt nie dał. Będzie się
też to chciało jeść, nim ono
południe nadejdzie. Ot, żeby tak
Ulinę kto posłał do mnie z
chlebem, a i sera kawałek by się
przydał... oho... leci coś na
przełaj w czerwonej zapasce...
któż by? Ulisia... jak na
zawołanie. A to dopiero!**

**- Na, masz; gospodyni
zabaczyli o śniadaniu, to ci
przeze mnie posyłają chleba z
serem - rzekła dziewczucha
zadyszana z wielkiego pośpiechu.**

**- Ze serem? Naprawdę? Oj,
dziękuję ci też, dziękuję,
właśnie myślałam, czy wytrzymam
do obiadu o głodzie. A mogłabyś**

**mnie przeprosić za wczorajszy
smutek, com się tyle napłakała,
jakeś mój pierścionek zgubiła.**

**- Ani mi się śni - odburknęła
Ulina.**

**- Nie? To biegnij na jednej
nodze do domu, rozkazuję ci! -
rzekła śmiejąc się Terenia, a
Ulina zerwała się, jakby ją kto
batem zaciął, i rzeczywiście
zabrała się z powrotem w tak
niewygodny sposób, skacząc na
jednej nodze. A zła była aż
strach. Oczy się jej świeciły
jak wilkowi.**

**- Cóż ty wyprawiasz? Ja ino
zartowałam, szkoda się męczyć,
nie rób tego! - krzyknęła za nią**

Tereska, zdumiona tym niespodziewanym posłuszeństwem mrukliwej i wiecznie nadąsanej dziewczyny. I Ulesia spuściła podniesioną lewą nogę, pogroziła Teresi pięścią i pognęła ku wsi.

Gędkową tymczasem niezmiernie korciło przekonać się, czy jej się tylko zdaje, czy jakieś dziwa porobiły się z pierścionkiem. Ino się odbyła z krowami, świnkami i nastawiła ziemniaki na śniadanie, poleciała w te pędy do stelmacha, który w wojsku dwanaście lat wysłużył, po różnych krajach bywał, o niejedno wielkie miasto zawadził i na wszystko był strasznie przemądry.

"Kto się nie pozna, a Karabuła się pozna" - pomyślała Gędkowa; opowiedziała mu to dziwne zdarzenie i tak go zaciekawiła, że zaraz się z nią zabrał na pastwisko obejrzyć prawdziwy złoty pierścionek... za dwa grosze.

Teresia z dumą pokazała swój skarb stelmachowi, a ten kręcił nim na wszystkie strony, migał kamyczkiem do słońca, ważył w rękę i w końcu chrząknął znacząco, patrząc w oczy gospodyni:

- Ładne to cacko, ale nic nie warte? chyba że wam się tak

podoba, to może Tereska je wam daruje.

- A broń Boże... ja nie chcę za darmo - rzekła gospodyni i

dodała głaszcząc zaleknioną dziewczynkę po buzi... - Wiesz co, dostaniesz ode mnie tę jarzębiatą kurkę, co ją tak lubisz, a ty mi za to daj pierścionek. Dobrze na tym wyjdiesz, bo jak wczoraj pierwsze jajko zniosła, to prawie co dzień będzie nieść ze dwa miesiące. Uskładasz sobie, sprzedasz, będziesz miała koszulkę nową albo co zechcesz. No jakże, zgoda?

Teresia kiwnęła główką, bo ją coś w gardle dławilo, a z oczek łzy kapały jedna za drugą.

I Gędkowa zabrała pierścionek. Ale co prawda, to prawda, kurkę zaraz w południe oddała Teresi. I jakoś zagoiła się rana, bo jarzębiatka była taka śmieszna, taka łaskawa, z ręki nadrobiony chleb wydziobywała, szła za człowiekiem na zawołanie jak piesek, no, i te jajka.

"Dobrze się stało... - pomyślała Teresia - wczoraj babusia gadali, że mi butów trzeba ku zimie, to za jajka może będą".

Wzięła z sobą kurkę na łąkę i bawiła się nią jak lalką; owiazała ją w czerwoną chusteczkę, lulala, kołysała na rękach, a potulny ptaszek przymykał ślepki i drzemał napraawdę. Gdy się ta zabawa sprzykrzyła Teresi, puściła kurkę wolno i sypała jej między trawę krupki, co ich garść dostała od gospodyni.

- W bajce to bywają takie kury, co złote jajka znoszą... - mówiła znów sama do siebie. - Może jarzębiatka... gdyby ją ładnie poprosić... - I szmerając paluszkami po główce swoją nową

przyjaciółkę, rzekła: -
Kureczko, kureczko, znieś mi
złote jajeczko.
A jarzębiatka przycupnęła do

ziemi, bęc... żółciusieńkie
jajko leżało w trawie.

- Chi, chi, chi... poczciwa
kurka. A mądra... ludzką mowę
rozumie. Ciekawość, czy będą
buty za takie jajka? Ale też to
ciężkie, ciężkie jak kamień.

Wieczorem zniosła Teresa
kurę i jajko do domu, a
Paździorowa omal nie zemdląła na
widok szczerozłotej bryły, bo
choć stara i niemal
zdziecinniała, przecie poznała
się, że to bogactwo nie lada.
Przykazała Teresi nikomu o tym
nie wspominać i nazajutrz rano,
przybrawszy się odświętnie,
powłokła się o lasce do miasta.
By zaś ją o kradzież nie
posądzono, poszła prosto do
złotnika i wręcz mu się
przyznała, że jej wychowance Pan
Jezus pobłogosławił złotonośną
kurą. Jubiler zapłacił za jajko
sowicie, blisko połowę tego, co
było warte, i prosił o dalsze, w
miarę jak będą przybywać.

Tereska dostała buty śliczne z
cholewkami w harmonijkę, sześć
koszulek, dwie zapaski, gorsecik
czerwony suto wyszywany; o sobie
też Paździorowa nie zapomniła i
mimo takich wydatków jeszcze z
pełną kieszenią grosiwa do domu
wróciła.

Nastaly dobre czasy. Terenia,
nauczona doświadczeniem z

**pierścionkiem, nie przyznała
się żywej duszy, jak pięknie się
sprawia kochana jarzębiatka, a
kura co dzień rano przychodziła
znieść złote jajko na jej
sienniczku. Paździorowa odnosiła
co parę tygodni po kilkanaście
do złotnika i chowała dukaty w
skrzyni na posag dla sieroty.**

Minęło kilka miesięcy.

**Jednej niedzieli wybrały się
dzieci do lasu na poziomki.**

**Teresia poszła też z
garnuszkiem, ale trzymała się z
dala od innych, bo jej dziewczuchy
zawsze dokuczały, szturchały ją
i cygańską znajdą przezywały.**

Zbiera tedy jagódki, zbiera,

**od czasu do czasu pokosztuje,
czy dobre, a tu biegnie Magda
Wyrwasówna i jak trzymała pręt
brzozowy w ręku, tak zacięła nim
z całej siły Teresię po plecach.
Aż ją ogniem zapiekło, tak
mocno uderzyła. Biedna sierota
zalała się łzami i uciekła w
głąb lasu, żeby jej niedobre
dziewczęta poziomki przynajmniej
nie odebrały. Usiadła pod
jesionem i tak sobie myśli:**

**"Za co mnie Magda bije? Za co
one wszystkie znęcają się nade
mną? Jeszczem żadnej palcem nie
tknęła, jeszczem żadnej na
złość nie zrobiła... Żeby tak
wiatr zaniósł wszystkie na sam
wierzchołek tego starego dębu,
tobym się dopiero śmiała... O
Jezu! Dy siedzą na gałęziach jak
ptaki i wrzeszczą ze strachu, aż
się po lesie rozlega... Co to...**

co się to stało?"

**Zdumiała się bardzo Teresa,
że coś czy ktoś spełnił jej
zachcenie w jednej chwili, ale
zamiast się cieszyć i śmiać, jak
żartem powiedziała, zdjęta
serdeczną litością złożyła
rączki i szepnęła:**

**- Nie... nie, ja nie chcę się
mścić; gdybym mogła, tobym je
kazała lekuśko zestawić na
ziemię.**

**I znowu niewidzialna jakaś moc
usłuchała rozkazu Teresi.**

**Dziewczęta z piskiem i
lamentem poleciały do domu
opowiedzieć swoją straszną
przygodę, ale nikt im nie chciał
wierzyć i wszystkie osiem
dostały w skórę od swoich matek.
Tak przynajmniej za złe serce
zostały sprawiedliwie ukarane.**

**A Teresa zbierała dalej
poziomki i tak sobie myślała:
"Biedna ja sierotka, biedna,
kto ino chce, naśmiewa się ze
mnie, kto ino chce, szturchnie,
wybije, a pożałować, pokochać,
popieścić nie ma komu. Babusia
mnie ta niby i lubią, ale oni
tacy starzy, ciągiem w chałupie
siedzą, aniby siły nie mieli**

**obronić mnie przed dziewczuchami.
Magda ma ojców, Zośka ma
tatusia, Hanka matusię dobrą,
Ewka u siostry się chowa...
gadała kiedyś, co i w niebie nie
może być lepiej niż u Natasi...
A ja co? Nikogo nie mam i nikt
mnie nie ma. Biedna ja
sierotka. Ale co dzień rano, jak**

**pacierz mówię, to mi tak coś
szepce do ucha: "Twoja mama
żyje, twój tatuś żyje, nie
płacz, Teresiu". Ach, Boże,
Boże... gdybym ja moją matusię
choć z daleka увидziała... żeby
mi się na ten przykład tam,
wedle mostku pokazała, gdzie
mnie ludzie na pół umarłą przy
Cygance znaleźli, ot tam
właśnie, gdzie jakaś pani siadła
dopiero co na kamieniu. Podróżna
pewnikiem... nie po wiejsku
ubrana... ręką na mnie kiwa...
pobiegnę, może jej trzeba
usłużyć".**

**I pomknęła Teresia ku rzece,
gdzie nad brzegiem siedziała
piękna i bardzo miła pani, w
sukni wspaniałej, ale strasznie
zmiętej i błotem zbryzganej. Gdy
się dziewczynka zbliżyła,
spozstrzegła, że pani blada jest
jak chusta, ręce jej drżą, a na
czole ma ranę szeroką, z której
krew spływa kroplami.**

**- O Mario, święta
Panienczko... Boli was?
Gdzieżeście się tak skaleczyli?
Czekajcie, zmaczam fartuszek w
wodzie, przyłóżcie se na czoło,
to się wam zaraz ulży.**

**- Dziękuję ci, kochane dziecko
- rzekła pani słabym głosem.**

**A gdy mokrą, zimną szmatką
owinęła głowę, widocznie uczuła
polepszenie, bo poweselała
trochę, przestała się trząść i
tak przemówiła do Teresi:**

**- Dziś rano wyjechałam z domu
pod opieką wiernych dworzan.
Rozbójnicy napadli nas w
puszczy, sługi i dworzan
pomordowali, a mnie jeden ciął
czekanem w głowę; upadłam na
ziemię zemdlona i to mnie**

ocaliło, bo myśląc, że nie żyję,
rabusie uciekli z łupem w las, a
mnie na drodze zostawili
obdarłszy z pieniędzy i
kosztowności. Gdy się ocknęłam,
nie było przy mnie nikogo.
Zebrałam ostatnie siły i
dowlokłam się tutaj. Kilka mil
szłam piechotą, dużo krwi
straciłam... zdaje mi się, że
lada chwila umrę...

- Oj, nie mówcie tak, jasna
pani! - zawołała Teresa z
płaczem. - Trzymajcie ducha w
sobie, ja skoczę do karczmy, to
bliźiuteńko, nie bójcie się, ino
się mignie, zaraz przyjdę tu z
wozem po was. Legniecie se na
łóżku w gościnnej izbie i
będziecie wypoczywać z onego
strachu i z onej długiej drogi,
a rana to się raz_dwa zagoi,
zobaczycie. Aha... jak się to
dobrze stało, żem nie zjadła
sama moich poziomek, wyście
słabiutka, pewnie wam się pić
chce, a to lepsze niż woda.

Postawiła garnuszek z
poziomkami na kolanach pani i
popędziła, ile tylko sił miała,
do wsi po ratunek. Lecz choć
biegła, aż jej oddech zapierało,
nim się karczmarz namyślił, nim
zaprzężono konie, minęło pół
godziny. Teresa aż płakała z
niecierpliwości i przynagliła do
pośpiechu. Gdy gospodarz i
parobek podjechali z wozem do
mostu, chora pani leżała na
ziemi zemdlona...

- O mój Boże... mój Boże! -
zawołała Teresa. - Takem ją

prosiła, żeby ducha w sobie trzymała... Czy nie żyje? - spytała zwracając się do karczmarza.

- E... co by tam miała nie żyć - odparł - ino ją słabość ogarnęła. Hej, Franek, chwyć delikatnie na ręce, tyś mocny, ja ci dopomogę, trzeba ją lekuśko na słomie ułożyć, a potem stępa do domu.

Zajechali przed karcznię, przenieśli chorą na łóżko; wciąż

była nieprzytomna. Teresa ukłękła przy niej, wpatrzyła się w śliczną twarz bladą, ciężkie młoty waliły w jej serduszku i jakieś dreszcze przelatwały od stóp do głów.

- Ach, żeby krew przestała płynąć... żeby pani jak najprędzej pozdrowiała! - szeptały usta jak w modlitwie.

Kropla krwi na czole zatrzymała się i przyschła - pani spojrzała na Teresię zupełnie przytomnie i wcale wesoło się uśmiechnęła.

- Ach, jak mi dobrze leżeć tak spokojnie - rzekła - zdaje mi się, że jestem już o wiele zdrowsza i rana nic a nic nie boli.

- Naprawdę? Naprawdę nie boli?

- Nawet mi się jeść chce bardzo... może tu będą mieli trochę rosołu.

- Oj, pani wielmożna, skądże by? Wiejskie ludzie takich rzeczy nie jadają; ale pójdę się spytać.

**I poszła Teresia do
karczmarki, a przez drogę
myślała:**

**"Gdybym mogła rozkazywać, to
nawet z kury rosół musiałby tu
być zaraz".**

**Przechodząc koło pieca
kuchennego ujrzała na ognisku
garnek szczelnie przykryty;
uniosła pokrywy i roześmiała się.**

**- Patrzcie, ludzie... rosół z
kury. Gospodyni! Gospodyni!**

**- A czego chcesz? - odezwała
się karczmarka z alkierza.**

**- Ulejcież rosółu na talerz
dla chorej pani i skrzydełko
albo co najlepsze wykrójcie, a
połóżcie na osobnym spodeczku.**

- Mądre gadanie, skądże wezmę?

- A z pieca.

- Co znowu?

**- Dy stoi pełny garnek na
ogniu i kura bieluszka; co byście
medytowali, dawajcie i już.**

**- Czary czy omamy... - aż się
przeżegnała karczmarka, ale
garnek nie zniknął i rosół nie**

**zmienił się w smołę piekielną.
Tedy bez obawy przyrzadziła
posiłek dla chorej, mrużąc
tylko sama do siebie: "Pewnikiem
dowiedzieli się we dworze o tym
przydarzeniu i przyniosła która
z dziewczek... ani chybi że tak,
bo nawet garnczek nowy,
aligancki, trzeba będzie zaraz
odesłać".**

**Chora pani pokrzepiła się
mocnym, gorącym rosołem i mięsa
zjadła sporo, usiadła o własnych
siłach na łóżku i mile gawędziła**

z Teresią.

Wtem jakby sobie coś
przypominając zmarszczyła brwi i
przygryzła usta.

- Znowu boli? - spytała

Teresia całując panią w rękę.

- Nie boli, tylko straszny mam
kłopot... Zbójcy zabrali mi
wszystkie pieniądze,
pierścionki, zausznice; czymże
zapłacę karczmarzowi, który mnie
nie zna i słusznie będzie
narzekał, że mu się krzywda
dzieje.

- Co by tu poradzić... co by
tu wymyślić...

- Oj, ty poczciwa odrobino,
już chyba ty mnie nie poratujesz.

A Teresia skoczyła jak konik
polny, klasnęła w rączki i
zawołała:

- A właśnie że poratuję, ino
trza posłać po kowala.

- Po kowala? - rzekła pani
zdziwiona.

- Juści. Musi mi rozpiłować
łańcuszek na szyi; mam taki
cudny, żółciutki krzyżyk, to wam
chyba na wszystkie opłaty
wystarczy.

Jeszcze nie skończyła mówić,
gdy pani chwyciła ją za obie
rączki, przyciągnęła ku sobie i
jakimś dziwnym, stłumionym
głosem wyjąknęła:

- Pokaż ten krzyżyk...
zaraz... czym prędzej... kto ci
go dał?

- Toli jest; ma być na nim
napisane Terenia, bo...

- Skąd masz ten krzyżyk?

- Nie wiem, jasna pani. Jak mnie przy umarłej Cygance ludzie znaleźli, tom go już wtedy miała... O rety... ludzie, ratujcie... upadła na poduszki... oczy zamknięte... Gospodyni! Gospodarzu!

Szczęściem omdlenie prędko przeminęło, a pani przywołała oboje karczmarzy i prosiła, by jej opowiedzieli całą historię znalezienia Teresi. Wzięła dziecko na kolana, tuliła do siebie i płakała słuchając smutnej opowieści. Teresia nie rozumiała wcale, co się z nią działo, ino zmrużyła oczka i myślała sobie, że aniołkom u Pana Jezusa nie może być lepiej, jako jej jest w tej chwili.

Śniło się jej, że przyszedł wójt i znowu coś gadał a gadał, przyszła Paździorowa, przyszła Gędkowa, gwaru było w izbie dużo, a ona spała na kolanach u ślicznej pani.

I śniło jej się, że wojewodzina sandomierska miała dwie córeczki bliźnięta, tak bardzo do siebie podobne, że dla rozróżnienia dano im krzyżyki na szyjki; na jednym było wypisane Terenia, a na drugim Zosia. Przechodzili przez miasto Cyganie, coś musiało się stać strasznego, bo Terenia słyszała przez sen, że ktoś płakał bardzo, aż jej nawet na buzię łzy spływały. To ją obudziło.

Patrzy dookoła: jest wójt, Paździorowa, Gędkowa, karczmarz, gospodynie, gospodarze, wszyscy mają twarze wesole i czemuś widno się dziwią, bo kiwają głowami, rozkładają ręce, szepcą coś między sobą, a ona, jakby jaka królewna, leży na łóżku

obok ślicznej pani.

* * *

**W kilka dni później
województwo sandomierskie
wyzdrowiała zupełnie, dziedzic
odesłał ją własnymi końmi do
domu razem z ukochaną córeczką
Terenią. A jak się tam tatuś**

**radował, jak witał, oglądał,
całował swoje odnalezione po
tylu latach dzieciątko, tego wam
nie opowiem, bo nie potrafię.**

**Ale, ale, byłabym zapomniała:
Paździorną spotkało wielkie
zmartwienie. Jarzębiatka zniosła
duże, ładne jajko... w białej
skorupce. Spadło z siennika,
stłukło się, a wewnątrz było
żółtko i białko jak we
wszystkich jajach od wszystkich
kur na całym świecie. Cudowne
ziele Cosechciał straciło swą
moc: a wiecie dlaczego? Bo
Terenia przestała być
najbardziej tajemniczym stworzeniem
Boskim, znalazła sierotę. .nv
Przeklęty zamek**

**Był sobie raz... nie... jakoś
inaczej się ta bajka zaczyna...
aha: Przed laty, laty, niedaleko
niemieckiej granicy stał na
wysokiej górze strasznie mocny i
warowny zamek. Grube na sążeń
mury i baszty potężne broniły go
od wroga; a i stroma skała, na
której zamczysko było zbudowane,
czyniła je niezdobytą twierdzą.
Toteż, choć nieraz w kraju wojny
wrzały, nieprzyjaciół omijał z
daleka Białą Górę (tak się ów gród**

nazywał), by się nie narażać na celne strzały ukrytych za murami łuczników.

Najstarsi ludzie opowiadali, jako w dzieciństwie od najstarszych ludzi słyszeli, że praojcem panów z Białej Góry był rycerz Swatosz, Popiela wierny sługa i prawa ręka, który też razem ze swym panem od myszy na goplańskiej wieży był zjedzony. Syn jego Wszerad roli się ino oddawał i włości dokoła skupował. Ten znów zostawił kilkoro potomstwa; wspominano o dobrym Przesławie, co ni człeka, ni zwierzęcia jako żył nie skrzywdził; pamiętano o niezmożonym siłaczu Mściwoju i o Maćku Białym, co za króla Bolesława pod Kijowem zginął. Maćka tego syn, Jaśko Biały,

ostatni z rodu, siedział tedy w onych dawnych, dalekich czasach na zamku. Żebyż to choć prawda była... żebyż choć siedział... Ale nie, czyhał jak sęp na skale, upatrując zdobyczy. Na dwadzieścia mil wokoło straszny był gród Białogórski. Na dwadzieścia mil wokoło szerzył grozę i przerażenie. Uciekali przed nim kupcy wiozący na wozach towary, uciekali podróżni, nawet pieszy wędrowiec mówił pacierz i wszystkim świętym się polecał przechodząc lasem koło zamku.

Co tu długo rozpowiadać, okrutny opryszek, niegodzien miana rycerza, był ten Jaśko

**Biały. Na basztach zamkowych
dzień i noc stali strażnicy i
poglądali w cztery strony
świata. Gdy spostrzegli pańskie
wozy bogate albo podwoły
ładowne, zaraz dawali znać swemu
panu, a ten zwoływał kilku lub
kilkunastu dworzan zdatnych i
zaprawionych do takiej roboty,
spadał jak piorun na
podróżnych, obdzierał ich niemal
do naga i najczęściej
pomordowanych do pobliskiego
wąwozu wrzucał. Czasem - ale to
się bardzo rzadko trafiało -
puszczał z życiem obrabowanych;
boć i tak niczyjej skargi ani
sądu, ani kary się nie bał.
Chociaż za takie rzemiosło topór
katowski mu się należał, chociaż
go zaocznie prawowano,
zasądzano, na gardło skazywano,
choć za królewskim rozkazem
zabrano jego włości na rzecz
pokrzywdzonych wdów i sierot, na
nic się to wszystko zdało, gdyż
zbója dostać w ręce było
niepodobna. Raz wysłano poń
zbrojny oddział: jeden człowiek
żywy nie wrócił z Białej Góry.
Ani zamku dobyć, ani głodem go
wziąć nie było można.
Niedostępny i silnie obwarowany,
drwił z każdego obleżenia, a z
piwnic zamkowych rozchodziło się
kilkanaście korytarzy,**

**sięgających aż do trzecich,
czwartych wsi. Gdzie się
właściwie te korytarze kończyły
i ile ich było, tego albo ludzie
nie wiedzieli, albo, co**

pewniejsza, wydać się bali.
Jaśko Biały służbę podziemnymi
drogami po żywność wysyłał, a że
płacił hojniej niż sam król
miłościwy, przeto miał
wszelakiego jadła i napitku, ile
tylko dusza zapragnęła.

Prędko w bajce czas upływa,
lecz naprawdę - nie tak bywa.

Osiem lat już trwały te
rabunki i rozboje, a gdy dawniej
błogosławili poddani
sprawiedliwego Przesława i mile
wspominali o Wszeradzie lub o
Maćku Białym, to imię Jaśka z
klątwą a złorzeczeniem tylko
wymawiano. Odrodził się ze
wszystkim od swoich przodków;
nie dość że duszę miał
nikczemną, a serce wilka
krwiożerczego, ale i oblicze
wręcz insze, i postać odmienną.
Rycerze Biali, dzadowie, syny i
wnuki, od Swatosza począwszy,
wysokiego bywali wzrostu,
szczupłego ciała i jasnych jak
len, kędzierzawych włosów. Ten
zaś wyrodek, jakby na przekór,
jakby na złość, krępy, w barach
szeroki, śniady był a
czarnowłosy niczym Cygan. Dzikie
okrucieństwo siedziało w jego
oczach, że mróz leciał po
kościach każdemu, kto nań
spojrzał.

Tak tedy opryszek złowrogi
osiem lat przeszło krew niewinną
bezkarnie przelewał, a zrabowane
pieniądze, bławaty, sukna,
jedwabie, złociste przybory i
kamienie drogocenne w skarbcu
gromadził. Dobrał sobie
czterdziestu towarzyszy z piekła
rodem, co na rozbój z nim jak na
wesele biegali. Za powrotem z
wyprawy każdy opryszek część
łupu dostawał, załoga żołąd

**pobierała hojny, piwo i miód
lały się strumieniami, to i nie
dziwota, że sumienie w twardy**

**sen popadło i milczało. Był
jednak na zamku człowiek, co
pośród tej zgrai morderców żył
poczciwie i bogobojnie, a nie
mając mocy powstrzymać
zbrodniarzy, zamykał się jak
pustelnik w swej izdebce i
płakał a modlił się o ich
opamiętanie. Stary Łukasz,
klucznik, co z Maćkiem Białym
wojenno królowi służył, a Jaśka
od powicia wypiastrawał, był tym
jedynym gołębiem pomiędzy
strasznymi krukami i sępami.
Dziwowali się słudzy srogiego
rycerza i sławili wielką jego
łaskawość, że starego zrzędę
znosi w swym domu cierpliwie,
zamiast go kazać z baszty do
przepaści zrzucić albo obwiesić
na pierwszej gałęzi. Wszak nie
raz i nie dziesięć zuchwalec ten
groził pomstą Bożą i ogniem
piekielnym. Ale Jaśko na takie
upomnienia i groźby ino
ramionami ruszał, a śmiał się
huczno, aż echo biło od murów.**

**Zdarzyło się jednego wieczora,
gdy wszyscy zbóje z hersztem na
czele przy uczcie za stołem
siedzieli, mięsiwo pieczone
zajadając, a miód obficie
popijając, że wpadł strażnik z
baszty południowej i wielkim
pośpiechem zdyszany oznajmił,
jako od węgierskiej strony bryka
ciężko obladowana idzie, bo aże
osiem wołów ją ciągnie.**

- A ludzi przy wozie dużo? -
spytał Jaśko.

- E... dwóch wyrostków i jeden starszy chłop - odparł śmiejąc się pacholek. - Widno bardzo z daleka idą, kiedy o Białej Górze nie słyszeli.

- Ano, to do roboty! - krzyknął Biały. - Powieczerezamy za godzinę. Sześciu na trzech wystarczy. Zbierajcie się, a duchem.

Opryszkowie według zwyczaju rzucili kości, by los oznaczył, którzy z Jaśkiem iść mają; chwycili za czekany, wsunęli noże za pas i zbiegli cwałem ku

bramie.

- Spuszczaj most! - zawołał herszt na odźwiernego.

Aż tu z izdebki po drugiej stronie sieni wjazdowej wysunął się stary Łukasz i pochwycił Jaśka za rękę.

- Nie idźcie, panie! Miejcie litość nad podróżnymi i nad sobą samym.

- Precz mi z oczu! Uciekaj za piec, tchórze obmierzły! - krzyknął Jaśko ze złością.

- Nie odejdę, bo mi was żal...
Już trzeci raz, noc po nocy,
głos jakiś straszny słyszę,
wołający, że przebrała się miara
nieprawości waszych i
cierpliwości Bożej. Jeszcze
jedna zbrodnia krwawa, a
ostatnia wasza godzina wybije.
Nie idźcie, panie, na śmierć
pewną.

Mówiąc to Łukasz stanął w

bramie z rozkrzyżowanymi rękoma.
Z dzikim śmiechem skoczyli
zbójcy, Jaśko odtrącił starego
sługę na bok i za chwilę znikli
wszyscy w ciemnym lesie. Łukasz
zasunął się na rygiel w swojej
komórce, upadł na kolana i
modlił się, by nieszczęśliwy
kupiec uciekł przed pogonią lub
cudem jakimś obronił się i życie
przynajmniej uratował.

Zbójcy zaś, pozostali w zamku,
wrócili do komnaty biesiadnej i
zasiedli do stołu kończąc
przerwaną wieczerzę. Z godzinę
albo i dłużej czekali, wreszcie
dały się słyszeć nawoływania,
kilku wybiegło naprzeciw...
Cztery pary wołów ciągnęły wóz
ogromny, słomą i grubym płótnem
okryty. Przy wozie szedł Jaśko z
towarzyszami.

- Witajcie, panie! - zawołał
Żegota, najstarszy z opryszków.
- Jakoż się sprawa udała?
- Ij... śmiechu godne... -
krzywiąc się pogardliwie odparł
herszt. - Spadliśmy na onych
baranów znienacka, jak prawdziwe
wilki, ani palca nie zakrzywili
ku swej obronie, zanim się

opamiętali, już byli w niebie...
cha, cha, cha...

- Co prawda, to ino pacholęta
padły bez jęku - przerwał
Jaśkowi mowę Sieciech. - Ojciec
się pomścił bodaj gębą; co nas
przeklął, to przeklął... aże mi
nogi skamieniały i dech kołem w
piersiach stanął.

- Ot, nie bajałbyś po

próżnicy! - ofuknął go Jaśko. -
Klął, no to co? A zdrówes? Ubyło
cię? Czego sklamrzysz jak baba?

Sieciech zamilkł, usunął się
na bok i siedł za innymi do
jadalni.

- Hej... sześć gąsiorów miodu,
a starego! - rozkazał Jaśko
pachołkom.

Usiedli wszyscy za stołem,
pili a gwarzyli wesoło, jakby
niczyja krew nie ciążyła na ich
sumieniu.

- Oho... północ... koguty
pieją... pora spocząć - zauważył
Lutomir.

- Zgoda. I ja chcę spać, dość
już tej zabawy! - odpowiedział
Jaśko. - Ino jeszcze jeden
kielich musimy wychylić
Sieciechowi dla otuchy, bo ano
drży jak osiczyna.

- Rzeknijcie, panie, jakaż
była owa klątwa, co się jej
przelał srodze? - spytał Żegota.

- Ot, puste słowa pustym
głowom na strach. Powiedział...
jakże to... nie pomnę... aha...
"Bodaj was wszystkich ziemia
pochłonęła razem z waszym
gniazdem przeklętym..." w twoje
ręce, Sieciechu.

* * *

Ogień tysiąca błyskawic... huk
tysiąca piorunów... łomot
wałących się murów... trzask
pękających skał... minuta pomsty
Bożej... A potem noc i grób...

* * *

Prędko w bajce czas upływa,
lecz naprawdę - nie tak bywa.

Mijały lata, przeminęły wieki,
umierały pokolenia za
pokoleniami, a powieść o Jaśku
Białym żyła w pamięci ludzkiej.

**Późniejsi dziedzice, dalecy
krewni panów Białych, nie
chcieli mieszkać w tej stronie;
pobudowali sobie dworce w innych
wsiach, wycięli bór stuletni na
Białej Górze, drobne ino drzewka
zostawiając. Na odsłoniętych ku
słońcu polankach puściły się
krzaki malinowe, rozgałęziły
ostrężnice, * a po świętym Janie
ani trawki widać nie było spoza
czerwonych poziomek.**

Ostrężnice - jeżyny.

**Starzy ludzie gadali, że duchy
rozbójników straszą tam
wieczorami; zdarzyło się też
kilka razy, że zbyt ciekawy
junak poszedłszy upatrywać
śladów zaginionego zamczyska
wpadł w czelusć jakąś bezdenną i
już go oko ludzkie nie widziało.
Toteż po zachodzie słońca nikt
się nie ważył popatrzeć nawet na
Białą Górę, aby jakiego widma
okropnego nie zobaczyć. Ale
rankiem i koło południa bawiły
się tam dzieci wiejskie:
staczały się po pochyłości aż na
dół, zbierały poziomki, maliny,
orzechy laskowe, urządzały
kryjówki po krzakach i tam się
jedne przed drugimi chowały;
słowem, nie bały się wcale
przeklętej mogiły opryszków.**

**Było nawet między pastuchami
kilku zuchwalców, którzy się
uwzięli wyszukać jakieś wejście
do zapadłego zamczyska,
zwłaszcza że co dzień, gdy się
bawili, wyraźnie spod krzaków
siny dymek szedł w górę, jakby z
komina kuchennego, a nieraz
nawet coś tak zalaływało, niby**

zapach gotującej się stawy.

- Musi tam być jakiś otwór albo i drzwi nawet - tłumaczył raz towarzyszom Walek Bystry, najstarszy z pastuszków. - Może tam w głębi góry pustelnik mieszka; skądże by się dym brał pod krzakami?

- Ee... lepiej nie próbować takich rzeczy - odparł Staszek Jagoda. - Pamiętasz, jak Kasina babka opowiadali o jakimś Wojtku

Cieślochu, co wleciał do jamy z wielkiej ciekawości?

- A mój dziaduś zawsze wspominają Ulinę Mądralonkę; ona też gmerała po Białej Górze, aż wpadła jak kamień w wodę.

- A choć i zajrzesz między krzaki za śladem onego dymu - dodał Franek Wróbel - to i co uwidzisz? Ziemia, taj ziemia, ostów kupa, kłuje aż hej, a dziury nijakiej.

- Ja wam coś powiem - zakończył Pietrek Białoń. - Wszelakie dymy i zapachy to ino zwidywania i omamy. Nic się ta we wnętrzu góry nie dzieje, ino pokusa taka nas wabi, cobyśmy do onych potępieńców pospadali. Dajmy se spokój i nawet nie myślmy o takich rzeczach.

I tak co dzień bywało: to gonitwy, to kozłów machanie, to narady, namysły, rozmysły.

Sobuś Maroniak nie należał do tej gromady. Najprzód za mały był, dopiero mu się na szósty obróciło, więc go starsi chłopcy pędzili od siebie. A po wtóre,

matusia biedna, sama w chałupie,
słabowita bardzo, przyuczała
zawczasu dziecko do roboty i
wielką miała pomoc z synka, choć
maleńkiego. Suchych gałęzi
naznosił jej co dzień tyle, że
do palenia nawet w zimie zadość
było. Biegał też do miasteczka z
mlekiem od Kwiatuli, ile razy
matusię nogi bolały, odnosił z
blaszanką do znajomych państwa,
potem kupował, co mu matusia
kazała, czy kaszy, czy mąki, czy
soli, i wracał prędko do
domu. A już w lecie to jak
zapisał - pełny koszyk poziomek
lub malin (czego pora była)
uzbierał do południa i albo
zaraz, albo nazajutrz leciał z
tym do miasta. Za jagody zawsze
duży biały pieniądz na rynku
dostawał, matusi go z uciechą i
ucałowaniem odnosił, a matusia
dziękowała Panu Jezusowi, że ją
takim poczciwym dzieckiem
obdarował.

Nikt nie wiedział, a Sobuś
wiedział, gdzie najwcześniej
poziomki dojrzewają; nie wygadał
się z tym nigdy, ino sobie
chyłkiem, kryto, między
krzakami na sam wierzch góry
śmigał i tam zbierał a zbierał.

Prędko w bajce czas upływa,
lecz naprawdę - nie tak bywa.

Jednego dnia wzięwszy z domu
koszyk spory pobiegł Sobuś wczas
rano na górę. Właśnie wczoraj
upatrzył sobie nowe śliczne
miejsce z ogromnymi jak wiśnie
poziomkami. Matusia sama dziś z

mlekiem chodziła, bo zdrowsza
jakaś była od tygodnia.

Szcześnie się chłopakowi
darzyło tego ranka, poziomki
chyba same do koszyka skakały
czy co, ani dwóch godzin nie
zbierał, a już musiał utrzęsnać
trochę, bo ponad wierzch
sterczały. Przykrył dużymi
liśćmi i dalejże na dół, do
domu. Aż tu Walek, Pietrek,
Staszek, Józek, Franek buch na
niego zza krzaków...

- Dawaj jagody!

- Jeść nam się chce!

- Nie dam! - zakrzyczał Sobuś.

- Nie dam. To do miasta na
sprzedaż; matusia biedni, to dla
matusi.

- Ale hale... dawaj zaraz!

I gwałtem mu koszyk z rąk
wyrwali. A Sobuś z płaczem woła:

- Nie ruszajcie mi poziomek!
Oddajcie koszyk! Ja wam za to
pokażę dziurę do zamkowego
komina.

- Aha, juści... nikt jej nie
widział, a tyś ją znalazł.

- Jak matusię kocham,
znalazłem; dawno już, jeszcze
łońskiego roku...

- I nikomu nic nie gadałeś?

- A co mi ta!

- Skądże wiesz, że komin?

- A bo co dzień tamtędy się
dymi.

- Chodź, pokaż!

- Ale oddajcie koszyk.

Oddali.

Sobuś poszedł przodem, chłopcy

za nim. Ukłękł między krzakami,

rozchylił paprocie...

- A co, nie komin?

Włożył rękę w otwór.

- Widzicie, jakie sadze?

- Olaboga... dy on prawdę gada.

Zerwał się Walek na równe nogi
i coś szepcze a szepcze

Frankowi na ucho. Ale to trzeba
wiedzieć, że Franka ojciec

powroźnikiem był sławnym: nawet

po jarmarkach ze swoim towarem

jeździł. Tedy skoczył Franek jak

oparzony, spełznął po suchej

trawie na dół i pognął do

chałupy. Za trzy pacierze

przygalopował z powrotem, aże mu

w płucach gwizdało z tej

prędkości.

Na plecach dźwigał duży kłęb
sznura.

- Czy aby wystarczy?

- Eee... co by nie

wystarczyło? Do piekła by na tym
powrozie zajechał, a to chyba
bliżej.

- Cóżes ty, Walek, zgłupiał,
chcesz się na dół spuścić? -
pytali chłopcy.

- Ani mi się śni... mniejszego
na to trzeba, ja za duży i za
ciężki. Sobka spuścimy.

- Jezusieńku... nie chcę! -
wybuchając płaczem zawołało
dziecko.

- Cicho, brzdącu jeden! Nie
sprzeciwiaj się, bo cię przez
nijakiego sznura do komina
wrzucimy. Widzicie go,
mądrałę... i poziomek nie dał, i
do komina nie chce iść, a to
dopiero! No, Franek, dawj sznur.

- Nie bójże się, mazgaju -
łagodniej do Sobusia przemówił
Pietrek. - Zwiążemy na cztery
węzły, coby było przemocno, i
wszyscy będziemy trzymać.
Pojedziesz na dół lekuśko aż

miło.

**- Ale ja nie chcę... boję się
zbójów...**

**- Ij... durnyś ty, ze zbójów
tam już ani kosteczki nie ma,
dawno ich diabli zjedli.**

- Co byście tam bajdy

**rozprawiali... do roboty,
chłopcy!**

**Nie pomógł płacz i lament,
owinęli Sobusiowi powróż pod
pachami i wsunęli mu nóżki do
czarnego otworu w ziemi. Już mu
się nawet nie sprzeciwiali i nie
wydzierali koszyka z poziomkami,
który na rączkach sobie zawiesił
i co sił do piersi przyciskał.
Za chwilę już go nie było widać.
Poddawali sznur powoli, a ciężar
szedł na dół, na dół, na dół...
jakie ze dwadzieścia łokci albo
i więcej.**

**- Zdaje się, że stanął na
ziemi, bo już nie pręży, sznur
zelżał.**

**- No, to ino trzymajcie, a
uważajcie, cobyście go na górę
wyciągnęli, jak da znak.**

**- Ale też to będzie nam
opowiadał, co tam uwidzi...**

**Prędko w bajce czas upływa,
lecz naprawdę - nie tak bywa.**

**Oj, biedny Sobuś, biedny...
zesunął się na dół czarną
czeluścią, chciał mówić modlitwę
do Anioła Stróża, ale tak zębki
dzwoniły ze strachu, że ani
rusz... Zamknął oczy i leciał na
przepadłe... niech się już
dzieje, co się ma dziać.**

Nagle poczuł, że nie wisi w

powietrzu, ale stoi na czymś
twardym. Patrzy, a tu płyta
kamienna, popiół, węgle, z boku
garnek przykryty pokrywą, jednym
słowem, ognisko kuchenne,
szczęściem, że ledwo letnie.
Postawił koszyk, bo mu zawadzał,
i zrzucił sznur górą, przez
głowę, a potem skoczył z pieca
na podłogę. Coś mu strasznie w
nosie zakręciło, pewno że sadze
z komina... i kichnął na cały
głos.

- O rety...

W kącie na tapczanie
przysłanym słomą coś się
ruszyło. Starzec siwiuteńki, z
brodą po kolana, usiadł na łożu
i ponurym głosem zapytał:

- A to co? Kto się waży mój
spokój zakłócać? Po coś tu

przyszedł, zuchwały chłopcze? Za
grzeszną ciekawość sroga cię
kara czeka... nie wrócisz więcej
na ziemię, zostaniesz tu ze mną
do śmierci.

- Oj, dziadusiu kochany... -
zapłakał Sobuś - nie gniewajcie
się na mnie. Ja za nic w świecie
nie chciałem tu iść... klękałem,
ręce składałem przed onymi,
gwałtem mnie związali i spuścili
na sznurze.

- Kto taki?

- Walek, Pietrek, Franek.

Juści wszyscy mnie przymusili,
bo oni mocniejsi, a ja mały.

- Nie z własnej woli?

- Oj, nie, dziadusiu, nie z
własnej. Mnie tak pilno było do
miasta lecieć z poziomkami,

pełny kosz nazbierałem.

- Poziomki? Pokaż no:
zabaczyłem już, jak poziomki
wyglądają.

- Usypcie se, dziadusiu,
usypcie, a jedzcie z Panem
Jezusem. Wam to ja nie żałuję,
ze szczerego serca wam dam, ile
sami zechcecie, kiedyście dawno
nie jedli.

- Ach... dawno... już więcej
niż pięćset lat.

- Pewno, że to musi być dosyć
długo. A co, dobre?

- Zapach wiosny... świeżość
życia...

- Nie wiem, co mówicie,
dziadku, ale posłuchajcie, zaś
ja wam coś powiem; weźcie
wszystkie jagody, niech wam
będzie na zdrowie, nic mi nie
żał. I zostanę tu z wami do
jutra, boście taki biedny, taki
samiuteńki. Ino matusi dajcie
znać, że mi się nic złego nie
stało, boby strasznie płakali za
mną.

- Matusia cię bardzo kocha?

- Jakże! Dy mnie jednego mają
na świecie, a ja ich.

- Rodzica nie masz?

- Niby o tatusia pytacie?

Pomarli dawno. Matusia na
wyrówek chodzą albo w domu
przędą i święte pieśni śpiewają.

Matusia dobra jak anioł.

- Wypełniło się moje
przeznaczenie... mogę już
nareszcie odejść na spoczynek
wieczny - rzekł uroczyście
starzec.

- Juści, wypocznijcie se,
dziadusiu, kiedyście zmęczeni -
odparł Sobuś ze współczuciem.

- Słuchaj pilnie, pacholiku; a
choćbyś nie zrozumiał, co mówię,
powtórz moje słowa swojej
macierzy.

- Czemu nie, powtórzę, jak
rozkazecie.

- Od strasznego dnia kary
Bożej, gdy zamek z czterdziestu
rozbójnikami i z ich starostą
Jaśkiem Białym zapadł się w
ziemię, ja jeden, jako nie
winien żadnej zbrodni, ostawion
jestem przy życiu gwoli
zadośćuczynieniu
sprawiedliwości. Usłyszałem głos
z nieba wołający, jako nie
pierwej śmierć oglądał będę, aż
ze skarbów niezmiernych, przez
zbójców tu nagromadzonych,
częstkę przynajmniej oddam komuś
potrzebującemu a cnotliwie w
swym ubóstwie żyjącemu. Pójdź ze
mną do skarbcza, ile uniesiesz,
tyle dla matusi miłej zabierzesz.

Stary Łukasz - gdyż to on był
- zaświecił kaganek, zdjął pęk
kluczy z haka na ścianie, skinął
na Sobusia i poszli razem w
ciemny korytarz. Na samym końcu
były drzwi dębowe, żelaznymi
sztabami w kratę pobite. Łukasz
od razu dobrał klucz, otworzył
zamek, zawiasy zgrzytnęły i
drzwi otwarły się powoli. Duża
izba, żadnym sprzętem nie
przybrana, robiła wrażenie
spiżarni albo składu zboża. Pod
ścianami leżały dokoła, jedne na
drugich, wory pękate.

"Pewnikiem kasza i mąka...
tyle tego!" - pomyślał Sobuś.

Na półkach zaś, których było
trzy rzędy, stały ciasnym
szeregiem skrzynki drewniane lub

metalowe.

- Czy chcesz dukatów, czy

**drogich kamieni? - spytał
starzec.**

**- Cóż bym ja robił z
kamieniami, jeszcze i z drogimi?
Dy ich mam w rzece do zabawy za
darmo. A dukaty to co? - spytało
dziecko.**

**- Dukaty to pieniądze, za
jedną ich garść matusia z tobą
cały rok w dostatku przeżyje.**

**- Kiedyście taki dobry,
dziadusiu, to mi dajcie tych
grosików do kieszeni.**

**- A worka mniejszego nie
udźwigniesz?**

- Spróbuję.

**Starzec wziął za pętlę
pierwszy wór z brzegu, było w
nim przynajmniej pół korca...
Sześcioletnie dziecko podniosło
go jedną rączką.**

**- Dy to lekuśkie... dajcie
dwa, dziadusiu.**

**- Znak z nieba... - szepnął
starzec.**

**Sobuś zarzucił sobie dwa worki
na plecy, pocałował staruszkę w
rękę i śmiejąc się zawołał:**

**- No, a teraz wypuście mnie
na pole, dziadusiu, niech lecę
do chałupy, żebyście już jak
najrychlej mogli pójść na ten
odpoczynek, co go tak żądacie.**

**- Obróć się na prawo, zamknij
oczy i zmów Zdrowaś, jak
skończysz, wolno ci oczy
otworzyć.**

**Uśluchał Sobuś, zmówił nawet
cały pacierz, na wszelki**

wypadek. Powolutku jedno oczko
otwiera... potem drugie...

- O raju... dy to matusin
ogródek, rety... któż mnie tu
przyniósł? Juści aniołek, bo
któż by. I worki na ziemi wedle
mnie leżą... kochany dziaduś...
a to się matusia ucieszą. Trza
zanieść do izby. Jezusinku
Przenajświętszy... Co im się
stało, że tak ściężały? Dy oba
miałem na plecach i anim nie
czuł, a teraz jednego dźwignąć
nie zdolę. Matusiu... matusiu...
chodźcie ino.

- Czego chcesz, Sobusiu?

- Prędzej... prędzej.

- Bo czego? Co się dzieje?

- Stary dziaduś ze

zapadniętego zamku przysyła wam
pieniędzy, cobyście już nigdy
nie byli biedni. I kazał wam
powiedzieć... wam

powiedzieć... ojoj... tak jakoś
śtucznie prawil... że teraz
pójdzie na odpoczynek wieczny,
bo strasznie zmęczony... a
wicie, matusiu, darowałem mu
wszystkie poziomki, bo gadał, co
pięćdziesiąt czy pięćset lat nie
jadł. Aha, jeszcze mówił, że
Jaśka Białego i czterdziestu
rozbójników Pan Bóg skarał, a
jego nie, bo był dobry.

Rozpytywał się, czy mnie
kochacie, czy ja was kocham...
naprawdę się pytał, a jakże.

Ażem się ośmiał z niego. A do
izby mnie takiej zaprowadził,
gdzie worek na worku leżał,
wszystko same dukaty a jakieś

**drogie kamienie. Alem ich nie
oglądał. Ino mi te dwa worki dał
dla was i dość.**

- Któż to przyniósł?

- A ja.

**- Pleć, pleciugo, dy ja sama
ich podnieść nie mogę.**

**- Coś im się stało, pierwej
były letkie. E... co wam ta o
to, weźcie śmiało, nie turbujcie
się.**

*** * ***

**Na szczycie góry siedzieli
chłopcy pochyleni nad otworem
komina i czekali. Minęła może
godzina, powróż drgnął.**

- Oho, Sobek chce wracać.

Ciągnijcie sporo.

**- Musiał coś zabrać z dołu, bo
taki ciężki...**

- Ojoj... Co za cetnary!

- Raz, dwa... raz, dwa...

pomagajcie wszyscy!

- Jeszcze... jeszcze...

**- O Matko! Dy nie Sobuś, ino
kamień straszny!**

**- Uciekajmy. Jeszcze tu jakiś
zbój kominem do nas wylezie.**

**Umykali pędem, aż się za nimi
kurzyło.**

**Lecz niemale było ich
zdziwienie, gdy ujrzeli Sobusia
bawiącego się najspokojniej
przed chałupą. Roześmiał się
tylko do nich, ani się
domyślając, jakiego im figla
stary Łukasz wypłatał i dalej
chlebki i rogalie z gliny lepił.**

**Prędko w bajce czas upływa,
lecz naprawdę - nie tak bywa.**

*** * ***

**Maroniakowa kupiła gruntu
dużo, cztery krowy, dwa konie,
pobudowała się pięknie, parobków
trzech zgodziła i dziewczkę do
krów i tak sobie gospodarowała w
zdrowiu, aż póki Sobuś nie
dorósł. Wtedy oddała mu całe
panowanie, a sama siadywała
latem w sadzie z kądzielą, a w
zimie przy kominie przędła
równiutkie niteczki i śpiewała
święte pieśni.**

**Żyli, żyli szczęśliwie, a
jeżeli nie pomarli, to dotąd
jeszcze żyją.**

Porządne rzemiosło

**Był sobie raz gospodarz
niebogaty nazwiskiem Biedroń,
który miał siedmiu synów i jedną
córkę. Widząc, że na tych
marnych czterech morgach nie
wyżywi siebie i dzieci, zawczasu
zaprawiał chłopaków do
rzemiosła, żeby sobie umieli dać
radę na świecie, a i jemu na
starość dopomogli.**

**Najstarszy z synów został
młynarzem, drugi piekarzem,
trzeci tkaczem, czwarty szewcem,
piąty stolarzem, szósty krawcem,
a najmłodszy Błażek chował się w
domu i Hanka gospodarowała ojcu,
bo matusia przed kilku laty
umarła.**

**Biedroń postanowił przyuczać
Błażka do roli, prowadził go w
pole, gdy orał, siał, bronował;
na wiosnę uczył sadzić
ziemniaki, kapustę, uczył
plewić, okopywać jarzyny, potem
go brał ze sobą żąć i kosić,
słowem, chciał sobie z Błażka**

wychować wyrękę na stare lata.
Ale cała ta nauka szła jakoś
bardzo niesporo, bo chłopiec,
nie wiadomo, czy z przyrodzonej
głupoty, czy ze złej woli,
wszystko robił na opak,
niezręcznie i pomału, tak że
ojcu cierpliwości nieraz brakło
i bił syna, co ino wlaźło.
Czasem aż mu ręka omdlała i
pręty się strzępiły, Błażek
wyplakał się, wykrzyczał, do nóg
tatusiowi padał i przepraszał, a
jutro znów było to samo.

Ażci jednego dnia tak rzecze
do ojca:

- Wiecie, tatusiu, może to jaka
słabość siedzi we mnie, com taki
niezdarny; pójdę na Czerwoną
Górę do owczarza zaradzić się.

- No, no, pierwszy też raz się
trafiło, żeś mądre słowo
powiedział. Idź, synku, idź,
może ci Walanty da jakie
smarowanie albo ziółka.

- Ale z próżnymi rękoma
niepolitycznie.

- I to prawda - odparł
Biedroń. Poszedł do karczmy,
kupił wódki żytniej sporo
flaszkę, kołacz pszenny
szabasowy * sprzedała mu Żydówka
po przyjaźni i z tymi
podarunkami posłał nazajutrz
syna do owczarza na Czerwoną
Górę.

szabasowy - od słowa: szabas -
święteczny dzień odpoczynku
obchodzony przez Żydów w sobotę

Nie było go cały dzień, pod
wieczór dopiero przywłókł się
zmęczony do domu.

- A co? - pyta stary Biedroń.

- Spać mi się chce.

- Dużom się dowiedział; warto cię było posyłać; gadaj zaraz.

- Ha, kiedy mus, to mus, jeszcze i tak się naśpię. Więc słuchajcie: wyszturczał mnie Walanty, wyoglądał na wszystkie boki, omal ze mnie kości nie powyjmował. Mierzył mnie sznurem, mierzył mnie żerdką, spatrzył mi ziobra i pacierze, do gęby mi zaglądał, a jakże;

dokumentnie mnie obrewidował i tak powiedział: "Gospodarz z ciebie nicpotem, niech se ojciec wyperswaduje, bo do sądnego dnia niczego się nie nauczysz".

A Biedroń jak nie porwie za biczysko... - O, ty taki, o, ty owaki... - i do bicia się zabiera.

- Czekaścież, tatusiu, aż skończę.

- No, to się śpiesz, bo mnie złość szarpie.

- Więc na ostatek kazał wam powiedzieć, cobyście mnie do niego na trzy lata do terminu oddali, to mnie takiego rzemiosła wyuczy, że za sześciu braci ja jeden obstoję. Teraz se róbcie, co chcecie, dy mi wasze bicie niedziwne.

A ojciec tak powiada:

- Wola Boska, kiedy cię na co inszego stworzył, to cię bił nie będe. Ino patrz, aby się to sprawdziło, co owczarz obiecał. A siła on chce za tę naukę?

- Nic, z dobroci mnie bierze; ino nam obu jakie jadło co

tydzień posyłajcie, dobrze?

- Dobrze.

**- Teraz se legnę, bo mi ktoś
chyba kamienie na oczy kładzie,
tak się same zawierają.**

**Nazajutrz Błażek wybrał się z
węzełkiem bielizny na Czerwoną
Górę i jeszcze odchodząc
zapowiedział tatusiowi, że w
ciągu trzech lat terminowania
ani razu nie będzie mu wolno
zajrzeć do domu, ani razu zejść
z Czerwonej Góry.**

**I rozpoczęła się nauka. Stary
owczarz budził Błażka ze świtem,
prześpiewali se piękne godzinki,
pośniadali, potem zaparzył w
garnuszku jakieś ziółka bardzo
pachnące, a do smaku szkaradne,
i spory kubek dawał chłopcu
wypić. Strasznie toto było
niedobre, ale kiedy mus, to mus,
nie było rady ani nijakich
wykrętów. Potem kazał mu sięść
na kamieniu koło szalasu i**

dmuchać przed siebie.

**- Ino nie mocno, nie mocno
naraz, bo się wysilisz i dech ci
się zerwie. Lekuśko, spokojno a
długo.**

**I Błażek dmuchał pilnie, a
dziwował się, co to za
terminowanie.**

**Z miesiąc trwała taka robota,
od rana do wieczora ino Błażek
dmuchał a dmuchał, a Walanty
odrywał się chwilami od swojego
zajęcia i uważnie badał, jak mu
też idzie.**

**Ano, po miesiącu wyniósł
łopatę i widły z szopy, oparł je**

**o drzwi tuż przy szalasię i tak
gada:**

**- No, próbój dąć, zali
potrafisz przewrócić.**

**Mój Błażek dmucha raz, dmucha
drugi raz, aż mu oczy łzami
zaszły, a łopata stoi mocno, a
widły ani drgną.**

**- Źle słychać - powiada
Walanty - insze ci ziółka będę
gotował.**

**A te drugie ziółka to jeszcze
sto razy były ohydniejsze niż
pierwsze.**

**I znowu cały miesiąc zeszedł
na dmuchaniu. Ale się już Błażek
lepiej spisał po tym czasie: jak
nie zadmie z pełnych płuc, tak
widły i łopata... buch, buch na
ziemię.**

**- Ano widzisz - pochwalił go
owczarz - tak się trzeba
przykładać do nauki; przecie nie
święci garnki lepia.**

**Znowu zeszło cztery tygodnie.
Walanty wsparł ogromną drabinę o
sosnę; dmucha Błażek, aż mu oczy
łzami zaszły, ani rusz
przewrócić drabiny.**

**- Źle słychać - powiada
Walanty - insze ci ziółka będę
gotował.**

**A te trzecie ziółka to jeszcze
sto razy były gorsze od drugich,
aż serce mdlało od samego
zapachu; ale mus, to mus, pił
biedny chłopiec spory kubek co
rano.**

Za miesiąc nowa próba, ani się

**wcale nie natężył, jużci drabina
leżała na ziemi. Aż go Walanty**

pogłaskał, co taki pilny.

Więc dopiero nastaly
trudniejsze próby: to stół
wielki, dębowy, to wózek
naładowany sianem, to kamień
ogromny od wieków zaryty w
ziemię, a Błażek ino się śmieje,
dmucha i na wszystko mu sił
starczy. Ale te ziółka
obmierzłe! Wolej by się nafty
napił albo smoły. Darmo, kiedy
trzeba.

Minął rok, coś tam Błażek
owczarzowi nie dogodził, więc go
stary trzepnął pięścią między
łopatki. A mój Błażek jak się
nie odwróci, jak nie dmuchnie w
stronę szalasu, tak cała buda ze
wszystkim poleciała z Czerwonej
Góry trzask_prask na sam dół.
Ale się Walanty nie pogniewał,
widno chciał wypróbować mocy
swego ucznia.

- Ha, kiedyś taki mądry -
rzecze - to mi napędź chałupę z
powrotem na górę.

- Jakże to zrobię, kiedyście
gadali, że mi nie wolno stąd się
ruszyć?

- Ten jeden raz pozwalam.

Zbiegł tedy Błażek z Czerwonej
Góry, znalazł szalasa nie
uszkodzony w krzakach i tak
sobie lekuśko podmuchując
zasunął go na swoje miejsce.

- Jak na pierwszy rok, to
wcale nie najgorzej - pochwalił
go Walanty. - Będą z ciebie
ludzie.

Minął drugi rok i trzeci,
wyterminował Błażek jak się
należy i owczarz go wyzwolił nie
tylko na czeladnika, ale na
samodzielnego majstra. Pocałował
chłopak w rękę starego,
podziękował serdecznie i pyta,
co ma dalej robić.

- Idź na wędrówkę w obce kraje, jako przystoi porządnemu rzemieślnikowi - powiada owczarz. - A trafi ci się zarobek w drodze, tym lepiej, nie z próżnym trzosem do domu

powrócisz. Bywaj zdrów.

- Ostańcie z Panem Jezusem.

- Ale, ale, byłbym na śmierć zapomniał. Spotkałem wczoraj w lesie dziedzica i pięknie mu się kłaniam, coby mi darował drzewa na jaką taką chałupę, bom już stary i choć na zimę do wsi wracam, zawsze mi ku jesieni kościska marzną w onym lichym szalasie. Tedy rzekł, co się chętnie zgadza, mogę se wziąć, ile zechcę, ino o robotnika sam się muszę postarać. Ja se tam cieślę zamówię, sam się też na robocie rozumiem, wszelkie narzędzie mam, to i pobuduję się jak się patrzy, ino mi się nie chce sosen walić toporem, kiedyś ty jeszcze pod ręką. Nadmuchaj mi z kilkadziesiąt, a rażno.

Błażek rad, że się za naukę choć taką małą przysługą odwdzięczy, stanął sobie na wolnym miejscu, upatrzył najgrubsze i najwyższe drzewa, podparł sobie ino boki rękoma i jak nie weźmie dać... tak ci sosny padały od jego dmuchu jak żytnie kłosy pod sierpem.

- Dosyć? - pyta Walantego. -

Bo już sześćdziesiąt zwałem.

- Od przybytku głowa nie boli - odpowiada Walanty - doczyń jeszcze z dziesięć. No, teraz

wystarczy. Bóg ci zapłać,
bardzoś mi się przydał, dobrze się
stało, żem cię porządnego
rzemiosła wyuczył. Gdzie
pójdiesz najpierwej?

- Pójdę zajrzeć do tatusia i
do braci; ani wiem, co się z
nimi działo przez te trzy lata.

Zszedł Błażek z Czerwonej Góry
i do rodzinnej wsi prosto idzie,
a po drodze przemyśliwa, że
ładnie by było z jakim prezentem
przed tatusiem po tylu latach
stanać. Ale co by to? Worek na
plecach ma spory, niejedno by
się zmieściło... gruszek i
jabłek by się przydało, bo sadu
nijakiego nie ma przy tatusiowej
chałupie. Jakoż drzew owocowych
dość rosło wedle drogi; dmuchnął

Błażek na jedną gruszę, na
drugą, dmuchnął na jedną jabłoń,
na drugą, ot i pół worka się
zebrało. Pogląda, a tu zajac w
burakach siedzi i listki
chrupie; więc dmuchnął na niego
znieńacka. Nim się zajaczek
opamiętał, już go chwycił za
słuchy, * kark mu przetrącił,
do worka wrzucił. Szczęśliwie mu
się w tym dniu darzyło, bo aż
cztery zajace w ten sam sposób
upolował.

Słuchy - w gwarze myśliwskiej
uszy zajaca, królika

Już się teraz nie wstydzi, już
ma z czym tatusia powitać. Gdy
przyszedł do domu, właśnie
ojciec z Hanką do obiadu
siadali; zdziwienie na widok
niespodziewanie wracającego syna

było wielkie, a gdy jeszcze
podarunki ofiarował, stary
Biedroń wpadł w dobry humor i
weselił się a gawędził z
Błażkiem.

- Słuchaj no, synku - rzekł
odsuwając miskę, gdy się już
nasycili - powiedzże mi teraz,
czegoś się przez ten długi czas
u owczarza nauczył?

- Powiem tatusiowi i pokażę,
co umiem, ino pierwej bym się
rad o braciach dowiedzieć, jak
im się powodzi.

- Wszystkim jako tako, ino
Pawłowi najgorzej.

- A to jakim sposobem? Prędzej
bym myślał, że który inny
bieduje, ale on... młynarz?

- Juźci, młynarz; ale grzysi
mu po tym, jak od pół roku
wiatrak nie idzie.

- Albo co?

- Ha, coś się popsuło, czy
może wiatr za słaby, dość że
składła spoczywają, roboty nie
ma. Ludzie, choć dawniej ani
znać nie chcieli kogo inszego,
ino jak na odpust wszystko
biegło do Pawła, teraz musieli
się przenieść do tego pijaka
Andrzeja, co na wodnym młynie
siedzi.

- O, to źle.

- Pewno, że źle; i jak tak
potrwa jeszcze kilka tygodni, to
chyba wszystko rzucić i iść na
dziady.

- Pójdę ja do niego zaraz -
rzecze Błażek.

- Po co? Chyba mu nie

naprawisz młyna.

- Kto wie, może i naprawię.
Chcecie, to chodźcie ze mną.

I poszli do Piaseczny, gdzie
Paweł mieszkał. Zastali go przed
domem, siedział na przyzbie
ponuro zadumany.

- Nie smuć się, Pawełku -
rzecze Błażek po powitaniu - mówił
mi tatuś o twoich kłopotach,
spróbujemy jako zaradzić. Czy
wiatrak zepsuty?

- Gdzie zaś! Ani mowy, na
dziesięć mil wokoło takiego
drugiego nie ma; ale cóż, kiedy
od pół roku wiatru za trzy grosze
nie było.

- A co mmi dasz, jak będzie
wiatr?

- Próżne i niemądre gadanie...

- Dasz mi wóz i dwa konie?

- Oho, takiś pewny swego?

- Weź mnie na rok do służby, a
za to mi dasz wóz i parę koni.

Bądź spokojny, nie pożałujesz.

- Ino bym chciał wiedzieć...

- Chciałbyś? Ano, to patrzaj i
dziwuj się.

Rozsiadł się Błażek wygodnie w
oknie i zaczął w porządku
dmuchać. A moje śmigły fyrtu i
fyrtu dookolusieńka, ino się w
oczach migają.

- O raję... synku! - Stary
Biedroń aż się za głowę chwycił.

- Nie darmoś trzy lata harował u
owczarza.

- Udaje wam się * takie
rzemiosło, tatusiu?

Udaje wam się?... - podoba wam
się?...

Z daleka widać było, jak się
pięknie wiatrak obraca. Ludzie
to po wsiach spostrzegli, ten i
ów miał zboże wieźć do młyna, a że
gbura i pijaka Andrzeja nikt nie
lubił, więc w te pędy spieszono

do Piaseczny. Pawłowi serce

rosło z ukontentowania, a trzos
grubiał od talarów. Skończyła
się bieda, pan młynarz gruntu
dokupił, drugi wiatrak zbudował,
bo jeden nie mógł nastarczyć.
Ino go Błażek kazał tak ustawić,
coby za jednym zachodem na oba
mógł dmuchać, bo wołał, żeby mu
było poręczno niż chodzić od
jednego do drugiego. Przez ten
jeden rok służby u brata
przysporzył mu tyle dochodu, że
już teraz i całymi tygodniami
mogły młyny próżnować, nie było
strachu. Ale nie przyszło do
tego, bo jak się raz dobrze
rozmachały, tak nie było temu
końca. Widno prawdziwy wiatr
zawstydził się, że człowiek musi
pełnić jego służbę, i zabrał się
szczerze do roboty.

Gdy się rok skończył, Paweł
wyplacił umówioną zasługę bratu,
wózek piękny i parę koni
czterolatków mu dał, podziękował
z serca i jeszcze srebrnych
grubych talarów przygarść mu
dorzucił.

Siadł se Błażek z uciechą na
koziół i pojechał do bliskich
wsi i miasteczek, poodwiedzał
braci, a potem w świat szeroki
przygód i zarobku szukać.

Jedzie, jedzie, z tydzień już
podróżuje, wszędzie na
gościnnych ludzi trafia, bo też
płaci jak się patrzy, to co by
go mieli źle przyjmować. Jednego
ranka wjechał do dużej, gęsto
zabudowanej wsi i dziwi się, że

takie pustki na ulicach, nigdzie żywej duszy nie widać...
powymierali czy co? Puka do pierwszej lepszej chałupy, nikt mu nie otwiera, tedy bez pozwolenia sam wszedł i rozgląda się po izbie. Dziadek siwiuteńki i dzieci drobnych troje siedzą przy wygasłym piecu i płaczą.

- A czego wy tacy smutni? -
pyta Błażek.

- Jakże nie płakać, jakże nie lamentować - powiada staruszek - kiedy nam się jeść strasznie chce, a nie ma komu strawy

ugotować.

- A gdzie gospodarz? Gdzie gospodyni?

- Z dalekaście, panie, kiedy o naszym nieszczęściu nie wiecie. Niegodziwy czarownik przeklął naszą wieś i już przeszło od roku jedna kropla deszczu na nasze pola nie padła. zeczka tu dawniej płynęła, wyschła ze szczeniem; studnie powysychały, żeby choć odrobinę zboża uratować i sady podtrzymać, muszą ludzie o trzy mile po wodę chodzić do jeziora. Kto ma konie, to beczkami wozi, a kto biedniejszy, to sam ciągnie... w kilkoro się zaprzęgają. Robią, co mogą, żeby ino tę spękaną ziemię choć trochę napoić.

- Strasznieście biedni -
użalił się Błażek.

- Jużci, że biedni.

Wysprzedaliśmy bydelko, bo ginęło z pragnienia. Nijakie zwierzę, nijaka gęś ani kaczka

nie ostała siŁ w chałupie.
Dziewiska płaczą, straszna
klęska. Dziedzic obiecał wór
dukatów temu, co by lekarstwo
znalazł na to nieszczęście, ale
co to kto poradzi, jak deszczu
nie ma.

- Pójdę ja pogadać z
dziedzicem - powiada Błażek.

Przyszedł do dworu, prosto na
pokoje idzie, samego pana szuka,
bo tu nie czas na długie
ceregiele.

- Jaśnie dziedzicu - rzecze -
jeszcze dziś na wieczór będzie
deszcz ulewny, ino mi pewnoś
dajcie, że mnie za to
wynagrodzicie.

Uradowany dziedzic napisał
dużymi literami na herbowym
papierze, jako pół korca dukatów
zapłaci za trzydniowy deszcz.
Wycisnął u dołu pieczęć na
czerwonym laku i wręczył ten
dokument Błażkowi. A tenże nie
ociągając się chwili zaciął
konie i popędził do deszczowego
wąwozu, w tę stronę, gdzie ku
zachodowi słońca niebo z ziemią

się styka. Stary Walanty nie raz
i nie dziesięć opowiadał mu o
tym wąwozie i drogę dokładnie
tłumaczył. Więc leci Błażek, co
ino konie wyskoczą, a gna, a
popędza, szczęściem, że nie
bardzo daleko, boby je na śmierć
zagnał.

Dotarł do deszczowego wąwozu i
aż się zdumiał, co tam zobaczył:
jar długi, choć na ćwierć mili,
głęboki na jakie dziesięć

pięter, a w nim od spodu aż do samego wierzchu czarne chmury, ciężkie, wodą nadęte, jedna na drugiej ciasno poukładane leżą.

A Błażek z wielkiej złości jak nie wrzaśnie na nie:

- Aha, zbereźnice jedne, toście się tutaj pochowały? Toście się spać pokładły, a tam ludzie umierają bez kropli deszczu? O wy próżniaki przemierzcie... zaraz mi do roboty!

Nabrał tchu w płuca, aż mu na grubość i na wysokość z pół łokcia przybyło, i jak nie dmuchnie co ino sił... a moje chmury w dyrdki się pozrywały: jedna ponad wąwóz wybiegła, druga za nią, trzecia za nią, czwarta za nią... Błażek pędzi je, dmucha wciąż, chmury suną prosto ku wsi zaczarowanej.

I lunął deszcz rześisty, lecz spokojny, ciepły, pachnący... a ziemia obumarła z pragnienia piła go, piła i nacieszyć się nie mogła. I ludzie się cieszyli, dzieci powybiegały na pola i tańczyły, skakały, śpiewały, a deszcz gęsty, słodziutki lał przez całe trzy dni bez przestanku.

Skończyło się panowanie szkaradnego czarownika; Błażek posłał ku jego jaskini chmurę z trzema piorunami, które padły wszystkie naraz i na miejscu zbrodniarza zabiły.

Można sobie wyobrazić, co tam we wsi była za radość, jakie dziękowanie. Dziedzic naturalnie dotrzymał słowa, jeszcze i

skrzynię żelazną podarował
Błażkowi, boby mu się dukaty
mogły wysypać z worka.

Błogosławiony przez
wszystkich, pojechał z wesołym
sercem w dalszą drogę.

I znowu po pewnym czasie
trafił do jakiegoś dziwnego
opustoszałego miasta, znowu
szukał ludzi, a nigdzie nawet
żebraka nie spotkał. Wyjeżdża
tedy drugą stroną za rogatki i
tam dopiero zobaczył dziewczynę
wynędzniałą, nad strumykiem
siedzącą. Zlął Błażek z wozu,
przysiadł się do dziewczyny i
rozpytuje o wszystko. A ona mu
powiada, że czarownica nikczemna
nasłała na miasto morową zarazę,
ludzi dużo wymarło, a reszta
mieszkańców, nawet i sam król
miłościwy, po okolicznych lasach
się kryją i głodem przymierają.

- Jestem córka królewska -
powiada dziewczyna - wyszłam z
lasu do rzeki uprać sobie
sukienkę, bo moje służebne
pomarły wszystkie, muszę się
sama czesać, myć, ubierać...

- Taaak... to czarownica was
ukrzywdziła? - mruknął Błażek. -
Poczekaj, wiédźmo jedna,
podziękuję ja tobie.

A do królowny odezwał się w te
słowa:

- Czy nie wiesz, jasna
panienko, gdzie mieszka ta
potwora?

- W domku na kurzych nóżkach
na środku stepu, dwie mile na
północ od naszej nieszczęśliwej
stolicy. Zemściła się na całej
ludności za to, że najjaśniejszy
król, mój ojciec, nie chciał
mnie dać za żonę jej synowi, co

ma trzy ręce, dwie głowy, a zły
niczym sam diabeł.

- Nie bój się, królewno, do
wieczora zrobię porządek jak się
należy.

Zaraz się zabrał do pracy,
obszedł stolicę dookolusieńka,
nie zbliżając się zbyt, bo mu
niepilno było umierać, ino sobie
tak z daleka zaglądał, czy nie

uwidzi zarazy... Dostyc długo
daremnie jej upatrywał.

- Pewnikiem spoczywa,
zatracona pokraka; namorzyła
ludzisków, co ino mogła, to i
śpi gdzie w kącie.

Odważył się wejść na jedną z
ulic... przeszedł całą, nie
spotkał nikogo; idzie dalej, nie
ma nic; przeszukał całe miasto,
już go i nogi zabolaly, patrzy,
gdzie by tu usiąść w cieniu.
Widzi drzwi do jakiegoś sklepu
otwarte, czemu się wcale nie
zadziwił, bo ludzie uciekając w
popłochu nie mieli czasu na
zamykanie. Wiecha nad drzwiami i
gąsiorek, a kielich na szyldzie
pouczyły go, że to szynkownia.

- Za moją pracę choć se gardło
popłuczę; słusznie mi się kubek
miodu albo gorzałki należy.

I wszedł śmiało do izby. Stało
tam na półkach flaszek
przeróżnych setki; miarek
blaszanych i półkwaterek też
nie brakło. Nalał z jednej
butelki, duszkiem wychylił...
żytnia, nalał z drugiej,
duszkiem wychylił... miętowa;
powtórzył i tej, i tej, jedna i

druga dobra.

**- Cóż tam znowu się dzieje?...
Jakoś mnie mgli... Chorość mnie
ściska.**

**Ogląda się, a pod ławą leży
coś i chrapie, aż się rozlega.
Całe toto owinięte w czarną,
zrudziałą od starości szmatę,
ani głowy, ani rąk nie widać,
ino cienkie nożyska wysterczają
spod ławy.**

**- O rety... - Błażkowi
czupryna się zjeżyła, skoczył ku
drzwiom. - Dy to ona!
Przeklętница! Nie darmo na
omdlenie mi się zbierało. Całe
szczęście, że się spała
diabelska kumoszka, boby już
było po mnie.**

**Skoczył do pobliskiej stajni,
słomy i siana zabrał parę
snopków, skrzesał ognia, zapalił
słomę i przez okno do izby
wrzucił. Sam zaś uskoczył na**

**bok i skrył się za węgiel domu.
Pomyślnie dla jego zamiarów
złożyło się, że owa szynkownia
znajdowała się w jednym z
ostatnich domów przedmieścia, a
dalej rozpościerały się pola i
łąki, wielka równina ciągnęła
się ku północy.**

**Niedługo Błażek czekał...
zaryczało coś w izbie strasznym
głosem, dym gęsty buchnął oknami
i drzwiami; wśród tych kłębow
dymu wyskoczyła zaraza morowa w
czarnej płachcie i biegła prosto
przed siebie.**

**- Jeszcze ty nie tak polecisz
- mruknął szyderczo Błażek -**

ino patrz, jak ja cię popędzę.

**Nabrał w płuca ze trzydzieści
garnce powietrza i zahuczał
wichrem niezmiernym, że tego
nawet opisać niepodobna. Gnał
ten wichur ohydny babę, aż
kozy machała, bo się na nogach
utrzymać nie mogła. Wreszcie
zaleciała na step, do chałupki
na kurzych nóżkach, wskoczyła
rozwścieczona przez okno i
czarownicę wraz z jej miłym
synkiem na śmierć zagryzła.
Błądek, który podmuchując bez
ustanku, szedł trop w trop za
morową zarazą, zatrzymał się na
stepie i wszystko widział z
daleka. Nie przestał jednak
pędzić potwory, póki jej do
morza nie zagnał i na największą
głębnię nie rzucił.**

**Na drugi dzień zajeżdża pod
las i huka:**

- Hop, hop!

**Wyjrzało kilkoro
odważniejszych, a on do nich:**

**- Wygraliśmy wojnę; czarownica
ze swym jedynaczkiem poszła do
piekła, zarazę morskie ryby
zjadły, możecie śmiało wracać do
waszych domów.**

**A wielki kanclerz przystąpił
do króla i z niskim pokłonem tak
przemówił:**

**- Pokornie przypominam ci,
najmiłościwszy panie, co
raczyłeś przyrzec, jeśli się
znajdzie wybawca w tym srogim**

utrapieniu.

**A wszyscy obecni zawołali
chórem:**

- Obiecałeś, najjaśniejszy
panie, oddać mu królownę
Ametystę za żonę.

- I ja pamiętam twoje słowa,
miłościwy ojcie - cichym głosem
rzekła księżniczka mile
spoglądając na Błażka.

Ale... że to czasem i królowie
bywają słabego zdrowia, czemu
nie trzeba się dziwić, są bowiem
niemal tak samo ludźmi jak i my,
więc i ojciec królowny Ametysty
cierpiał na bardzo przykrą
chorobę... chroniczny katar
pamięci. Odpowiedział tedy:

- Hm, hm... e... e... tego...
wcale sobie nie przypominam, ani
słówka sobie nie przypominam.
Przeciwnie zaś, jak
najdokładniej pamiętam, że na
dzień przed ukazaniem się zarazy
otrzymałem wiadomość, że od
strony Oceanu Niespokojnego
olbrzymia flota się zbliża. Cóż
mi z tego, że choroba ustała,
gdy nowe niebezpieczeństwo grozi
od potężnego wroga. Kto by
rozpędził nieprzyjacielskie
okręty, zniszczył, zatopił
flotę, przysięgam, że zięciem...
że może liczyć na wdzięczność
królewską.

A Błażek na to:

- Racz, miłościwy panie,
potrudzić swe dostojne stare
kości na najwyższą basztę
zamkową i poglądaj pilnie, co
się dziać będzie z
nieprzyjacielską flotą. A nim
wieczór zapadnie, rozkaż zapalić
trzysta świec przed wielkim
ołtarzem twej katedry.

- Biegnę... leczę! - skwapliwie
zawołał król nie słuchając do
końca.

Pojechał Błażek nad brzeg
morza, patrzy... okręt koło

okrętu, a maszty sterczą gęsto
jak drzewa w lesie. Rzekł tedy
do siebie:

- Kto nie próbuje, nic nie
zyskuje; dalej do roboty. Co się

tu długo namyślać.

Jak nie wionie, co ino sił
miał w piersiach. Wicher się
zerwał przestraszny, statki
podrzucane niebotycznymi
bałwanami wywijały koziolki,
uderzały jedne o drugie i
dziurawiły się nawzajem. Błazek
nie przestawał dmuchać, wreszcie
dla wygody wsiadł do łodzi
rybackiej w zacisznym miejscu
przymocowanej i z mniejszej
odległości podmuchiwał ino jakby
od niechcienia. Wiele okrętów
zniszczonych orkanem zatonęło,
resztę rozproszyła burza na
cztery strony świata. Ku
wieczorowi na gładkiej
powierzchni morza nie było już
floty nieprzyjacielskiej; tylko
setki potrzaskanych masztów
rozrzuconych na falach
świadczyły o strasznym pogromie.

Tedy stawił się Błazek na
królewskim zamku po obiecaną
nagrodę. Najmiłociwszy pan
cieszył się zwycięstwem i
serdecznie wybawcy dziękował,
ale jakoś nic a nic sobie więcej
nie przypominał. Dopiero gdy
królowna Ametysta weszła do jego
komnaty w ślubnej sukni i
mirtowym wianku, srodze się
zdziwił i spytał, co by to była
za uroczystość. Błazek skoczył
do zajazdu, przystroił się

bogato, bo miał pięknych ubrań
na tuziny, i zajechał przed
bramy zamku niczym księżę
udzielny. Udali się wszyscy do
katedry, gdzie już przed jarząco
oświetlonym ołtarzem biskup na
nich oczekiwał. I tak onemu ona
została poślubiona. Ot i bajka
skończona.

Trzy siostry

Dawno już dawno, ho, ho,
jeszcze ani kołodzieja Piasta
nie było na świecie, żył sobie
na wsi, w tej stronie, gdzie
teraz miasto Kraków się wznosi,
bogaty kmieć nazwiskiem Gajda.
Miał on trzy córki. Najstarsza,

Czciśława, dumna strasznie była
i zarozumiała; gdy uczesała swe
krucze włosy w dwa piękne
warkocze i przetkała je makiem z
tatusiowego pola, gdy się
wystroiła w gorset świecidełkami
wyszywany i w jedwabne spódnice
za drogie pieniądze od
wędrownych Niemców kupione, a
szła wyprostowana jak młoda
brzózka przez wieś, to wszyscy
ludzie oglądali się za nią i
podziwiali jej strój i urodę.
Ale ona hardo zadzierała głowę i
mało kiedy odkloniła się, kiedy
ją witano. Toteż nie było w
całej wsi nikogo, co by ją
lubił, nie było parobka, co by
ją chciał za żonę.

Druga córka starego Gajdy
miała na imię Krasnoroda;
śliczna była jak polna róża w

rannym słońku rozkwitająca, a
wesola... ino się śmiała a
śpiewała po całych dniach. Ale
robić to się jej wcale nie
chciało. Po weselach latać,
tańczyć, a skakać po całych
nocach, o, to się jej podobało,
do tego zawsze miała ochotę.
Ale krowy podoić, w chlewie i
oborze porządek zrobić, podwórko
wyzamiatać, izby schludnie
utrzymać, strawę dla wszystkich
ugotować, tego ani Czcislawa,
ani Krasnoroda nigdy nawet nie
spróbowwały.

Od śmierci matusi całym domem
zajmowała się najmłodsza z
siostr, Dobrochna. Tak się
krzątała i uwijała, że
wszystkiemu nastarczyła i całe
gospodarowanie szło jak z
płatka. Ale za to ani na
targowicy, ani na weselach, ani
na sobótkach nigdy jej nie
spotykano. Mało kto nawet we wsi
wiedział, że stary Gajda ma
trzy córki. Siostry żartowały z
niej jak z popychadła i
wyśmiewały się, że mała, brzydka
i piegowata. Ale kto by się
Dobrochnie z bliska przypatrzył,
toby się dopiero zadziwił: włosy
miała gęste, długie aż po

kostki, a tak złocisto
błyszczały, jakby wiecznie
słońce na nie świeciło. Oczy
takie ciemnoniebieskie jak
bławatek, co przed godziną
pączek swój rozchylił; ale co
prawda, to nie grzech, te piegi
po całej twarzy bardzo ją

szpeciły. Za to miała uśmiech
pocziwy, usta pąsowe i ząbki
białe, drobniuskie.

Jednego razu pojechał Gajda do
drugiej wsi, do brata, na
postrzyżyny. Zabawił się długo,
miodu może trochę więcej wypił,
niż trzeba, dość że drzemiąc na
wozie wracał do domu. Konie się
także jakoś zamedytowały i nagle
gospodarz z wozem leżał w rowie,
a siwek i gniady omal nóg nie
połamały. Przejeżdżający
sąsiedzi poratowali Gajdę,
wyciągnęli wóz na równą drogę i
jakoś takóś dowlokły się konie
do domu.

Ale nazajutrz pokazało się, że
stary dobrze sobie kości
poprzetrącał czy na wewnątrz
cosik oberwał, bo ani rusz wstać
z łóżka. Posłali po znachora,
wysmarował go borsuczym
skromem, * jeszcze gorzej
bolało. Posłali po owczarza,
prostował mu nogi i ręce, aże
stawy strzelały, ino go się
puchlina chyciła z tego
prostowania. Posłali po babę
Mędrochę do Niepołomskiej
Puszczy. Przyjechała z hardą
miną niczym królowa, ugotowała
ziółek i korzonków siedem
garnuszków; z jednego dała się
napić, z drugiego lała na rękę i
kości mu smarowała, z trzeciego
mu głowę umyła, z czwartego
łóżko i izbę wykropiła, z
piątego córkom, parobkom i
dziewkom pić kazała, z szóstego
koniom owies polała, a siódmy
zostawiła przy ogniu, żeby się
do cna wygotował, niby na znak,
co i choroba jak ta para ma się
w powietrzu rozpląnąć. Miała ze
sobą zioła suszone, tymi całą
izbę wykadziła, aże się w gardle

gorzko robiło, słowem, uczyniła,
co ino trza było. Zładzili jej
za to furę krup wszelakich,
miodu, chleba, sera, jabłek,
obdarowali babę jak się patrzy,
pomruczała, że mało, i zabrała
się do swojej nory na skraju
puszczy. Żebyż choć co pomogło,
nic a nic.

Skrom - tłuszcz zwierzęcy,
używany kiedyś jako środek
lecniczy.

Minął tydzień, źle; minął
drugi, jeszcze gorzej; przeszedł
trzeci, już wszyscy we wsi
wiedzieli, że się staremu
Gajdzie niewiele należy i lada
dzień będzie koniec.

A tu sobie Przemko od Bytoniów
przypomniał, że mu kiejsi babka
opowiadali, co od swego znowu
dziadka wiedzieli, że trzy mile
ode wsi, na zachód słońca idąc,
jest wąwóz długi okrutnie,
środkiem strumyczek płynie, a
bokami stoją skaliska, wysokie
aż pod niebo, dwoma rzędami.
Będzie ich ze trzysta albo i
więcej. Ino że to nie prawdziwe
skały, powiadali babka, ale
miasto wielkie obrócone w kamień.

Otóż tam w jednej pieczarze,
skąd źródółko wypływa, mieszka
dziwotwór straszny, pół ryby,
pół człowieka, pilnuje
strumienia dzień i noc, bo ma
tak przykazane. Ale kto by
wprost ze samej skalnej
szczeliny kubek wody zaczerpnął,
ten choroby nijakiej bać się nie
musi, choćby już dech z niego

uchodził, od jednej kropli tej
wody żywiącej zdrów powstanie.
Tedy pobiegł Przemko do
Grochalów i rozpowiedział
wszystko Kalinie; Kalina
poleciała do Radostów i
naradziła się z Mładą; Młada
skoczyła na jednej nodze do
Paździorów i poszeptała z Żywilą;
Żywila pomknęła jak strzała do
Bartników i mrugnęła na Milenkę.
Wyszła Milenka do przełazu, tam
jej Żywila wytłumaczyła co i jak
i kazała biec do chałupy Gajdów,

nie oglądając się ani na lewo,
ani za siebie i strzegąc się
pilnie, by po drodze na suchą
gałąź nie nadepnąć. Usłuchała
Milenka, wypełniła wiernie, co
jej Żywila zleciła, i zanim
słońce do pół nieba się
posunęło, Czcisława do
skalistego wąwozu już spieszyła.
Wystroiła się jak na Kupalę,
włosy wysmarowała świeżutkim
masłem, bursztynów cztery nitki
zawiązała pod szyję i dalej w
drogę. Idzie, idzie, trochę się
boi, bo nigdy tak daleko od domu
nie odchodziła, ale śpiewa, co
ino może najgłośniej, żeby nikt
nie pomyślał, że najstarsza
Gajdzianka drży ze strachu.
Jakoś ją nic złego ani dobrego
po drodze nie spotkało,
wcześniej, niż się spodziewała,
do wąwozu dotarła. Tedy za
strumykiem w górę podąża, gdzie
źródło spod skały tryska.
Patrzy, aliści leży coś
wielkiego na mchu przy źródle i

śpi. Wychyla głowę między
gałęzie leszczyny i pogląda
pilnie na straszycło.

Głowę to to miało ludzką, ino
włosem zielonym obrośniętą,
taką broda gęsta, długa a
poplątana zwieszała się na
piersi. Do pasa niby na
podobieństwo człowieka, ramiona
szerokie, ręce wielkie, choć
palce błonami połączone jak u
kaczki. Za to od pasa raz koło
razu łuskami pokryty, a nogi
szkaradne, szerokie jak płetwy.

Żachnęła się Czcisława od
wielkiego obrzydzenia,
zaszeleściły gałęzie, dziwotwór
otworzył oczy.

- A ty czego chcesz tutaj,
ludzkie dziecko? - zapytał
ziewając ogromną paszczką, co
mu sięgała od ucha do ucha.

- Wody przyszłam zaczerpnąć
dla chorego tatusia -
odpowiedziała Czcisława
pokazując dzbanek.

- Aha, zaraz wody? To ty
myślisz, ludzkie dziecko, że ja

darmo wodę rozdaję? - I zaśmiał
się pokazując kielce jak u
wilka.

- Zapłacę... - wyjąknęła
dziewczyna.

- Tak to co inszego. A wiesz,
jaka to ma być zapłata? Dam ci
wody pełen dzbanek, ale musisz
zostać moją żoną.

- Jeszcze czego? - wrzasnęła
Czcisława i w nogi.

- Czekażcie, czekaj, toli cię
nie zjem, wróć się, coś ci

rzeknę.

**Ciekawość przemogła, odwróciła
głowę Gajdzianka, ale z dala się
trzymała i słuchała, co jej też
dziwotwór powie.**

- A z dalekaś ty, dziewczko?

- Trzy mile.

**- I chcesz wracać pod noc tyle
pędy? Zatrzymajże się. Abyś
wiedziała, żem dobry i bez
podarunku nikt ode mnie nie
odchodzi, dam ci konika na drogę.**

**Podniósł ze ziemi czarny
kamyczek i rzucił nim ku
dziewczynie. A to co? Mamidło
czy jawa? Konik osiodłany, kary
calusieńki, ino strzałka biała
na czole, stoi przed nią, rży
wesoło i nóżką piasek grzebie.**

**- Bywaj zdrowa! - zaskrzeczało
spod skały.**

**Czcisława skoczyła na
siodełko, uderzyła konia ręką po
szyi i wio do domu.**

**Koń ani stu kroków nie ubiegł,
aż tu z onego spokojnego,
łaskawego zwierzęcia
przedzierzgnął się w ognistego,
prawdziwie z piekła rodem
rumaka. Jak nie zacznie pędzić
na oślepi między jałowce i
tarniny, między krzaki głogowe,
a dęba stawać, a rzucać się jak
wściekły, nawet kierować sobą
się nie dał, ino latał w prawo i
w lewo, naprzód i wstecz jak
owca, kiedy ją kołowacizna
ogarnie. Biedna Czcisława
chwyciła go oburącz za szyję i
tylko się wszystkim bogom
polecała, żeby jej to diabelskie
bydlę nie zabiło.**

Całą noc trwała jazda szalona,
wreszcie nad ranem właśnie
Dobrochna szła się umyć do
studni, gdy ujrzała na wpół
nieżywą siostrę przed wrotami
leżącą. Twarz i ręce miała do
krwi podrapane, bogate suknie w
strzępy podarte, wszystkie
bursztyny rozsiała po drodze...
w prawej ręce ścisnęła nieduży,
czarny kamyczek.

Dobrochna zbudziła Krasnorodę,
podjęły z ziemi poranioną
siostrę i zaniósł ją do izby na
łóżko. Na wszystkie pytania
odpowiedziała tylko:

- Nie dał wody i jeszcze
zemścił się srodze.

A staremu ojcu z godziny na
godzinę było gorzej.

- Może ja szczęśliwsza będę -
powiedziała Krasnoroda;
wystroili się jak na Kupałę i
powędrowała do źródelka. Tak
samo przygodziło jej się jako i
starszej siostrze, takiej samej
dziwotwór zapłaty żądał.

Krasnoroda, że to zawsze do
śmiechu była jedyna,
zachichotała na cały głos,
ukłoniła się zgrabnie,
zatańczyła w kółko i rzekła:

- Oj, ty, ty, straszycie wodne
przemierze! A co tobie po
takiej żonie jak ja, co mnie po
takim mężu jak ty? Aniby się
ludziom nie mogła pokazać z taką
potworą; idźże, idź, co ci się
też zachciewa?

Ani ją serce nie zabolalo, że
tam w chałupie umierający tatuś
leży i poratowania wygląda.

A dziwotwór roześmiał się
głośno, aż woda w źródelku
zadrzała, i rzekł:

- Ładnie umiesz skakać,

ludzkie dziecko; tańczyć,
słyszałem, lubisz nade wszystko;
wracajże do domu tańczący.

Dmuchał między palce. Zerwał
się wicher srogi, porwał
dziewczynę w górę, obrócił ją
cztery razy, rzucił na ziemię,
znowu nią zakręcił jak frygą,
znowu dźwignął w powietrze na

trzy łokcie; i tak w prawo, w
lewo, do góry i na dół, szarpał
ją przez całą noc. Na rano była
w domu, z nabrzmiętymi stopami,
potłuczona, prawie bez tchu.

Tatuś umierał, a wody jak nie
było, tak nie było.

Rozplakała się z żalu
Dobrochna i rzekła do sióstr:

- Żeby zabił i zjadł srogi
potwór, musi pierwszej dać wody.

Wdziała na siebie świeżo
upraną białą płótniankę,
zaplotła włosy złote, dzbanuszek
wzięła do ręki i poszła do
wąwozu. Zdało jej się, że przy
źródle nie ma nikogo, i
uradowana przyklęła, by
zaczerpnąć wody. Wtem, z głębi
pieczary, coś się odezwało:

- Kiedyż będzie koniec tego
łazenia? Spokoju mi nie dacie!

- Darujcie, panie... - rzekła
Dobrochna ze łzami - tatuś
umiera, muszę mu wody zanieść,
muszę.

- A wiesz ty, czego ja żądam?
Nie mówiły ci siostry?

Pojrzała dziewczyna ku
jaskini, aż ją omdlenie
chwyciło; ale się skrzepiła czym
prędzej i śmiało odpowiedziała:

- Chętnie się zgadzam i zoną
waszą zostanę, byleście tatusia
uzdrowili.

- Tak to lubię - odparło
straszydło; wysunęło się z jamy,
zaczerpnęło spod skalnej
szczeliny wody ożywiającej w
cudne szmaragdowe naczynie i
podało Dobrochnie. - A pamiętaj
słowa dotrzymać.

- Dobrze, panie; będę waszą
żoną.

- Poczekajże,
narzeczonej podarunki się należą.

To mówiąc prysnął na nią
oburącz źródlaną wodą. A gdzie
padła kropelka, czy na sukienkę,
czy na włosy, wszędzie skrzyły
się perły i drogie kamienie.

- Przykleknij tu w trawie,
umyj twarz.

Usłyszała.

- Teraz popatrz w

zwierciadelko.

Podał jej małe lusterko w
złotych ramkach; spojrzała...
gdzież się podziały piegi i
błada, nikła twarzyczka. Śliczne
dziewczątko zrobiła woda z
Dobrochny.

- Abyś prędzej do domu
zajechała, masz tu powóz i konie.

Ustawił trzy białe kamyczki na
ziemi, dmuchnął na nie, zrobiły
się dwa białe koniki w srebrnej
uprzęży i powozik cały
alabastrowy.

- Bóg wam zapłać, dobry panie
- rzekła wdzięczna Dobrochna,
wsiadła do kolasy i pojechała.

Czcisława i Krasnoroda

tymczasem wyszły przed wrota z
zawiścią w sercu i ze skrytą
nadzieją, że najmłodsza
siostrzyczka równie z niczym,
tylko z sińcami od straszyla
powróci. Jakże się zdumiały
widząc przecudnie strojną a
jaśniejącą urodą Dobrochnę, w
ślicznym wózeku zajeżdżającą
przed dom.

- Aż oczy bolą od tego
blasku... - mruknęła Czcislawa.

- Umalował ją czy co, że taka
piękna? - dodała Krasnoroda.

A Dobrochna ani chwili się nie
zatrzymując pobiegła do izby.
Siostry zaś korzystając ze
sposobności chciały się
przejechać alabastrowym
wózekiem, nim jednak doszły za
wrota, zerwał się wicher
nieopisany; sypnął im w oczy
piaskiem i kurzem... musiały
twarz rękami zasłonić. Po chwili
patrzają, ani śladu wózka, ani
śladu koni, ino przed bramą trzy
białe kamyki leżą.

- Czarownik przemierzły! -
syknęła rozzłoszczona Czcislawa.

- Bodaj go febra majowa! -
zaklęła Krasnoroda.

Dobrochna tymczasem z
rozradowanym sercem zbliżyła się
do chorego tatusia i podała mu
szmaragdowe naczynie. Ledwie je
do ust przytknął, bladość
śmierci zniknęła z jego twarzy;

gdy wypił połowę, usiadł żwawo
na pościeli, gdy wypił ostatnią
kroplę, wyskoczył zdrów i wesół,
jakby nigdy nie chorował.

- O moja córuś, moja córuś
najmilejsza, tyś mi zdrowie i
życie przyniosła!

A siostry kłaniały się nisko
Dobrochnie.

- Witaj nam, żabia królowo,
kiedy wesele?

- Ot, męża będzie miała
urodnego, jakiego świat nie
widział.

Aż tu o północy, gdy wszyscy w
domu twardo już spali, tłucze
się ktoś do bramy.

- Pójdź, otwórz z łaski
swojej, narzeczony w bramie stoi.

Zbudziła się Dobrochna,
zatuliła głowę w poduszki,
udaje, że nie słyszy.

Ciężkie kroki jakieś idą przez
podwórze i znowu puk... puk...

- Pójdź, otwórz z łaski
swojej, narzeczony w sieni stoi.

"Ach nie otworzę..." -
pomyślała Dobrochna i zakryła
się pierzyną po same oczy.

Coś idzie po schodach na
pięterko, gdzie izdebka trzech
sióstr.

Puk... puk...

- Pójdź, otwórz z łaski
swojej, narzeczony u drzwi stoi.

- Obiecałam, nic nie pomoże,
muszę słowa dotrzymać... -
westchnęła Dobrochna. -

Zaczekajcie, panie, ino się
przyodzieję! - zawołała drżącym
głosem i wyskoczyła z łóżka. Za
chwilę otworzyła drzwi, straszycie
weszło do izby.

- Jużes gotowa, ludzkie
dziecko?

- Gotowam, panie -
odpowiedziała Dobrochna lży
polykając.

- To i pojedziemy; wóz i konie
przed bramą czekają. Ino jeszcze
wody przynieś ze studni a umyj

mnie.

**Przyniosła wody, ręcznik
haftowany zmaczała i paszczękę
dziwotworowi obmyła. Aliści...**

**skoro go tylko ręką dotknęła,
szarzielona skóra zaczęła pękać
i opadać kawałami na ziemię,
obleciały kudły szkaradne, rybie
łuski gdzieś się podziały,
królewicz młody, piękny i
strojny stoi przed nią i w te
słowa się odzywa:**

**- Dzięki ci, dobra dziewczyno.
Twoje to serce sprawiło, że
czarownika zakęcie moc swą nade
mną straciło. W postaci
strasznej poczwary pędzić mi
życie sądzono, aż znajdzie się
litościwa, co zechce zostać mą
żoną. Czekałem lat trzy
tysiące... ale mnie żadna nie
chciała; za zdrowie ojca miłego
tyś mi swe życie oddała. Zrzucam
splęsniałą skorupę i królem
przed tobą stoję, serce me,
berło, koronę na wieki tobie
oddaję.**

**Sprowadził Dobrochnę z
poddasza, wsiedli razem do
złotej karocy, stangret strzelił
z bata, konie pobiegły chyżej
wiatru za rzeki, za lasy, do
dzikiego wąwozu.**

**A tam gdzie od lat tysięcy ino
skały nagie szarzały nad
strumieniem, zdumione oczy
Dobrochny ujrzały miasto piękne
i wesołe. Gród warowny,
chramy * bogate,
dworzyszczka modrzewiowe, sady
kwieciste mieniły się wiosenną**

zielonością i przeróżnymi
kwiatami, słowem, dziwy i czary
dokoła.

Chram - świątynia.

- Chyba to sen przecudny... -
szeptała Dobrochna przecierając
oczy.

Karoca potoczyła się ku
pagórkowi zielonemu, na szczycie
którego wznosił się zamek
królewski. Oddział wojska
wyszedł z muzyką na powitanie
dostojnej pary, a na schodach i
w przedsionku starszyzna i
dworzanie składali niskie
pokłony.

I rozpoczęło się nowe życie
dla Dobrochny, pełne uciechy i

bogactwa, przy boku umiłowanego
małżonka. Lecz wśród tych
skarbów i wśród szczęścia nie
zapomniała o tatusiu stareńkim,
sprowadziła go do swej stolicy i
dała pomieszczenie w królewskim
dworcu. Chciała i siostry zabrać
do siebie, ale z onej złości, że
przez własną głupotę poniechały
tak wielkiego dobra, choć im
samo w ręce się dawało, wołały
zostać w chałupie i nie patrzeć
na Dobrochny królowanie.

A ona żyła w weselu wielkim;
za rok po ślubie synka
ślicznego, tak jako ojciec
złotowłosego - powiła; znanych,
nieznanych wszystkich poddanych
- sprosiła. Tłumnie śpieszyli,
jedli i pili aż radość. I ja tam
byłam, miód i wino piłam, choć
się spóźniłam, ale użyłam -
wszystkiego zadość.

Dziwni przyjaciele

**Był raz sobie ubogi wyrobnik,
któremu się bardzo źle wiodło na
świecie. Miał wprawdzie poczciwą
żonę i siedmioro zdrowych
dzieci, ale się gryzł i trapił
ciągle, bo choć pracował ze
wszystkich sił, nigdy nie mógł
tyle zarobić, żeby w chacie był
choć jaki taki dobrobyt. Ani się
odziać porządnie, ani zjeść do
syta... Martwił się, martwił, aż
w końcu zachorował ciężko.**

**Młodsze dzieci żałowały tatusia
i jeść im się bardzo chciało,
więc płakały głośno, aż serce
bolało słuchać. Matka poszła do
sklepiku, by za ostatnie grosze
kupić choć bochenek chleba; a
najstarszy syn Antek siedział na
ławce przy stole, głowę podparł
rękoma i strasznie nad czymś
rozmyślał. Gdy się już dość
namedytował, przybliżył się do
łóżka chorego ojca i tak
powiedział:**

**- Pozwólcie mi, tatusiu, iść w
świat, gdzie oczy poniosą; wam
będzie lżej beze mnie, a ja może
przecie napotkam gdzie**

**szczęście, to was wszystkich
potem z biedy wyratuję. Takie
mam przeczucie, że mnie coś
dobrego czeka; ino ręce
wyciągnąć i chwycić.**

**- Idź, synku, idź, błogosławię
cię na drogę - rzekł ojciec. - A
pamiętaj, bo to najważniejsze:
nie dowierzaj pierwszemu**

lepszemu i z byle kim się nie wdawaj. Jeżeli ci się trafi jakiś uczciwy towarzysz, to i owszem, wędrujcie razem, zawsze co dwóch, to nie jeden. Ale nie z pierwszym lepszym i nie z byle kim.

- Dobrze, tatusiu, nie zapomnę waszej rady.

- A jakbyś znalazł szczęście, to i nam biedakom przynieś choć okruszynę.

- Przyniosę, tatusiu, dużo, coby dla wszystkich wystarczyło.

Ucałowali się serdecznie, aż tu i matka nadeszła.

Pobłogosławiła syneczka, dużą kromkę chleba dała mu na pożegnanie i poszedł. Ku wschodowi słońca się obrócił i prosto wali, jakby wiedział, gdzie i do kogo. Idzie, idzie, a rozpamiętywa sobie słowa tatusia... że "z Byle Kim i z Pierwszym Lepszym, broń Boże".

- Łatwo to gadać, jak się ich zna; a ja przecie ani tego, ani tamtego na oczy nie widziałem. Żeby mi choć tatuś byli powiedzieli, jak który wygląda! A widno, że oba często się włóczą po drogach, kiedy ich tak łatwo nadybać. Ha, trzeba się strzec i uważać, bo to muszą być nie lada rzezimieszki.

Nie prędko, nie powoli, ot tak w sam raz, jak w bajce się należy, zaszedł Antek do lasu. Rozbójników się nie bał, bo grosza przy duszy nie miał, a sukmaneczyna też pożał się Boże... więc się położył pod drzewami i smacznie zasnął. Nazajutrz rano ptaszki go zbudziły, umył się w strumieniu, zjadł chleb od mamusi i dalej w

drogę, a zawsze ku wschodowi
słońca. Z godzinę już maszeruje,
aż tu słyszy za sobą jakieś
gwizdanie. Odwrócił się i patrzy
z ciekawością, kto tam idzie.
Człek to był dosyć dziwny:
wysoki, chudy, o gęstej
czuprynie, rozczochranej i
poplątanej jak omlócona słoma na
boisku. * Twarz miał dość
przyjemną, oczy wesole,
ruchliwe, a jakby na
sprzeciwieństwo, pogwizdywał tak
żałośnie i przejmująco, że
Antkowi aż łzy do oczu nabiegły.

Boisko - tu: klepisko w
stodole.

- Dzień dobry! - rzekł
podróżny i wykręcił się na
pięcie, aż zafurczało.

- Dzień dobry! - odpowiedział
Antek i otworzył szeroko gębę z
wielkiego zdziwienia.

- Cóżżeś się tak na mnie
wgapił, głuptasie? Podobam ci
się? Widzę, że idziesz w tę samą
stronę, wędrujemy razem.

"Aha... zaraz!" - pomyślał
Antek, pomny przestróg tatusia,
a głośno rzekł: - Nie wiem, czy
się zgodzę; nie znam cię, muszę
się zastanowić.

- Fiu, fiuuu! - gwizdnął mu
podróżny w samo ucho. - Cóż to,
mam ci się przedstawiać? Może
metrykę pokazywać? Ale szczęście
twoje, żeś mi na dobry humor
utrafił, inaczej krucho by było
z tobą.

- Dy ja cię o nic nie pytam;
idź, gdzie chcesz, ja se idę,
gdzie chcę.

- Oho, jaki hardy; musisz
koniecznie wiedzieć, kim jestem?
Dziwno mi, żeś się już dawno nie
domyślił... Mój ojciec nazywa
się Orkan, moja matka Burza, ja
jestem Wiatr. Mam starszą
siostrę Wichurę i małego
braciszka, co jeszcze gwizdać
nie umie i tylko między
gałęziami drzew się bawi a
listkami szeleści. Przemile
pacholę mój braciszek Wietrzyk;
jak dorośnie, będziemy razem

dokazywać.

- To ty jesteś...

- Aha, Wiatr, Wiatr, do usług
pana dobrodzieja! - zawołał
tenże ze śmiechem i znowu frunął
na pięcie w kółko. - Widzisz
tedy, że śmiało możesz iść ze
mną, nie jestem pierwszy lepszy.

- Ach, kiedy tak, to dzięki
Bogu... o to mi właśnie
chodziło, strasznie się bałem
Pierwszego Lepszego...
Przepraszam cię, kochany Wietrze.

- Wierz mi, chłopcze, dobra to
rzecz mieć we mnie przyjaciela;
kto ze mną idzie, ma lekką i
miłą drogę, kto przeciw mnie,
temu na złość robię, piaskiem w
oczy sypię, kapelusz z głowy
zdzieram, potrącam i wstecz go
cofam, aż nieraz bez siły przy
drodze upada.

- Dlaczegożeś taki złośliwy?

- Taką już po mamie i tacie
naturę odziedziczyłem. Ja
jeszcze jestem zanadto spokojny
w porównaniu z innymi i dlatego
nie bardzo mnie lubią. Wichura

to ich ukochana córeczka; nie
życzę ci spotkać jej nigdy,
mógłbyś tę znajomość chorobą
przyplącić. Zwłaszcza jak w
karnawale wujaszek Mróz z ciocią
Zimą bale wyprawiają, a córka
ich Śnieżyca z naszą Wichurą
roztańczą się jak szalone, to
nawet ja sam powiadam, że za
wiele tego dobrego. Ale tatuś
przeżywa mnie mazgajem.

- A twoja mama daleko mieszka?
- spytał Antek spoglądając
trwożnie ku niebu, czy chmury
nie nadciągają.

- O, mama w różnych stronach
świata ma swe pałace, ale
najchętniej przebywa w górach,
tam się jej bardzo podoba, i
właśnie wczoraj wyjechała w
Tatry. Ojciec zaś głównie lubi
podróżować po morzu. Teraz się
wybrał do Włoch i do Afryki, do
naszych krewnych.

- Cóż to za jedni?

- Stryjeczny brat nasz Sirocco
i żona jego Bora; ci mieszkają

we Włoszech, zaś dziadzio Samum
w Afryce. Teraz już całą moją
rodzinę znasz, przynajmniej z
nazwiska. Więc cię pytam raz
jeszcze, przyjmujesz mnie za
towarzysza?

- O, z całego serca! - zawołał
Antek podając obie ręce
Wiatrowi. - Rety... nie szarpże
mnie tak strasznie! Cóż to za
figle niemądre! Ani tchu złapać
nie mogę!...

- Pi, pi... jaki mi
delikacik... nie wolno

pożartować!

- Piękne mi żarty, podnosić kogo dwa łokcie od ziemi i młynka nim wykręcać; dziękuję za łaskę.

- No, no, nie dąsaj się, już się poprawię, będziemy sobie szli grzecznie razem, już ci dam spokój.

Idą, idą, jeść im się zachciało; Antek od rana ino na tym chlebie, co go wziął z domu, a jego towarzysz także niebogaty. Co tu robić... Stoi ogromna grusza przy drodze obsypana owocem; ale co było na niższych gałęziach, to już dzieci wiejskie i przechodnie oberwali, a reszta, śliczne, soczyste, a wielkie jak pięść gruszki, tak bardzo wysoko, że nie sposób dostać.

- Oj, zjadłoby się, zjadło!... - westchnął Antek. - Rękem se nożem wczoraj skaleczył, nie chwycę gałęzi, nie wyspinam się.

- Głupstwo... - roześmiał się Wiatr. - Ja skoczę na sam wierzch i natrzęsę.

Gwizdnał sobie na uciechę, odbił się jedną nogą od ziemi; Antek spogląda, gdzie się podział, a mój Wiatr już na samej górze. Jak nie zatrzepie gałęziami w prawo, w lewo, jak nie weźmie łomotać całym drzewem, tak najdojrzalsze gruszki tararach! na ziemię.

- Dosyć... dosyć! bo nie uniesiemy! - krzyczy Antek.

Skoczył tedy Wiatr z drzewa,

najedli się prędej za dużo niż
za mało, resztę wysypali do
worka, co go na szczęście Antek
z domu zabrał, i poszli dalej.

Pogoda śliczna, ciepło, niebo
niczym ten bławatek, macierzanki
i mięty rozgrzane słońcem
pachną, jak mogą, siano skoszone
po łąkach pachnie, jak może, aż
tu spoza żytniej sterty coś
wyskoczyło i ku nim biegnie:
chłopaczek nieduży, zgrabny,
buzia prześliczna, rumiana,
włoski cudne jak złoto, a
kręte... cała głowa jak runo u
baranka. Biegnie prosto na nich.

- Panowie podróżni... weźcie
mnie z sobą!

- Boję się - szepnął Antek
Wiatrowi na ucho.

- Czegóż znowu?

- Nie znam tego chłopca, a
tatuś mówili...

- Nie wiem, co tatuś mówili,
ale ja ci powiem, żeś setnie
głupi. Królewski syn chce się do
nas przyłączyć, a ten mi będzie
jakieś grymasy wyrabiał. Pokłoń
mu się nisko i podziękuj, że
chce iść z nami. To nie byle
kto, to Promień Słońca.

- O Wiatorku mój kochany...
jakżeś mnie pocieszył! Nie Byle
Kto, powiadasz?

Poskoczył ku Promieniowi
Słońca i najgrzeczniejszymi
słowy go powitał.

- A gdzie idziecie? - zapytał
złotowłosy chłopiec.

- Prosto przed siebie,
szczęścia szukać.

- W to mi graj, i ja z wami!
Przed wieczorem muszę lecieć do
tatusia, boby się gniewał i
zamknął choć na tydzień za
chmurami. Jutro rano znowu was
dogonię.

- Poczekamy na ciebie za tym kościółkiem, co go stąd widzisz
- rzekł Antek.

- Po co? - zaśmiał się Promyczek. - Nie ma takiego miejsca na ziemi, nie ma takiego kącika, gdzie bym nie trafił; choćbyście i pięć mil uszli, ino

spojrzę z góry na wszystkie strony, zaraz poskoczę do was.

- Ano dobrze; to idźmy dalej.

Idą, idą, zaszli do jakiegoś miasteczka.

- Warto by z godzinę odpocząć; ach, żeby choć kaszy łyżkę... takim głodny - rzecze Antek.

- Nic łatwiejszego - odpowiedział Promień. - Mówiła mi wczoraj pszczołka, której przyświecałem do roboty, że właśnie w tym tutaj miasteczku jest bardzo chora dziewczynka; przez długie tygodnie miała ciężką gorączkę i tak osłabła, że choć choroba niby się przesiliła, ona gaśnie i lada chwila umrze. Poskoczymy tam z pomocą, a chyba jakiego takiego pożywienia nam nie odmówią.

- Z jakiejże przyczyny umiera?
- zawołali równocześnie Wiatr i Antek.

- Z bardzo prostej; doktora nie ma w miasteczku, a rodzice nie umieją się z chorą obchodzić. Trzymają ją w małej izdebce, wiecznie zamkniętej, a jedyne okno zasłonili grubą, ciemną płachtą, żeby światło oczu Hani nie raziło. W

dusznym pokoju, bez słońca, bez
świeżego powietrza leży chore
biedactwo i musi umrzeć, jeżeli
jej nie uratujemy.

- A cóż my poradzimy? -
zapytał Antek.

- Zaraz się dowiesz; widzisz
ten ładny domeczek z zielonymi
okiennicami? Idź tam śmiało,
powiedz, że umiesz leczyć różne
choroby i chcesz małą Hanię
zobaczyć. Gdy cię do niej
zaprowadzą, przybliź się
nieznacznie do okna i odsuń
cichutko zasuwę. Resztę już nam
dwom pozostaw.

Poszedł Antek i uczynił
wszystko, co mu Promyk rozkazał.
Matka chorej Hani z płaczem
wprowadziła go do pokoju
córeczki. Dziecko leżało blade,
na wpół martwe, z zamkniętymi

oczkami. W izdebce było nie do
wytrzymania gorąco, ciemno,
duszo, jeszcze i jakimiś mocno
pachnącymi ziołami wykadzono. Aż
Antka, choć zdrowego, mdłości
chwyciły; nie dziwota, że z Hani
życie uciekało. Kazał matce
poprawić poduszki, by odwrócić
jej uwagę, a sam czym prędzej
stanął przy oknie, włożył rękę
pod czarną chustkę i poodsuwał
rygle. W tejże chwili wiatr
szarpnął oknem, roztworzył je na
oścież, flanelowa opona zleciała
na podłogę, a świeże, wonne
powietrze wpadło szerokim
strumieniem do pokoju. Żłocisty
promień słońca rozjaśnił i
rozweselił ponurą, zatęchłą

nore. Hanusia otworzyła buzię
jak rybka spragniona wody i
odetchnęła głęboko. Powieki, tak
dotąd leniwe i bezsilne,
podniosły się powoli, dziecko
spojrzało przytomnie, a nawet
wesoło.

- O, jakie śliczne
słoneczko!... - wyszeptała Hania.

- Oczka cię zabolą! - zawołała
matka. - Zaraz zamknę i zasłonię
okno; skaranie boskie z tymi
przeciągami!

- Nie, nie, zostawić, nie
zamykać! Ja chcę słońca, mamusiu!

- O Boże... już trzy tygodnie
jak ani słówka nie zagadała, a
teraz mówi tak przytomnie!

A Antek zrobił mądrą minę,
zmarszczył brwi i coś sobie
liczył na palcach; po chwili
przemówił z powagą:

- I cóż się tu dziwić, wszak
mówiłem pani, że jestem sławnym
lekarzem: tylko spojrzałem na
dziecko, zaraz mu się
polepszyło. Lekarstw nie
przepiszę żadnych, bo nie
trzeba; do zachodu słońca okno
ma być otwarte i, broń Boże, nie
zasłonięte; jutro i co dzień tak
samo. Co dwie godziny jeść dawać
chorej, za tydzień będzie zdrowa.

- O wielmożny panie... taki
młody, tak ubogo odziany, któż
by się spodziewał, że tyle

mądrości posiadacie?

- Zbójcy w lesie obdarli mnie
z ubrania i ze wszystkich
pieniędzy, a jakby na
pośmiewisko czy z litości

rzucili tę nędzną sukmanę.

- Dobrze kłamiesz, aż miło
słuchać - zagwizdał Wiatr przez
okno.

- Raczcie wejść do
światlicy, * szlachetny panie -
prosiła gospodyni - może nam
uczynicie wielką łaskę i
spożyjecie z nami obiad.

Światlica - gościnna, paradna
izba wiejska.

- Rad bym wam tę przyjemność
wyświadczyć, ale zostawiłem na
gościńcu dwóch towarzyszy,
wstydzę się jeść sam, gdy oni
głodem przymierają.

- Poślę po nich czym prędzej;
usiadźcie ino za stołem, zaraz
podam jedzenie.

Zaproszono przyjaciół pana
doktora; z ich wejściem wszyscy
poweseleli i jeszcze lepszego
apetytu nabrali. Antek podjadł
sobie, jak się patrzy, żeby choć
na dwa dni starczyło, matka Hani
wyładowała mu koszyczek
mięsiwem, serem i chlebem, a
ojciec, zamożny cieśla,
dziękował, nisko się kłaniał i
dwa bite talary panu doktorowi
do ręki wsunął.

I poszli w dalszą drogę.

- Dobry z ciebie towarzysz -
rzekł Antek głaszcząc chłopca po
złoty włosach; lecz ino się
ich tknął palcami, umknął rękę i
krzyknął:

- A to parzy dopiero! Niech
cię nie znam!

- Więcej poufałości niż
znajomości... - gwizdnał Wiatr
szydlerczo. - Takiś duży urósł i
jeszcze nie słyszałeś, że słońce
w południe najgorzej pali?

- Ot, lepiej byś mi na rękę
podmuchał zamiast morały prawić
- mruknął Antek.

- Czemu nie, dy to nic nie kosztuje.
Wydął policzki i jak nie

dmuchnie, tak biedny Antek bęc na ziemię.

- Hi hi hi hi fiu fiu fiuuuu...

- Oj, zdaje mi się, Wiaterku, że niedługa nasza zgoda, jak mi masz tak dokuczać, to sobie jedź w Tatry do matysi.

- Ehe, juści; obejdzie się matka beze mnie, już jej tam Halny lepiej usłuży.

Tak sobie wędrowali wszyscy trzej, to rozmawiając, to czasem wypoczywając, aż się słońce zaczęło chować za góry. Skoczył Promień, jakby go kto uderzył...

- Do widzenia, do widzenia...
bywajcie zdrowi... do jutra!

Ojoj, żebyśmy też na porę zaleciał... strasznie się boję!

Znikł nagle, a w tej samej chwili zmrok zaczął opadać na ziemię.

- Spójrz no, Wietrze... jakaś żebraczka idzie ku nam, nie wiesz przypadkiem, kto to taki?

- Jakżebym nie wiedział? To bardzo pocziwe stworzenie, to Rosa Wieczorna. Niezbyt mnie lubi co prawda, ale...

- A cóż ona ma przeciw tobie?

- Złości się, że jej bruźdzą i robotę psują. Co wieczór chodzi po polach i swymi kropelkami ziola i zboża zasila. Tymczasem, gdzie ino przelece, zaraz wszystko wysycha, a to ją naturalnie gniewa i zasmuca.

Gdy tak rozmawiali, Rosa

Wieczorna zbliżała się coraz ku
nim i Antek przekonał się, że
wcale to nie była brzydka
żebraczka, tylko młoda, smukła
dziewczynka w jednostajną szarą
suknię ubrana. Wyglądała biedno
i chudo, bo szare odzienie,
wilgotne, prawie mokre,
przylegało do jej drobnego
ciała. Szła ze spuszczoneymi
oczyma przez różowo kwitnącą
koniczynę, potrząsała rączkami,
a z paluszków padały krople za
kroplami i osiadały na kwiatach
i listkach.

- Dobry wieczór! - przywitał
ją Wiatr uprzejmię, wstrzymując

się z największym wysiłkiem od
podskoków i wykrętaków.

- A... to ty, wieczny
włóczęgo? - mruknęła niechętnie
Rosa. - Gdybyś miał odrobinę
upamiętania, spałbyś po
zachodzie słońca; mało się to
przez cały dzień natańczysz?

- Czyż nie widzisz, zrędo
szkaradna, że ledwie się już
wlokę ze zmęczenia? Właśnie obaj
z moim towarzyszem szukamy
noclegu, może byś nam doradziła
jaki spokojny kącik.

- Obróćcie się na prawo -
odpowiedziała już bez gniewu -
za kwadrans natraficie na bukowy
lasek, paprocie tam gęsto rosną
i mech miękki, będziecie spać
wygodnie jak w łóżku.

- A ty nie myślisz odpocząć? -
zapytał Antek.

- Oj, długa jeszcze droga
przede mną; do owsa muszę

podbiegnąć; hreczka wczoraj
prosiła, żeby o niej nie
zapomnieć, do dworskiego ogrodu
skoczę choć na moment zajrzeć,
czy ogrodnik popodlewał kwiaty,
chyba gdzie po północy się
zdrzemnę! A w którą stronę
idziecie?

- Ku wschodowi słońca - rzekł
Antek.

- No, to zobaczymy się jutro,
jeżeli nie zaśpicie ranka;
smacznego snu wam życzę.

- Nawzaaajem... - zapłakał
Wiatr przeciągle.

Skoro świt zerwali się obaj i
dalej w drogę. Dzięki
naładowanemu przez Hanusinę
matkę koszyczkowi zaspokoili
głód sownice i w dobrym humorze,
gwizdając na dwa głosy, szli,
gdzie oczy poniosą. Dogoniła ich
Rosa.

- Jak się macie? Dobry wam
nocleg narałam?

- Dziękujemy ci, wybornie się
spaliśmy.

- A teraz gdzie Pan Bóg
prowadzi i za czym?

- Szukam szczęścia - rzekł
Antek.

- A ja mu towarzyszę - dodał
Wiatr.

- Pójdę z wami kawałeczek
drogi, aż do tamtych skałek.

- A potem? - zapytał Antek.

- Tam w jaskini moje
mieszkanie. Prześpię się przez
dzień i znowu wieczorem wezmę
się do pracy.

Antek popatrzył z szacunkiem

na nową znajomą.

"Taka maleńka, nikła, a tak
uczciwie spełnia swoje obowiązki
- pomyślał - kochana Rosa..."

Lecz w chwili gdy na nią
spojrzał, zdziwienie go ogarnęło
niezmierne... szara sukienka
Rosy obsypana była od góry do
samego dołu cudnymi brylantami,
na ciemnych włosach korona
wspaniała; a wszystko lśni,
błyszczący, mieni się, iskrzy, aż
oczy bolą patrzeć...

- Czy widzisz? - szepnął
pociągając przyjaciela za poję.

- Aha, narzeczony się
zbliża... - odpowiedział Wiatr
cichutko.

A z pagórka naprzeciw biegło
ku nim złotowłose pacholę
rozpostarłszy ramiona... Rosa
podniosła główkę i czekała
patrzac weń jak w cudny obraz.
Rzucili się sobie w objęcia,
mglisty obłoczek zasłonił ich na
okamgnienie, patrzą... Promień
Słońca stoi sam przed nimi.

- Gdzie Rosa? - pyta Antek.

- Poszła spać; biedaczka
zmęczona srodze. Ale, ale,
wyobraźcie sobie, co mi wczoraj
bracia opowiadali...

- Coś ciekawego?

- Bardzo. Za siódmą górą, za
dziesiątą rzeką jest królestwo
ogromne; nie pomnę już, jak się
zowie, ale to drobnostka,
znajdziemy je w każdym razie.
Stolica tego państwa okryta jest
żałobą ciężką, albowiem olbrzym
złowrogi porwał jedyną córkę
królewską i uciekł z nią, a nikt
nie wie, w którą stronę.
Zrospaczony król rozkazał
ogłosić wszystkim swoim

poddanym, że połowę panowania
ustąpi i córkę odda za żonę
temu, co ją z niewoli podłego
wroga wyratuje.

- To by coś było prawie dla
ciebie, Antku.

- Ach, Boże... gdzież ja
biedny chudopacholek śmiem
podnieść oczy na królewskie
dziecko! A zresztą nie wiem,
gdzie szukać tego kraju ani
gdzie szukać olbrzyma, ani broni
nijakiej, tylko tych rąk
dwoje... ot, na większy żal ino
opowiedziałeś mi to zdarzenie,
Promyczku.

- Oj, ty, ty, niedołęgo...
daleko byś zaszedł o własnym
przemysle! Fiuuuu hi-hi-hi-hi...

- zaśmiał się Wiatr. - Całe
twoje szczęście, że nas masz
przy sobie.

- W czymże mi pomożecie?

- We wszystkim. Słuchaj ino:
droga daleka, sam, piechotą może
byś nawet za rok nie zaszedł;
siadaj mi na plecy i chwyć mnie
za szyję, polecimy pędem, za
godzinę będziemy na miejscu.

- Nie uniesiesz mnie...

- Co takiego? Całą noc spałem,
tom taki mocny, aże mną coś
szarpie. Siadaj, siadaj, nie
pytaj, a trzymaj się z całych
sił, bo jakbyś spadł, to ani
jedna zdrowa kosteczka w tobie
nie ostanie.

Patrzy Antek, a Wiatr ma
skrzydła straszne... po trzy
łokcie jedno...

- Jezu... dostrzeże nas kto,
pomyśli, że ptak zamorski, i
ustrzeli obu.

- Juści, ja bym się dał...
hi_hi_hi... ino się wzbiję w
góre, stanę się niewidzialnym; a
kto by mnie chciał złapać, to mu
gwizdnę w ucho: "Szukaj wiatru w
polu"! Nie rozumuj, proszę cię,
bo szkoda czasu.

- Ja z wami! - zawołał Promień
Słońca.

I polecili tak szalonym
pędem, że Antkowi dech zamierał
w piersiach, serce bić

przestawało.

- Zlituj się, przyjacielu
najdroższy! zelżyj trochę, bo
umieram...

- A widzisz, co ja to mogę!
Rachuj rzeki i góry, co byśmy za
daleko nie ulecieli, bo ja na
nic nie zważam, ino walę przed
siebie.

- Już były cztery rzeki i
siedem gór... - wyjąkał Antek.

- Ano, to niebawem staniemy na
miejscu.

Dobry kwadrans jeszcze
lecieli, aż Wiatr się zaczął
spuszczać ku ziemi. Stanęli u
bram miasta. Ani pytać nie
trzeba było, widok, jaki się ich
oczom przedstawił, objaśnił ich,
że dobrze trafili. Z baszt
powiewały czarne chorągwie,
ludzie na ulicach gwarzyli
smutnie, kobiety płakały; mury
zamku królewskiego od dachu aż
do piwnic obite były kirem.

- Czy wolno mówić z
najjaśniejszym panem? - zapytał
Wiatr strażnika u bramy
pałacowej stojącego.

- A to co za cudak
nieobyczajny? - ofuknął go
żołnierz. - Odziany jak
nieszczęście, jeszcze i z
rozczochną głową... jakże byś
śmiał przed miłościwym panem
stanać?

- Ij... tu nie o głupstwa
chodzi; mój towarzysz - rzekł
Wiatr wskazując ręką na Antka -
podejmuje się oswobodzić
księżniczkę z niewoli i
chciałbym wiedzieć, kto mu
zapewni obiecaną nagrodę.

- Idźcie do kancelarii, tam
wam wszystko wytłumaczą.

Poszli, gdzie im wskazał, ale
że korytarz był długi i ciemny,
Promień Słońca nie wszedł z
nimi, powiedział, że poczeka
przed pałacem. Wielki kanclerz
królewski przyjął podróżnych
uprzejmie, tylu już bowiem
książąt i rycerzy z niczym
wróciło albo nie wróciło wcale,
że coraz mniej trafiało się

chętnych do tej niebezpiecznej
wyprawy. Wskazówek żadnych nie
dał im na drogę, bo nikt nie
miał pojęcia, w jakiej stronie i
w którym ze swych zamków olbrzym
ukrywa królową.

- A jeżeli ja ją znajdę i
najjaśniejszemu królowi
przywiode, to co? - spytał
Antek ufny w pomoc przyjaciół i
trochę już pewniejszy siebie.

- Oto pergamin z podpisem
królewskim i z pieczęcią państwa
- rzekł kanclerz. - Stoi tu jak
najwyraźniej napisane

przrzeczenie mościwego pana, o którym zapewne słyszałeś; zresztą przeczytaj sobie.

- Dobrze więc - rzekł Antek z wesołą i butną miną, bo mu Wiatr coś bardzo pomyślnego szepnął na ucho - dobrze więc, od dziś najdalej za trzy dni przygotujcie ucztę weselną.

Pokłonił się oniemiałemu ze zdziwienia kanclerzowi, złożył pismo królewskie we czworo, schował w zanadrze, podał rękę Wiatrowi i znikli w jednej chwili.

- Cóż? - pytał Promień ciekawie.

- Wszystko dobrze.

- Komu w drogę, temu czas. Pokrzepimy siły cokolwiek i jazda!

- Wiecie, co wam powiem - rzekł Promień - ja was wyprzedzę, polecę prędko rozejrzeć się i z braćmi naradzić; nie jeden, to drugi na pewno będzie wiedział, gdzie zguby szukać. Wy zaś unieście się w górę i czekajcie na mnie. Do widzenia!

Antek i Wiatr usłuchali rozkazu i dobrze na tym wyszli, bo za niedługą chwilę Promień Słońca powrócił i o wszystkim ich objaśnił: na dalekim wschodzie, pośród sinego morza, sterczy skała stroma i martwa. Na jej szczycie, czarami zbudowana, wznosi się wieża łez. Tam, jako w niezdobytej fortecy,

więzi dziki olbrzym królownę

Kalinę. Nikt jeszcze nie zdołał dostać się nie tylko do wieży, ale nawet do skały; najodważniejsi, co w mocnych łodziach podpłynęli najbliżej, wpadli w szpony olbrzyma, a ten ich bez litości podusił i do morza powrzucał.

- Cóż tedy mamy zrobić, by go zwyciężyć? - zapytał Antek, przejęty męstwem bez granic.

- Jesteśmy silniejsi od naszego wroga, nie zdoła on nam zaszkodzić - rzekł Promień dobitnie. - Tylko zapomniałem was uprzedzić, że dokoła więzienia królowny rośnie gęstwina cierni. Mowy o tym nie ma, byśmy się przez nie przedarli, a tak znają swoją służbę, że każdego, co się niebacznie do nich przybliży, ogarniają swymi gałęziami i zabijają kolcami.

- Zatem wszystko stracone! - zawołał Antek nieomal z płaczem.

- A któż nam każe do nich się zbliżyć? - zachichotał Wiatr.

- Podzielimy się tedy pracą - rzekł Promień. - Lecimy według umowy do wieży łez. Ja wskoczę przez okno pocieszyć królowną i dodać jej otuchy; ty, Wietrze, pozostawiwszy Antka u stóp skały na chwilę, załatwisz się z olbrzymem. Nie tłumaczę ci, co masz robić, wiem, że się sprawisz dzielnie. Potem uniesiesz naszego przyjaciela omijając cierniste przeszkody do komnaty królowny. A co dalej, to zobaczymy.

Jak rzekli, tak uczynili. Dobrze już było z południa, gdy dojrzeli wyniosłą skałę wśród sinego morza i ponurą z czarnego kamienia wieżę. Promień

**Słońca, dumny i zwycięski, nie
pytał o pozwolenie i z wesołym
okrzykiem wskoczył przez okno do
ponurej izby, gdzie siedziała
spłakana i wynędzniała
księżniczka Kalina.**

- Ciesz się, królewno -

**zawołał - przynoszę ci nadzieję!
Za chwilę będziesz wolna.**

**Zerwała się z ławy i
wyciągnęła ku niemu ręce.**

**- Nie wiem, jak się to stać
może... nie rozumiem, kto cię tu
wpuścił, ale ci wierzę i
dziękuję. Promieniu Słońca, bądź
błogosławiony! Nie opuszczaj
mnie... nie odchodź... bo znowu
w rozpacz popadnę.**

**- Zostanę przy tobie -
odpowiedział Promień dotykając
główki królewny.**

**Co robił tymczasem Wiatr i
jego przyjaciel? Dolecieli
niewidzialni do stóp skały;
Wiatr posadził Antka w głębokim
żałomie, gdzie wygodnie i
bezpiecznie mógł się ukryć przed
czujnym okiem olbrzyma, a sam
śmignął jednym susem na górę.**

**Choć taki mocny i zuchwały z
natury, jednak aż zdrętwiał na
widok straszego wroga.**

**Człeczysko też to było
przeogromne i przeohydne: głowę
i całe ciało dziesięć razy miał
większe niż zwykli ludzie...**

**ramiona jak pnie drzew, nogi jak
filary. Siedział sobie na ławie
o dziesięć kroków od ciernistego
wału i poglądał na morze,
pilnując, czy jaka łódź nie**

nadpływa. Czuł zbliżający się powiew, ale nie domyślił się niebezpieczeństwa. Tymczasem nieprzyjaciel skradał się chytrze. Pochylił się ku ziemi, wziął w obie garście piasku ze żwirem i z rozmachem wielkim sypnął tym w oczy olbrzymowi. Zerwał się potwór rozwścieczony, huknął piekielnym rykiem i zasypane piaskiem oczy jął rękoma przecierać. Tego właśnie Wiatr czekał skwapliwie. Porwał wpół obezwładnionego i co sił miał w sobie, rzucił nim ku ciernistej gęstwinie. Gałęzie najeżone kolcami złapały potwora i w mgnieniu oka na śmierć go zadźgały. Tedy pobiegł Wiatr po Antka i zaniósł go ostrożnie ku szczytowi skały. Otwarte okno

zalane światłem słonecznym było im wskazówką, gdzie się mają kierować. Nie szukając nawet innej drogi weszli za śladem przyjaciela swego Promienia do więziennej celi. Królewna Kalina powitała zbawców z największą uciechą. Wiatr rozłożył szerokie skrzydła, Antek i księżniczka usiedli wygodnie na jego grzbiecie, Promień frunął przodem na zachód, a oni czym prędzej za nim. Ponad sinym niezgłębionym morzem lecieli tak ze dwie godziny. Wreszcie ukazała się ziemia. Wiatr przysiadł na wybrzeżu i odpoczywał.

- Żegnajcie mi, drodzy przyjaciele! - rzekł złotowłosy.

- Ojciec mię woła... zobaczymy się jutro.

- Przyjdź na nasze wesele! - zawołał Antek.

- A jakże, nie chybię! Do widzenia!

Królewna Kalina ani jednym słówkiem nie pożegnała swego dobroczyńcy. Przyjaciele obejrzeli się, nieco zgorszeni taką niewdzięcznością, i z niewymownym przerażeniem spostrzegli, że leży zemdlona pod drzewem.

- Ach, co robić... co robić? - zawołał Antek chwytając się za głowę.

- Co robić... co robić? - płakał Wiatr załamując ręce.

Wtem!

- Rosa idzie! - zawołali obaj z radością i zaczęli dawać znaki szarej dziewczynce, by się do nich zbliżyła.

- Jestem... - rzekła z prostotą, stając przed nimi. - Kto mnie potrzebuje?

- Patrz, królewna zemdlą! - rzekł Antek. - Poradź nam, dopomóż! Poratuj!

- Uczynię, co tylko w mej mocy.

Uklękła na ziemi, chłodną rękę położyła na czole księżniczki, pochyliła się i jak siostrzyczka litościwa ucałowała ją w oczka i

w buzię. Zbudziła się królewna z omdlenia, pokrzepiona i orzeźwiona. Antek miał jeszcze w worze gruszki wczorajsze, jedli wszyscy ze smakiem, po czym puścili się w dalszą drogę.

Kalina zanocewała w mieszkaniu Rosy Wieczornej, Wiatr z Antkiem w tym samym co wczoraj lasku bukowym. Rano zeszli się wszyscy przed otworem jaskini, pożegnali serdecznie pocziwą Rosę i na skrzydłach Wiatru pomknęli za siedem rzek, za dziesięć gór, do ojca królowy Kaliny.

Co tam była za radość, gdy się na zamku w oznaczonej godzinie zjawili, tego ani opowiedzieć, ani opisać, ani odmalować, ani wygrać, ani wyśpiewać nikt na świecie nie zdoła.

Król uczynił Antka następcą tronu, Kalina kazała czym prędzej szyć ślubną sukienkę i wic wianek mirtowy. Zawołano muzykantów najślawniejszych, Antek posłał po rodziców i rodzeństwo, przystroił ich wszystkich godnie, żeby się królewskich przepychów nie wstydzi, darował im pałac piękny i dukatów kilka skrzyń, coby im na niczym nie zbywało.

Gdy już wszystko było gotowe, sprawiono sute wesele. Wiatr był z wielkimi honorami przyjęty przez państwa młodych jako ich pierwszy i najlepszy przyjaciel, ale trochę zanadto sobie pozwalał: jednymi drzwiami wpadał, drugimi wylatywał, trzaskał oknami, chował się do kominów i jęczał jak dusza potępiona. W końcu z nim sobie poradzono: spoił go podczaszy stuletnim węgrzynem. Jak też usnął, tak trzy dni dobudzić się go nie było można.

Promień Słońca przyleciał wczas raniutko ze wszystkimi braćmi i tańczyli do upadłego, a z taką zawziętością, że całkiem zapomnieli o godzinie i nie

**wrócili na czas do tatusia.
Słońce się strasznie pogniewało,**

**zamknęło synków do kozy na dwa
tygodnie. Chmurno też było i
szaro, i nudno, aż każdy
wzdychał, że wytrzymać trudno.**

**Rosa, biedaczka, nie wchodziła
do komnat, bo nie miała weselnej
sukienki. Zaglądała tylko do
okien i przysiadła na szybach,
żeby się przypatrzeć tancerzom.**

**I ja tam byłam także, jadłam
prysmaki - a jakże: figi z
mlekiem, marcepany, ananasy i
banany, torty, sorbety, lody, w
cukrze smażone jagody.**

**Co raz salę przetańczyłam, to
kielich wina wypiałam. A że
płasałam noc całą, więc się w
głowie zawracało.**

Król węzów

**Kiedy było, pytacie? Cóż to,
bajek nie znacie? Może temu lat
sto, może temu lat tysiąc,
trudno by na to przysiąc.
Najstarsi ludzie z siola nie
pamiętają zgoła, w jakiej to
porze było i kiedy się zdarzyło.
Więc mi nie przerywajcie, ino
nastawcie uszu i uważnie
słuchajcie:**

**W małej, cichej wioszczynie w
górach, w tej stronie zda się,
skąd Wisła wypływa, żyła sobie
uboga wdowa z dziesięcioletnią
córeczką Małgosią. Takie były
bardzo biedne, że nie co dzień
jadły do syta. O mięsie to ino
słyszały, że smaczne, jak nie**

wiem co; mleko... no, mleko piły
czasami, na ten przykład jak się
Kasprowa wynajęła do sadzenia
grochu albo do plewienia, albo
do żniwa, to i mleka pod wieczór
przyniosła do chałupy w sporym
garnuszku, i sera kawał, a już
jak poszła na robotę do Wontorów
- bogatych, to nawet szperki
skrawek nieraz przyniosła. W
insze znów dni - różnie bywało:
chleb suchy, pęczak jałowy,
pokrzywa drobno usiekana i
zagotowana na wodzie z solą, ot
całe jedzenie.

Ale nie narzekały nigdy:

matusia kochała córeczkę nad
życie, córeczka matusię tak samo
i choć bieda nieraz do żywego
dogryzła, dobrze im było
zarazem. W zimie darły pierze
znajomym gospodyniom, w lecie
matka szła do roboty w pole, a
Małgosia pasła gęsi Magulów, co
to hań, aże za młynem chałupę
mieli i taki wielgaśny szmat
pola, że ani sami nie wiedzieli,
ile tam tego będzie.

Trzydzieści gęsi wypędzała
dziewuszka co dzień skoro świt
na pastwisko, sama siadała pod
lasem na pagóreczku i albo
zapaskę latała, albo warkocze ze
słomy plotła do obtykania drzwi i
okien na zimę, zawsze sobie
jakąś robotę znalazła. Gęsi tak
ją znały i lubiły, że ani pręta
nie trzeba było, żeby je w
porządku utrzymać; gdy Małgosia
spozrzegła, że się z kupki
rozłażą albo broń Boże na

**jęczmienne pole wędrują za
gąsiorem, to ino cienkim
głosikiem zapiszczała: "O la la,
o la la...", zaraz się
zawracały i bliźutko przy niej
skubały trawkę. Wszystko by było
dobrze, gdyby nie Hanusia
Znachorzanka i Basia Fronckówna.
Co się od nich Małgosia musiała
co dzień nasłuchać, nacierpieć,
to strach. Wieczne śmiechy i
drwinki, a przygryzki... "nie
masz to już gorszej chuściny,
ino tę szmatę spraną, co ni
biała, ni sina, ni zielona?"
"Porachuj se łaty na kiece, czy
do pary, czy nie do pary". To
znów: "Kiedyżeś ostatni raz
jadła, głodomorze? Wczoraj czy
tamtego tygodnia?" I tak bez
końca. A Małgosia ani się
odezwie, ino swoje robi, a lzy
gorzkie połyka. Ale jak się
której co przygodziło, czy
prószyna do oka wpadła, czy
cierń w nogę zalazł, czy gęsi
poginęły, oho, to się żadna nie
zająknęła: "Mojaś ty kochana,
pomóż, poratuj". I Małgosia
niepamiętna złego pomagała i**

**ratowała chętnie. Dobra
dziewczyna była.**

**Jednego ranka, jeszcze żywego
stworzenia w polu nie uwiłdzał,
już Małgosia przygnała swoje
białe stadko na pastwisko.
Schowała się za grubym dębem na
skraju lasu rosnącym, bo słoneczko,
chociaż wczesne, wcale
niezgorzej przypiekało, i
gorseciK sobie obszywa czerwoną**

tasiemeczką, co jej Magulina z
jarmarku przynieśli. Cichutko
igłę wyciąga i szepce coś sama
do siebie, rada, że może
siedzieć spokojnie, że jej nikt
nie dokucza, myśleć nie
przeszkadza. A to myślenie takie
czasami śliczne... Oj, Boże,
Boże... czy też to wszystko
prawda, co stara Wącholka
rozprawiają wieczorami? O tych
wilkołakach, o czarownikach, o
wodzie żywiącej, o zaklętych
królewnach, o pieczarach ze
skarbami? Wącholka gadają, że
to ino bajki na zabawkę przy
kądzieli i przy darciu pierza
umyślane. "Aha... a nuż... ach,
gdyby się tak mogło przytrafić,
żebym gdzie znalazła jakie duże
pieniądze. Zaraz bym kupiła
matusi krowę, świnkę, nie! trzy
świnki. I chałupę bym kazała
wystawić o dwóch izbach, a
jakże. I komórka by musiała być,
i chlewik, i stajnia, i stodoła,
no, bo i pola trza kupić, żyta,
owsa nasiać... ee... najlepiej
matusi do rąk cały worek oddam,
niech se robią, co ino sami
zechcą. O rety... cóż ja
gadam... biały dzień, a mnie się
cuda przyśniwają..."

Gdy tak siedzi w leśnej ciszy,
a bajek wieniec uroczy przesuwają
się jej przez oczy, nagle
szelest jakiś słyszy; wychyla
głowę ciekawie i przez gałęzie
spoziera... i widzi... strachem
drętwieje... serce jej w
piersiach zamiera, czy to we
śnie... czy na jawie...
srebrzysty wąż pełza w trawie...
na grzbiecie pręgi, niby

atłasowe wstęgi; na głowie złota korona, perlami gęsto sadzona; pośrodku kamień przeźroczy, migotliwy a iskrzący, raz niebieski, raz czerwony, to znów żółty, to zielony, niby zimny, a palący. A tak czegoś ciągnie oczy, że choć w sercu biją dzwony, że choć w uszach szumią lasy, że choć dusza mdleje trwożna, od kamienia tego kraszy wzroku odwrócić nie można. Od stawu pełza wężysko; głowę raz po raz podnosi, rozgląda się w prawo, w lewo, ale szczęściem dla Małgosi, chociaż sunie tuż, tuż blisko, zasłoniło mu ją drzewo i nie zobaczył dziewczyny. Wydał z siebie syk wężowy, podszył się pod krzak leszczyny, wypełznął na okamgnienie, gwizdnął przeciągle raz jeszcze... i zniknął jak przywidzenie.

Aż tu nadbiegają Hanka z Basią.

- Jak się masz, głodomorze? -
zawołała jedna.

- Cóż tam matusia wczoraj gotowali, pokrzywę czy lebiodę? -
wrzasnęła druga.

- Oho, widno zachorzała z tłuścigo jądła; patrzaj, jaka błada na gębie.

- Gdybyście to widziały, co ja -
szepnęła Małgosia - toby i was zemgliło.

- Ciekawość co? Czarownika? Smoka?

- A może samego... co to lepiej nie wymawiać?

- Widziałam węża.

- Ojej... to ci osobliwość dopiero! Dy co dzień na skałkach wygrzewa się ich ze sto do

słońca. Wielka rzecz wąż!

- Ale trzy razy tak długi i w koronie.

- Co?

- Jak?

- Nie może być!

- Ot, pleciesz bajki!

- Prawdę mówię. Wszystkimi farbami się mienił, a korona złota na głowie i kamień w niej niczym ogień jarzący. Język

dwoisty z paszczy wysunął i tak nim śmigał prędko, myk, myk, myk... aż zimno bez plecy leciało na ten widok.

- A ty co?

- Myślałam, że umrę; ale uciekać nie mogłam, stałam się jako to drzewo przy mnie rosnące.

Dziewczęta zapomniały o złościwości i drwinkach, ciekawość przemogła, usiadły tuż przy Małgosi.

- Słuchaj no, jeżeliś naprawdę widziała, nie śniło ci się, to ani wątpienia był król węzów - rzekła splatając ręce Basia.

- Od lasu szedł? - spytała Hania.

- Nie, od Majcherkowej łąki.

- Aha, wracał od stawu; do kąpieli łąziła potwora.

- Albo się to węże kąpią.

- Zwyczajne nie, ale król...

- Dy utonie.

- Ehe, nigdy w świecie. W rzece by utonął, w jeziorze, a w stawie nie. Wężowy król co dzień się kąpie o wschodzie słońca.

- O rety, dziewczuchy!

- Co się stało?

- Nie pamiętacie to, jak stara Wącholka rozprawiali?

- Aha, aha, prawda. Że kto królowi koronę ukradnie, może potem, jakiej ino zechce, zapłaty od niego żądać.

- Aleś jedno zabaczyła, że on strasznie czujny a mściwy; podejść go trudno, a choćby się i udało, zaraz wszystkie węże zwołuje, każe gonić złodzieja, no, a jak go dopadną...

- Jak go dopadną, to się wie, że śmierć. Ale kto zdoła pierwszą rzeczkę przepłynąć, choćby strumyczek przeskoczyć, to się już nijakich węzów bać nie musi: przez płynącą wodę nie przejdą.

- No, dobrze, ino powiedz, jak zrobić? Z głowy mu korony nie zedrzesz, boby cię zabił na miejscu - rzekła Hanka.

- Jakoś by trzeba umyślić - odparła Basia.

- Jest sposób... - zaczęła Małgosia i zająknęła się.

- Jaki? Jaki?

- Lękam się...

- Czego? Mów, mów; co to szkodzi choć pogadać.

- Matusia raz powiadali, że król węzowy okrutnie się boi o tę swoją koronę: gdyby mu przepadła, a do trzech dni jej nie znalazł, wszystkie węże jego poddane zbiegną się na umówione miejsce, jego tam przywloką i na śmierć zagryzą. Więc jej pilnuje jak oka w głowie; w nocy dziewięć starych węzów dokoła

niej leży, a co się jeden
zdrzemnie, to go drugi w ogon
kąsa i budzi. Ino ta jedna
chwila najpomyślniejsza, gdy
król idzie do kąpieli. Wtedy
szuka spokojnego i bezpiecznego
miejsca; na ten przykład chowa
ją pod liściem łopuchowym albo
zawija do szmaty, gdyby jaką po
drodze uwiidział. Z kąpieli
wraca, na powrót ją na głowę
wsadza i do swojej jaskini
ucieka.

- Więc kiedy teraz wiemy, jaką
drogą do wody łązi, przyczajmy
się jutro rano i szmaty jakie
rozłożmy, a nuż się uda. Na
której fartuszku złoży koronę,
ta będzie szczęśliwa i bogata,
byle na czas Wisłę przepłynęła.

- Niewielka sztuka: wskroś
łąki lecieć ku cmentarzowi, tam
rzeka najpłytsza i najwęższa,
trzy dobre kroki, wody ani po
kolana, skakać po kamieniach, i
już.

- Ano, to trza spróbować -
powiada Hania. - Przyjdźcie tu
jutro przede dniem, a o
fartuszkach pamiętajcie.

Nazajutrz, ledwie się niebo
zaczęło czerwienić na wschodzie,
już wszystkie trzy dziewczynki
przybiegły na pastwisko. Hanka i
Basia, jak to zawsze
poniewierały Małgosią, tak i
dziś, niepomne, że gdyby nie
ona, nie wiedziałyby o niczym,
wyszturchały sierotę i zepchnęły

ją z pagórka. Same zaś pokładły
swoje bieluśkie, czerwono

haftowane zapaski tuż przy
leszczynowym krzaku, by je król
węzów natychmiast zobaczył, jak
tylko z lasu wypełźnie. Biedna
Małgosia zapłakała gorzko, ale
nie skarżąc się na krzywdę
ustąpiła pokornie, zeszła
poniżej i na uboczu, pod
wiklinami nadbrzeżnymi fartuszek
rozesłała.

- Oj, ty, ty, niezdaro! -
drwiła z niej Basia. - Kiedy się
ty rozumu nauczysz? Jeśli już na
całym majątku ładnej zapaski nie
miałaś, toś mogła choć u Magulów
albo u Wontorów pożyczyć. Dy się
zastanów, taki gad przemądry
woli biały, czysty fartuszek
niżli zgrzebną szmatę, jeszcze i
łataną.

- Ee... co ci ta o nią -
mruknęła Hanka pogardliwie. -
Ot, lepiej patrzmy pilnie, co z
nami będzie. Nasze zapaski tuż
przy jamie, ciekawość, której z
nas korona się dostanie?

- A teraz umykać, bo lada
chwila wąż wylezie i krucho z
nami.

Wszystkie trzy dziewczynki
schowały się za gruby dąb,
przitulone jedna do drugiej, nie
śmiejąc palcem ruszyć. Mogły być
pewne, że ich król węzów nie
postrzeże.

I znowu cicho szeleszczą
wrzosa... znów coś migoce, coś
ogniem płonie, to w króla węzów
złotej koronie diament
przezysty jak kropla rosy.
Pełźnie spod gęstych krzaków
paproci wielki monarcha węzowej
rzeszy, by zanim słońce niebo
ozłoci, mógł się wypluskać w
zimnej kąpieli; więc sunie
szybko, do stawu śpieszy. Wtem
się zatrzymał, bo tuż na trawie

gładko zasłane płótno się bieli.
Wąż w pierwszej chwili patrzy
ciekawie, potem badawczo
przechyla głowę i podejrzliwym
obrzuca wzrokiem śnieżne fartuchy
z haftem czerwonym. Czuje

zasadzkę, więc pełza bokiem i
susy daje siedmicalowe ku
wiklinowym krzakom zielonym. Na
zgrzebnej szmacie koronę składa
i w chłodnej fali nurza się
cały. Woda zatacza wielkie
półkole, krople zapaskę szarą
zbryzgały... A wtem z ukrycia
Małgosia blada chwyta koronę i
mknie jak strzała ku
cmentarzowi, prosto przez pole.
Ścieżka nad Wisłą stromo się
kłoni, po stromej ścieżce
dziewczę ucieka; siedem tysięcy
węzów ją goni... Jeszcze sto
kroków, a potem rzeka...
Skoczyła w nurty w szalonym
biegu, po drugiej stronie pada
zemdłona, a węże syczą na tamtym
brzegu. Małgosia mocno rękę
zaciska, coś niby ogień przez
palcę błyska, to króla węzów
złota korona.

Z godzinę tak leżała prawie
martwa nad brzegiem rzeki;
wreszcie się ocuciła. Patrzy,
słońce wysoko już na niebie.

- Rety... co się stało? Po co
ja tu przyszłam? A moje gęsi?
Będą też to Magulina swarzyć,
będą. Aha... dy ja przed węzami
uciekałam... - Spojrzała poza
siebie ze strachem: Wisielka
mruczy po kamieniach, a jak
okiem sięgnąć, trawa, rumianki,

osty, wyka, powoje; Błazej rybak
siedzi nad wodą i sieć przerwana
naprawia... węzów ani śladu.
Poszły sobie z niczym gady
przemierze... Dzięki Ci,
miłosierny Panie Jezu! Teraz ja
w te pędy do matysi, pokazać
koronę. Oj... nie mogę...
straszenie się w głowie zawraca i
nogi jak szmaciane; pewnikiem z
tego uciekania. Trzeba siedzieć
spokojnie, aż się skrzepię.

Wreszcie podniosła się
Małgosia z ziemi i powolutku,
jakby po chorobie, powlokła się
do chałupy. Zdziwiła się
Kasprowa, bo nigdy dziecko o tej
porze do domu nie wracało;
zdziwiła i zaniepokoiła widząc
córeczkę bladą i na twarzy

zmienioną, ale nim zdążyła
zapytać, czy ją co boli,
Małgosia wyjęła z zanadrza swoją
zdobycz i położyła ją milcząc na
stole.

- A to co za bawidełko? -
spytała matusia.

- Obejrzyjcie ino dobrze, to
wam coś powiem.

- Śliczności, cudności,
królewskiego dziecka zabawka! -
zawołała Kasprowa przypatrując
się z bliska klejnotowi. -
Zmiłuj się, Małgoś, gdzieżeś ty
to znalazła?

- Oj, nie znalazłam, nie, inom
królowi porwała; omal mnie jego
sługi nie złapały i nie zabiły.

- Cóż ty bajesz, córuś? Dy tu
we wsi nijakiego króla nie
uświadczy.

Więc Małgosia opowiedziała szczegółowo wszystko, co się wydarzyło wczoraj i dziś rano, opowiedziała o niesprawiedliwym postępku Hanki i Basi i jak za swoje złe serce zostały ukarane.

- Oj, córuś, córuś... -

zawołała Kasprowa radosnym głosem - kiedy się jedno sprawdziło i korona w twoje ręce się dostała, to się spełni i drugie: król węzowy przyjdzie do nas z wykupem. Czy ino nas nie pokąsa i nie zatruje swoim jadem? Strach pomyśleć.

- Nie, matusiu, nic nam nie zrobi. Wącholka gadali, co mu nie wolno złością ani gwałtem, ino po dobroci koronę odebrać. Schowajcież ją na sam spód do skrzyni, zamknijcie na kłódkę, klucz włóżcie na półkę za obraz i nie wychodźcie krokiem z domu. Ja przelecę do Maguliny dowiedzieć się, czy się moim gąskom co złego nie przygodziło, i jednym tchem do was wracam.

Wybiegła Małgosia z chaty i popędziła do młyna. Ale jakoś wszystko dzisiaj szczęśliwie się dla niej składało; Magulina wprawdzie poburczała ją trochę za niedbalstwo, ale obeszło się bez wielkiego kłopotu, pocziwe

gąski bowiem w porządku i dobrym zdrowiu wróciły same do domu.

Przy płocie z przelazu czyhały na nią przejęte zazdrością Basia i Hanka.

- Rabuśnica... - syknęła przez zęby jedna.

- Będiesz ty miała od węża,
będziesz - zaśmiała się
zjadliwie druga. - Oczy ci
żądłem wydzga.

A Małgosię ogień od stóp do
głów przeleciał i strach ścisnął
jej serduszko. "One takie
niedobre - pomyślała - gotowe
ludzi podmówić i wydrzeć matusi
koronę; biednej, złotej
matusi... Aniele Strózu mój...
ja wiem, że kłamać to grzech
wielki... ale ja tak matusię
kocham. Aniele Strózu mój...
zasłoń sobie uszka".

I zwracając się do Hanki
odparła smutnie:

- Nie macie mnie za co kąsać,
bom i tak biedniejsza od was...
miałam koronę w ręku, a teraz
nie mam nic.

- Albo to prawda? Gdzieżeś
podziała?

- Biegłam co ino sił,
myślałam, że nogi połamię; ale
wężę gnały sto razy chyżej. Już
mnie jeden za kieckę chycił;
rzuciłam koronę poza siebie i
upadłam na ziemię jak martwa.
Dopiero mi dały spokój.

- Ot, głupia! Takie skarby
zmarnować. Trza było kopnąć węża
i zmykać.

- Ale ich była chmara...
tysiące się wiły, skakały, na
ogonach stawały... łąka się ino
roila od nich... a lyskały się
do słońca jak sierpy albo kosy.
Od samego widoku niejeden by
pomarł.

- Dobrze ci tak, dobrze ci
tak; czemuś nam nie oddała?

- Juści, miałam się wracać do
was tyle kędy? Toby mnie już
chyba zjadły calušką. Bywajcie
zdrowe, matusia tam czeka na
mnie.

Zeszło południe, nic; słońce

**schowało się za góry, nic;
ciemna noc zapadła, nic.**

**- Ano, idziemy spać - rzekła
matka. - Może węże zgubiły twój
ślad i nie wiedzą, gdzie cię
szukać. Musisz jutro usiąść pod
starym dębem, pewno sam król
wężów albo ktoś wysłany od niego
przyjdzie.**

**Zmówiły pacierz, zgasiły
lucywo i pokładły się spać.**

**Księżyc w pełni spoza góry
wychylił się do połowy i do
chatki biednej wdowy biały
promień w okno rzucił. Na północ
zapiały kury, w ogrodzie słowik
zanucił, pies zaszczekał u
sąsiada, a za płotem tak coś
wzdycha... powiadają, że noc
cicha, a ona gada i gada...**

**Światło księżyca sięga aż do
ściany, gdzie święte wiszą nad
łóżkiem obrazy: Jan, Piotr,
Antoni ślicznie malowany, w
górze Najświętsza Panienska bez
Zmazy. Coraz to jaśniej robi się
w izdebce, Małgosia oczy
złęknione otwiera. Czy drzwi
skrzypnęły? Patrzy w tamtą
stronę. Co to za szmery? Zda
się, że ktoś szepcze... Więc
pełna trwogi z łóżka się porywa,
tchu jej brakuje, drży jak
osiczyna. Wtem, nie wiadomo
skąd, głos się odzywa:**

**- Czy tutaj mieszka niedobra
dziewczyna, co króla wężów tak
srodze skrzywdziła? Jeśli
natychmiast odda mi koronę,
przebaczę zbrodnię i hojnie**

obdarzę; gdy nie usłucha, ogniem
na nią zionę, śmiercią i matkę,
i córkę ukarzę.

- Ach, jasny królu... -

odrzecze sierota - cudną koronę
oddam ci czym prędzej. Chociaż
ukradkiem wzięłam ją dziś rano,
to nie w złej myśli - lecz mi
powiedziano, że w twojej mocy
ulżyć naszej nędzy. Że za ten
klejnot złożysz okup drogi i z
dobrą wolą, czy bez dobrej woli,
osłodziś życie matusi niebogi i
kres położysz biedzie i niedoli.

Otwiera skrzynię, koronę

wyjmuje, w pośrodku izby kładzie
ją na ziemi, a chociaż węża
przed sobą nie widzi, tak się go
boi i tak się nim brzydzi, że
twarz zasłania rękoma drżącymi i
czeka... zali król się ulituje.

A głos tak rzecze:

- Jutro weź łopatę i zanim
słońce ponad las się wzbije, idź
do ogrodu i wykop liliję. Taką
król węzów daje ci zapłatę.

Straszne się w izbie rozległo
syczenie, tajemna siła drzwi
otwarła z trzaskiem, coś
zapłonęło różnobarwnym blaskiem,
aż pociemniały księżyc
promienie. Małgosi serce prawie
już nie bije... lodu i ognia
czuje w sobie dreszcze, a niby
echo coś powtarza jeszcze: "Idź
do ogrodu i wykop liliję"...

Gdy się drzwi same zamknęły,
tak jak się były same otwarły,
gdy cisza zaległa izdebkę,
biedna dziewczyna uspokoiła się
powoli i oglądając się

kilkakrotnie, czy jej król węzów
nie goni, wróciła wreszcie do
łóżka, do matysi, która dziwnie
twardym snem zmorzona ani na
jedną chwilę się nie ocknęła.

Położyła się Małgosia, ale nie
mogła usnąć... wciąż ino
powtarzała sobie słowa usłyszane
i na płacz się jej zbierało, bo
w całym ogródku matusinym, prócz
grządek z piertuszką, marchwią i
cebulą, nie było kwiatka
najmniejszego, a nie dopiero
liliji...

- Tak mnie ten żmij bezecny
oszukał... - szeptała biedaczka
łzy ocierając - ot, zapłacił mi
pięknie za koronę. Ale i tak
trzeba spróbować; zbudzę
matusię, kto wie...

O szarym brzasku, ani ptaszki
jeszcze nie zaczęły świergotać,
już Kasprowa z Małgosią wybrały
się do ogrodu szukać, co by to
za ziele było, albo co za
kwiatek, który by wąz liliją
nazywał. Spatrzyły każdą
grządkę, raz koło razu, obie
szły dokoła płotu, nigdzie ani

śladu liliji.

- Darmośmy ino wstawały tak
rano - rzekła matka. - Widzisz,
Małgoś, słońce wschodzi,
pierwsze promyki na świat rzuca;
skłamał król węzowy.

- O rety... matuś... patrzcie
ino. Gdzie pierwszy promień
rzuca słońko... przy samym
oknie... pod jabłonką...

- Cóż to? Na jawie śniesz,
dziewczyno?

- Patrzcie... jak gdyby
deszczem zmiękła, ziemia w trzy
strony się rozpekła, a spod niej
w górę rośnie, strzela, zielone
listki, ot, rozchyla...

patrzcie... jak cudny kwiat
rozwija... O matuś, matuś...
jest lilija. Bierzcie łopate, ja
niemocna; wzięła mi siłę trwoga
nocna, a teraz od radości
mdleję, już sama nie wiem, co
się dzieje...

Kasprowa chwyta za łopate,
lecz tylko że ją w ziemię wbiła,
na coś twardego natrafiła; usuwa
grudę i korzenie, strach ją
ogarnia i zdumienie: kocioł
ogromny, rdzą zjedzony, po
brzezi złotem napelniony.

- Małgoś, Małgoś... dy to
skarb niezmierny. Będzie tych
dukatów chyba z korzec albo i
więcej. Ot, trzeba powiedzieć,
dobre wężysko, mogło się zemścić
za psotę, a obdarowało nas tak
sowicie. Niechajże sobie w
zdrowiu sto lat króluje.

- Cóż my z tym garnczyskiem
poczniemy? Straszny ciężar...
któż to udźwignie?

- Ee... nie trap się, córuś,
żeby ino tyle kłopotu, co
pieniądze za ciężkie - zaśmiała
się Kasprowa. - Usypimy po
trochu i powoluśku przeniesiemy
do chałupy. Ino trza się uwijać,
zanim się ludzie pobudzą, boby
nas kto podpatrzył.

- Cóż nam zrobią? Dy w naszym
ogrodzie, to nasze.

- Już ja ta wolę, coby nikt
nie wiedział.

Małgosia pobiegła po dwa

koszyki do izby; ubierały z kotła garściami dukaty i nosiły z godzinę do domu, aż im nudno było. Wsypały do worków i zasunęły pod łóżko. Ale i tak nie miały spokoju, bały się tknąć swych skarbów, bały się pokazać komukolwiek, żeby je o kradzież nie posądzono i pieniędzy nie odebrano. Po kilku dniach zdobyła się Kasprowa na odwagę, wzięła z worka garść dukatów, zaniósła do Wontorów i przyznała się, że bez mała sto takich pieniążków znalazła w ogrodzie, grządki przekopując. Stary Wontor sprzedał jej wózeczek i dwa konie; wyładowały obie z Małgosią na tę furkę, co miały z gratów i przyodziewy, a jakieś trzy czy cztery worki ciężkie bardzo pokładły na samym spodzie i wybrały się... do brata Kasprowej, do czwartej wsi. Tak się opowiedziały znajomym; ale nie do czwartej ani do dziesiątej wsi pojechały, ino daleko, daleko uciekły. Pod Krakowem wielkie grunta matusia kupili, dom pobudowali jak się patrzy, nasprawiali wszystkiego, co ino dusza zapragnęła, koni, krów, świnek, owiec, gęsi, kur, kaczek, i tak sobie gospodarowały w dobrym zdrowiu i powodzeniu długie lata.

O skarbie nie mówiły nikomu, by tego nie wykorzystali źli i zazdrośni ludzie, ale nie tylko dla siebie go miały. Żaden biedny, głodny, potrzebujący z ich domu bez pomocy i poratunku nie odszedł.

Małgosia urosła na podziw; była śliczna i poczciwa, więc

też ją wszyscy lubili, a
najbardziej Wojtek Czarnuszka z
Bronowic.

Matusia sprawili huczne
wesele, gości zeszła się chmara,
jako ich nigdy nie brak, gdzie
ino dużo a tłusto jeść dają; aże
przed domem tańczyć musieli, bo
w izbach ciasno było.

I ja tam byłam, miód, wino

piłam, co się w gębie nie
mieściło, to po brodzie się
sączyło.

O ptaszku_cudaszku

- Franka... Cóżeś ręce
opuściła na podolek? Albo i ty,
Magda. Jak mi nie będziecie
pierza darły w porządku, to się
już ani odezwę.

- O... jakaście to niedobra.

Dy całe góry przed nami, a wy
jeszcze swarzycie.

- Cichaj, bo dmuchniesz i
pierze się rozwiewa na boki!

- A wy?

- Ja z kądzielą przy kominie,
z mojego mówienia ani się piórko
nie ruszy.

- No, babusiu... - całując
staruszkę w rękę rzekła Marysia
Drzymalonka - jakże to z tym
ptaszkiem_cudaszkiem?

A Mikołajowa ciągnęła dalej
przerwaną bajkę:

- Więc tedy, trzeba wam
wiedzieć, że ino raz na sto lat
przylatuje do naszego kraju.

- Zmiłujcie się ludzie! Ino

raz na sto lat?

- Juści.

- A do inszych krajów?

- Co mi ta do inszych; ot, nie przerywaj, bo mi zmylisz i potem nie mogę se spomnieć. Ano, przylatuje z końcem wiosny, kiedy głogi w najbujniejszym kwiecie, ściele se piękne gniazdko właśnie na głogowym krzaku, ma się rozumieć, wyszukuje najgęstsze gałęzie i najgorsze kolce. Potem się rozgląda jeszcze w prawo i w lewo, czy broń Boże człowiek nie idzie, i kiedy już wcale bezpiecznie a spokojnie dokoła, wtedy usiada w gniazdku i znosi rubinowe jajeczko.

- O rety... jakie to rubinowe?

- spytała Magda przysłaniając usta ręką, żeby na pierze nie dmuchnąć.

- A to, widzisz, czerwone jak

malina, twarde jak ten kamień, a skroś niego tak wyraźnie wszystko zobaczysz jak bez szkiełko.

- A potem co?

- A potem co?

- Potem se śpiewa bardzo ślicznie z onej uciechy, ale niedługo. Furknie skrzydełkami w górę, ino się coś złocistego mignie, i już ani śladu z ptaszka_cudaszka.

- Jakżeż to?! - z oburzeniem zawołała Marysia. - A jajko tak zostawia samo w gnieździe?

- Już on ta wie, co robi, nie bój się. Południowa godzina

najgoretsza, a gniazdko
prościuteńko do słońca obrócone.
Jajko rozgrzewa się powoli,
każda chwilka jasności mu
dodaje, wreszcie takie blaski
biją od niego przedziwne, że
kto by na ten przykład
przechodził tamtędy w owym
czasie, omdlałby ze samego
strachu. Dokumentnie o
pierwszej, ani na mrugnięcie oka
nie może być mniej ani więcej,
straszny trzask się rozlega,
jajeczko pęka bez pól i wydobywa
się z niego pisklątko - takie
samo złociste jako i matka.
Strzepnie piórka, przeciągnie
nóżki, rozczapirzy skrzydełka,
zaświergoli niczym słowiczek i w
te pędy ku niebu leci - jako i
matka. Za sto lat powróci. Kto
dożyje, doczeka.

- Ej, Mikołajowa, Mikołajowa,
chyba to bajka dla zabawy.
Gdzież by taki ptaszek mógł być
na świecie? - rzekła najstarsza
z dziewcząt, Kasia Jaworkówna, i
zapatrzyła się w ogień.

Staruszka spojrzała na nią z
gniewem.

- Juści; wiadomo, żeś mądrała
jak sam król Salomon, wszystko
wiesz najlepiej. Ino jednego nie
wiesz, że jeszcze twoja matka,
kiej do krów służyła w tym
dworze, to Mikołajowej musiała
słuchać i nieraz porządnie po
plecach oberwała. Dy

czterdzieści lat z nasypką u
pani starościny jestem: tutok
wyrosłam, tum się z Mikołajem

poznała, tum się zestarzała i
tutok chcę wieku dokonać.

- Nie gniewajcie się na mnie,
babusiu - przepraszała pokornie
Kasia - ja ino tak pytam dla
pewności, czy to bajka, czy
prawda?

- Może bajka, może nie bajka -
łagodnie już odparła prządka i
wzruszyła ramionami. - Ja go ta
wcale nie widziałam ani już
pewno nie zobaczę. Ale kto by na
tę porę szczęśliwie nadszedł,
jajko znalazł, a schwycił rażno,
zanim się pisklę wylęgnie...
czegoż wypatrujesz oczy do onej
ciemnicy za oknem, Jaguś? W nocy
go nie uwidzisz, jeszcze do tego
i w zimie.

- Powiadaliście, babusiu... i
nie skończyliście - dopominała
się Marysia.

- Alebym się też to śmiała,
śmiała, gdyby tak na mnie padło
znaleźć to rubinowe jajko! -
wyrwała się Franka Radziszówna i
fuknęła sobie z przepelnionego
serca, aż jej ponad głowę białe,
puchowe motylki wyleciały.

- Darmo se nie rób smaku -
dorzuciła swoje słówko Małgosia
Brylanka - gdyby ino Mikołajowa
mogli tak zrobić, toby i
ptaszka, i jajko, i szybkę z
okna, i gwiazdkę z nieba, i
wszystko, co jest najlepsze na
świecie, złapali a Marysi
podarowali.

- Słusznieś powiedziała; tak
bym zrobiła, a jakże. Wiesz
dlaczego? Bom jest sprawiedliwa.
Kto wstaje o szarym brzasku do
roboty z własnej woli, a nie
trza go za ręce szarpać i z
siennika bez moc wyciągać? Juści
nie żadna z was, ino Marysia.
Kto swoją służbę w cichości,

**pilności, przez nijakiego
zuchwalstwa ani narzekania
odrabia? Kto z czwartej wsi
wynajął się do naszego dworu, coby
ino matusi, biednej wdowie,**

**swoim zarobkiem dopomóc? Kto
przędzie najcienie? Kto ma
najszcześniejszą rękę do kur, do
prosiąt, do wszelakiej gadziny?
Kto...**

**- Aj, babusiu, babusiu! -
zawołała Marysia i znowu
klucznice pocałowała w rękę. -
DY mnie tak nie chwalcie, bo się
do krzty popsuję albo też
przybiorę se do głowy i będę
myśleć, że naprawdę taka dobra.
Ot, lepiej byście powiedzieli,
co ma robić taki, co to jajko
cudownym trafunkiem nalezie?**

**- Juści, najdziesz go ta,
najdziesz, na święty Nigdy... -
szydlerczo mruknęła Ewka
Białoniówna.**

**Ale Mikołajowa, nie zważając
na te żarty, prawila dalej:**

**- Trzeba właśnie natrafić na
ten dzień, na tę godzinę i na
ten głogowy krzaczek, to już
reszta pójdzie jak z płatka.
Jajko porwać i uciekać.**

- A co komu z tego przyjdzie?

**- Szczęście przyjdzie! - z
uroczystą miną wyrzekła
Mikołajowa.**

- Jakże to, babusiu?

**- Ano, kto ma to jajko przy
sobie, zaraz mowę ptaków
rozumie, staje się
niewidzialnym, wszędzie może
wejść niespostrzeżenie, słyszeć,**

co ludzie mówią, niejednej
potrzebnej dla siebie rzeczy się
dowie, niejednego poratuje albo
od złego uchroni; stąd zyskuje
wdzięczność, przyjaźń ludzką,
majątek i wszelkie powodzenie.
Tak, tak; ino polska ziemia
długa i szeroka, po wsiach i na
polach, nad przykopami głogowych
krzaków setki i tysiące,
biegajże o południowej godzinie
i upatruj... Łatwiej zdolisz
igłę wyszukać w kopie siana...
Późno już; poprzykrywajcie
przetaki płachetkami lekuśko i
ustawcie na skrzyni pod ścianą.
Jak się zejdziemy jutro
wieczorem, to wam znowu co
opowiem.

Tak mijały długie zimowe
wieczory: dziewczęta przędły lub
darły pierze, a Mikołajowa
opowiadała im bajki. Aż
przyszedł wielki post, wtedy
naturalnie śpiewano "Gorzkie
żale" i inne smutne pieśni
nabożne. I post się skończył, i
Wielkanoc przeszła, nastaly
roboty w polu i ogrodzie.
Wszystkie dziewczęta pod wodzą
Mikołajowej sadiły ziemniaki,
groch, fasolę, kapustę,
okopywały agrest, a pani
starościna, choć bardzo wiekowa,
nieraz przychodziła patrzeć, jak
się dziewczuchy sprawiają.
Aż tu jednego razu, jakoś w
połowie czerwca to było,
przyszedł karbowy ze Suchej
Wólki od pana chorążego, zięcia
państwa starostów, z listami.

Różne tam były wiadomości, złe i dobre, między innymi donosił pan chorąży, że Piotrowa Drzymalina, matka Marysi, zachorowała śmiertelnie i koniecznie żąda widzieć córkę, zanim umrze. Naturalnie, pani kazała przywołać Marysię i oględnie ją powiadomiwszy o chorobie matki nakazała zbierać się czym prędzej i iść na krótsze drogi do Suchej Wólki.

Z płaczem skoczyła dziewczyna do izby czeladnej, gdzie miała swój kącik przy oknie, dobyła z kufierka uskładane za dwa lata pieniądze - bo się na pewno matusi przydadzą - i popędziła przez sad ku pastwisku, na przelaj do Pomianowa, skąd jeszcze mila opętana polami i lasem dzieliła ją od Wólki. Biegnie, biegnie, aż jej coś w uszach szumi, żeby ino prędzej do domu się dostać; słońce żarem przypieka, nie sposób tak lecieć bez wytchnienia. A tu i jeść się chce bardzo, bo śniadania ani tknęła z onego żalu, więc trzeba odpocząć i pokrzepić się trochę. Usiadła pod krzakiem głogu, co wedle polnej drogi cały różowy od kwiecia bujno się rozpostarł,

dobyła z węzełka chleb z serem i zajadała. Jakaś dziwna otucha zaczęła się budzić w jej sercu.

- Taki dzionek jasny -
szepnęła rozglądając się dokoła
- słoneczko złociste, kwiatków
pełne łąki, zboże okwita na
polach, a matusia najdroższa

mieliby umierać? Nas, biedne sierotki, same ostawić? Nie, nie, wyzdrowieją matusia dziś a jutro; tak mi coś do ucha gada, odkąd jeno usiadła pod tym krzakiem. Oj, nie siedzieć mi, nie wypoczywać, na południe dawno przedzwonili, kiedyż ja do Wólki zajdę, jak tak będę mitrzyć?

Wstała śpiesznie, resztkę chleba do chustki zawija, aż tu niezmierne zdumienie ją ogarnia: biała chuścina cała się rumieni różowo, jakby zafarbowana.

- A to co się stało? -

zawołała Marysia i obejrzała się szukając, skąd takie światło pada. Lecz gdy spojrzała poza siebie, głos jej zakrzepł w gardle i nogi z przerażenia się ugięły... blask nieopisany bił promienisto z wnętrza głogowego krzaka, iskrzyło się, migotało, lśniło; czerwone błyskawice strzelały na wszystkie strony, cały krzak był jednym płomieniem...

- O rety... o matko...

czary... czy co takiego?

Chciała uciekać, ani rusz kroku postąpić; coś ją trzymało na uwięzi, stała jak przykuta. Nagle utkwiała oczy w gęstwinie kolczastych gałązek, a twarz jej rozjaśniła się wielką radością.

- Ludzie... o raj... rubinowe jajeczko.

I pamiętna słów Mikołajowej, że trzeba skarb ten bezcenny porwać, zanim pierwsza wybije, rozgarnęła oburącz poplątane pędy głogu, choć ją kłuły i drapały do krwi, dojrzała gniazdko z mchu i żółtych słomek sklecone... za chwilę cudowne jajko miała w zanadrzu.

Równocześnie minął przestrach i odrętwienie, wesoła, pełna ufności w moc swego talizmanu pomknęła w dalszą drogę.

- Jeszcze ino bez ten lasek przejdę i już Sucha Wólka jak na dłoni! - zawołała zbliżając się do brzozowego zagajnika.

Idzie, idzie, nowe jakieś czary: wiewiórki skaczą swobodnie, gonią się, biegają tuż przy niej, żadna się nie boi, żadna nie ucieka. Marysia wyciągnęła rękę, pogłaskała jedną, dopieróż ta szust na wysoką gałąź jak oparzona. Marysia drugą za ogonek: zapiszczała, jakby ją kto ze skóry obdzierał.

- Niemądre stworzenia... - roześmiała się dziewczyna i zaczęła sobie śpiewać półgłosem. A moje wiewiórki znikły w okamgnieniu, jakby się w ziemię zapadły.

Marysia idzie dalej, ptaszków małych i większych cała gromada rozsiadła się na młodych brzózkach i świergołą, aż się po lesie rozlega.

- Jezusińku... dy ja rozumiem każde słówko.

Przystanąła i słucha.

- Wiesz? Wim. Wiesz? Wim. Wiesz?

Wim. Co wiesz? Coś wim.

Widziałeś? Widziałem.

Widziałeś? Widziałem. Dziw, dziw, dziw, dziw! - ćwirkają wróble.

- Czo_czo_czo_czo? - pyta pokrzewka.

- Kto
chorrrry_chorrrry_chorrrry? -
kracze wrona.
- Ma
doktorrrry_doktorrrry_doktorrrry!
- kracze druga.
- Piotrrrrrowa
chorrrra_chorrrra_chorrrra! -
kracze trzecia.
- Będzie
zdrrrrowa_zdrrrrowa_zdrrrrowa! -
kracze czwarta.
- Pić_by_jej_dać...
pić_by_jej_dać! - doradza

przepiórka.
- Czo_czo_czo_czo? - pyta
pokrzewka.
- Deszcz_deszcz_deszcz -
odzywa się dudek.
- Gdzie? Gdzie? Gdzie? -
drwią z niego wróble, a i Marysi
dziwno: spogląda w górę, niebo
śliczne, szafirowe, ani jednej
chmurki. Ale dudek nie daje się
wróblom zagłuszyć i swoje
powtarza:
- Deszcz_zbierz, deszcz_zbierz!
- W nowy garrrr, nowy garrrr!
- kracze wrona.
A przepiórka trzepie
skrzydełkami i jak się nie
rozgada:
- Pić_by_jej_dać,
pić_by_jej_dać, do_sa_du_iść,
sta_wiść_pod_liść, pod_wiśni_liść.
Wrona jej przerywa:
- Nowy garrrr! Nowy garrrr!
- I będzie dość! - zapewnia
przepiórka; namyśla się, a po
chwili dodaje: - Jeszcze by dać!
jeszcze by dać...

- Czo_czo_czo_czo? - pyta
pokrzewka.

- Cu_kruuu, cu_kruuu... -
wpada im w mowę synogarlica.

- Ile by dać? Ile by dać? Pięć
pono... Pięć pono? - radzi się
przepiórka sikory, a sikora
przytakuje:

- Pięć, pięć, pięć!

Wrony kraczą:

- Nowy garrrrr_garrrr_garrrrr...

- Sstaw na

żarrrrr_żarrrrr_żarrrrr...

- Ma być warrrrr_warrrrr_warrrrr!

- Czterrrrry warrrrry, czterrrrry
warrrrry, czterrrrry warrrrry! -
kraczą wszystkie naraz.

A wilga przeskakuje z gałązki
na gałązkę i gwizda sobie z
cicha; dudek przyfrunął ku niej.

- Deszcz? Deszcz? - pyta
ciekawie.

- Fiju_fiju dziś, fiju_fiju
dziś!

- Dziś_dziś_dziś_dziś! -
zdumiewają się wróble.

- Kuku - kuku - kuku -
zapewnia kukułka.

- Co? O trzeciej? - zawołała
Marysia, jakby i ona do tej
narady ptasiej należała.

Frrrrrrrrrrr! - załomotało w
powietrzu... wrony, przepiórki,
wilgi, wróble, synogarlice,
sikory, wszystko ptactwo wzbilo
się spłoszone w górę, tylko
jedna kukułka została gdzieś w
ukryciu i powtórzyła swoje
kukanie, jakby dla lepszej
pamięci.

- Zawsze to, co człowiek, to

nie ptaszek - rzekła do siebie
Marysia. - Gadają jak najęte,
doradziły mi lekarstwo na
matusią chorobę, a skoro się
ino raz do nich odezwałam,
pouciekały jak niepyszne. No,
ale teraz czym prędeż w drogę;
zabawiłam się długo, nie wiem,
która godzina, muszę dolecieć do
chałupy, zanim deszcz zacznie
padać. Oj, Boże, Boże... a jak
nowego garnuszka nie będzie w
domu? Oho, Kanciak idzie
drogą... Muszę go dogonić; dy to
najbliższy nasz sąsiad, powie
mi, co słyhać.

- Hej, gospodarzu, gospodarzu!
Przystańcie ino, jakże tam z
moją matusią? Nie lepiej? Zawdy
jednak chora?

Zatrzymał się Kanciak i
odwrócił głowę, by zobaczyć, kto
go woła. Przestrach odmalował
się na jego twarzy, przeżegnał
się, potem splunął trzy razy, i
w nogi.

- Owariował, czy co?
Gospodarzu, gospodarzu, Walenty!
Nie uciekajcie! To ja, Marysia
Drzymalanka!

- Juści, omamie diabelski,
będę na cię czekał... bodajeś
się w smole rozplynęła! -
wrzasnął chłop i dymał do
chałupy, co ino sił miał w
nogach.

Na bocznej ścieżce, od strony
pola, ukazały się dwie znajome
dziewczyny.

- Kasiu... Wikta! Co tam
słyhać z moją matusią? Aleście
też urosły, urosły bez te dwa

roki... Święty Jantoni cudowny!
Cóżem ja to zapowietrzona, czy
co? I one uciekają ode mnie! A
możem się gdzie posmolila
niechcący i wyglądam jak
czarownica... nastraszyły się i
biegną, ani się która obejrzy.
Trza się umyć w stawie, bo
kiedym taka szkaradna, toby się
i matusia mogli przelęknąć.

Skoczyła na dół do stawku,
gdzie co dzień pojono bydło
wiejskie, i pochyliła się nad
wodą, by zobaczyć, czym się tak
zeszpeciła.

- Matko Boska... Nie ma mnie
na tym świecie. Ino chusteczka
na węzeł związana odbija się w
wodzie, a więcej nic.

Przełożyła węzełek z prawej
ręki do lewej, to samo zjawisko:
chusteczka się odbija, ale sama
w powietrzu, nie widać
trzymającej ją ręki.

- Co ja pocznę, nieszczęśliwa!
Jakoż będę gadać do matusi,
kiedym niewidzialna... Nie...
wi... dzial... na... - powtórzyła
powoli w zamyśleniu. - Cosik to
Mikołajowa powiadali... "Mowę
ptaków będzie rozumiał, staje
się niewidzialnym, wszędzie może
wejść niespostrzeżenie..."

Uderzyła się ręką w czoło.

- Aha! To dlatego wiewiórki
nie uciekały przede mną i
ptaszki się mnie nie bały, pókim
do nich nie zagadała. Dlatego
Kanciak, Wikta, Kasia... cha,
cha, cha... a to ci robota
dopiero. Trzeba to jakoś
odmienić, boby jeszcze matusia
zemdleli ze strachu.

Wyjęła jajko z zanadrza,
zawinęła je szczelnie do
chuściny, gdzie miała resztę

chleba od śniadania, związała na
cztery węzłki i spokojna, że
zdjęła już czar z siebie,
dopędziła uciekające dziewczuchy.
Przywitała się z nimi serdecznie
i wytłumaczyła, że schowana za
lipą wołała na nie, a one jej
nie spostrzegły i nie wiedzieć
czego się przelekły.

Podniosła oczy w górę; aż tu
niebo, tak przed godziną pogodne
i czyste, zaciągnęło się
brzydkimi, szarymi chmurami.
Tylko co nie widać, a deszcz
lunie.

"Prawdę mówiła wilga -
pomyślała Marysia. - Kukułka też
dokładnie wyrachowała, musi
już być wedle trzeciej".

Przyspiesza kroku, jak może,
już ino Kanciaków obejście minąć
i zaraz chałupa Drzymaliny. A
przed sienią stoi wędrowny
kramarz, Słowak, z pełnym koszem
plecionym wszelakiego naczynia.

- Rondelki! Garnuszki!
Dzbanuszki! Ryneczki! - zachwala
swój towar.

Podskoczyła Marysia z wielkim
uradowaniem i biały garnuszek w
niebieskie kwiatki kupiła. W te
pędy znowu do izby, gdzie
matusia biedactwo jakby na pół
umarła leżała. Skrzepiła się
odrobinę na widok ukochanej
Marysi, a gdy ta uklękła przy
jej łóżku i zapewniła, że
niezawodne lekarstwo przyniosła
na jej chorobę, aż Piotrowej
oczy zajaśniały z uciechy.

- Czekaścież tu spokojnie,

matusiu - rzekła dziewczyna -
deszcz zaczyna kropić, wyrzę
ino na chwilkę do sadu, bo mi
tam coś pilno potrzeba zbierać
dla was, i zaraz wracam.

Pobiegła między wiśnie,
nastawiła garnuszek pod liście,
a że lało jak z cebra, więc za
kilka minut z kwaterkę
zbierała. Dalejże po trzaski
do szopy, roznieciła ogień w
piecu, wodę cztery razy
zagotowała, posłodziła pięcioma
kawałkami cukru i wystudziwszy
dała wypić matce.

- Oj, żebyż to usnąć choć na
dwie godziny! - jęczała
Piotrowa. - Od tygodnia oka
zmrużyć nie mogę. Raz mnie zimno
chwyta lodowate, to znów ogień
się bez żyły przelewa,
niespokojność taka, że się ino z
boku na bok przerzucam, a

kościska bolą...

- Pijcie, pijcie raźniutko,
matusiu złocista; wszystko złe
minie, a zdrowie powróci,
zobaczycie.

Widząc taką ufność Marysi
uwierzyła i Piotrowa; wypila co
do kropelki lekarstwo przez
pocziwe ptaszki przepisane.

Dreszcze ustąpiły jak ręką
odjął, oczy coś przymykało siłą
mocną, że ani rusz otworzyć.
Zmorzona, niczym po stuletnim
winie, zasnęła twardo. Spała tak
aż do drugiego wieczora, a
Marysia czuwała przy niej
ciągle, ino od czasu do czasu
czoła dotykając, czy nie gorące,

**i nasłuchując, czy wolno
oddycha. Obudziła się wreszcie
po dwudziestu czterech
godzinach zdrowiuteńka jak rybka.**

**Ludzie z całej wsi schodzili
się oglądać Piotrową, bo jeszcze
wczoraj wiadomo wszystkim było,
że lada chwila skona. A tu dziś
krząta się po izbie, w piecu
przegarnia, ziemniaki nastawia,
a "Kto się w opiekę" półgłosem
sobie śpiewa. Ten i ów pytał
Marysi, co za proszki czy ziółka
od pani starościny przyniosła; a
gdy opowiedziała szczerze, jako
przegotowaną wodą z cukrem
uleczyła Matusię, nałajali ją,
co się wlaźło, a stara Huśnikowa
wykuksała ją porządnie, że to
starszych ludzi nie szanuje i
drwinkami ich zbywa. Dziewczyna
zniosła wszystko w milczeniu,
niech se ta myślą, co chcą, a
matusia i tak pozdrowieli.**

**Nacieszyły się obie coś ze
cztery dni. Marysia oddała matce
uskładane przez dwa lata
pieniądze, żeby na przednówek
nie potrzebowała się pracą
zameczać; ucałowały się,
upłakały i trzeba było wracać do
służby. O rubinowym jajku nie
wspomniała, bo jej coś nie dało
mówić, wyraźnie jakaś
niewidzialna ręka usta jej
zamykała. Poszła tedy z powrotem
tą samą drogą ku lasowi, a**

**strach ją zbiera, żeby jej jaki
pijak albo, co gorsza, zbój nie
napadł, a z przyodziewy i
koralików nie obdarł. Pacierz**

tedy odmawia jeden za drugim, na
słońce pogląda, bo się już
dobrze ku ziemi chyli, a tu ze
trzy godziny drogi przed nią.
Minęła pierwsze krzaki, w las
się zagłębia, patrzy, dwóch
ludzi o dziesięć kroków przed
nią ścieżką idzie, a każdy
ciężki wór na plecach dźwiga.
Usunęła się trochę w bok,
cichutko nogi stawia i
przypatruje im się. Bardzo
brzydkie mieli twarze i jakąś
dziwną chytrą w oczach. Strach
ogarnął serce Marysi, nogi
zadrżały, a tu jak na złość
wstąpiła na suchą gałąź. Krak...
jeden z ludzi obejrzał się.

- A ty co tu robisz w lesie,
dziewko zatracona! - wrzasnął.
Złożył wór na ziemi i tylko ręką
dał znak towarzyszowi, żeby stał
i pilnował, a sam rzucił się za
Marysią. Pomknęła kręto między
drzewa kierując się ku wsi, bo
na otwartym polu lepiej uciekać
i ludzi łatwiej spotkać, to
obronią. Biegnie, spódniczkę o
kolce tarniny zaczepia, potyka
się na sterczących korzeniach,
liście śliskie spod nóg się
usuwiają, gałązki po oczach biją,
serce zamiera, a straszny
człowiek coraz to bliżej.

Dobyla ostatnich sił, na pole
się wydostała, ku drodze
zmierza, ale do wsi jeszcze
dobry kawał, a zbój goni i goni.

"Matko Jezusowa... Dy ja mam
jajeczko".

I choć ręce się trzęsą, choć
palce jak lód zimne, ale i tak
rozwiązała chusteczkę, chwyciła
jajko i myk pod gorser za
koszulę. Przysiadła na środku
drogi i ciężko oddycha, bo się
bardzo zmęczyła i strachu

**nałykała. A chłop wielki, niczym
Waligóra z bajki, z oczyma krwią
nabiegłymi, pędzi prosto na nią.
Ani mu nawet dziwno, gdzie się**

**podziała, mało co widzi z onej
wściekłości. Zaczepił nogą o jej
nogę, ryms... i padł jak długi
na ziemię.**

**To go otrzeźwiło. Wstał
powoli, klnąc na czym świat
stoi, patrzy przed siebie, nie
ma nikogo; patrzy w lewo, w
pravo, ogląda się w tył, rozstap
się, ziemio... gdzież ta
dziewczyna? Postał krótko,
rozejrzał się jeszcze na
wszystkie strony, zaklął w
tysiące diabłów i do lasu
zawrócił.**

**A Marysia, spokojna i
bezpieczna jak w izbie przy
matusi, idzie za nim powoli i
śmieje się w duchu.**

**Gdy doszedł do swego
towarzysza, opowiedział mu całe
zdarzenie, jak już rękę
wyciągał, niemal za warkocze
chwycił i nagle znikła mu przed
samym nosem, a on się potknął o
kamień, upadł i porządnie się
potłukł.**

**- A, bo to pewnikiem była
dziwożona - rzekł tamten po
namyśle. - Teraz, wedle świętego
Jana, to się tego uwija po
lasach na setki. Żebyś nie był
taki skory a zawzięty,
zobaczyłbyś, że i tutaj zarówno
by się była w ziemię zapadła.
Ino drogiego czasu
namitrzyliśmy bez ten omam.**

- Chi, chi, chi... - zaśmiało się coś zza drzewa.

Skoczyli obaj z pałkami; ani ptaszka w pobliżu, a nie dopiero człowieka.

- A co... nie mówiłem? Leśna panna, i tyle.

- A nie zdradzi?

- Ij... co byś się bał - odparł tamten. - Dokazywać po lesie, podróżnego na moczary sprowadzić, błędnymi ognikami mamić, to ich zabawa; do czego inszego ony głupie, a na ludzkich sprawach wcale się nie rozumieją.

- Ano, to wory na plecy i w drogę.

I poszli, a Marysia za nimi.

- Kiejby nas ino starościńscy nie przyłapali, bo to już pewno od wczoraj biegają po wsiach jak wyżły i szukają.

- Albo nam to pierwszyczna? Nie mamy się czego bać; gdzie duża banda, dziesięciu, dwudziestu, tam gorzej i niebezpieczno; bo nie ten, to ów po pijanemu się wygada albo ze złości drugiego wyda. Ale nas ino dwóch, cicho się sprawiamy, grosz do grosza zbieramy, złote graty Szłoma w podmiechowskiej karczynie na sprawiedliwe talary wymienia, jak się uskłada tyle, co trzeba, kupimy se wieś jedną, drugą, będziemy panowali i kto nam wtedy powie, żeśmy złodzieje.

- Złodzieje! - szepnęła Marysia załamując ręce.

- No, teraz bacność. Trza

jeszcze raz obejrzyć każdy
krzaczek, czy gdzie jaki pastuch
albo małe dziecko nie siedzi.

Zrzucili z ramion wory na
ziemię i chodzili po lesie
patrzając, czy się w pobliżu
człowiek jaki nie schował.
Marysia krok w krok za nimi.

- Tak coś idzie, idzie,
idzie... równo z nami - rzekł
młodszy złodziej.
- Juści; przed godziną ci się
zwidywało, a teraz ci się
przysłuchuje - z gniewem odparł
starszy.

- A ty nic nie słyszysz?
- Co bym nie miał słyszeć? Już
z godzinę chodzi za nami; ale se
z tego nic nie robię, bo wiem,
że to ta sama dziwożona, co się
z tobą goniła jak z głupim.

Wrócili do swoich tłumoków,
rozsunęli gałęzie jałowcowych
krzaków, co dużą kępą w tym
miejscu rosły; ukazał się płaski
czarny kamień. Podważyli go
grubymi pałkami i odstawili na
bok. Marysia stojąca obok
ujrzała otwór w ziemi jak do
piwnicy. Jeden złodziej zeszedł
na dół, drugi zaś wyjmował z
worów złote kubki, talerze i

półmiski srebrne, parę sznurów
perel, złote łańcuchy i
przeróżne jeszcze klejnoty, a
tamten układał wszystko w
drewnianych skrzyniach. Potem
przesunęli kamień na swoje
miejscie, zamknęli piwnicę, gęste
gałęzie poplątali na powrót, tak
że ani znaku nie było, by je kto

ruszał przed chwilą.

- Teraz trzeba się schować
choć na jaki miesiąc, bo
powietrze w tych stronach
niezdrowe dla nas - zaśmiał się
starszy złodziej.

- Chyba u Kulawego Wojtka na
Świńskiej Krzywdzie, co?

- A pewno: jemu ino dobrze
zapłacić, to trzyma język za
zębami.

Poszli ku miastu śmiejąc się i
gwizdząc, a Marysia zdjęła
czerwoną chustkę z głowy, urwała
z niej strzępek, przetargała na
dwoje i tuż przy jałowcowych
krzakach, gdzie rzeczy były
schowane, związała nieznacznie
gałązki brzoźek dla pamięci. Po
czym z wielkim pośpiechem
puściła się w dalszą drogę do
Wielopola, wsi pani starościny.
Zaszła szczęśliwie, a gdy dzięki
rubinowemu jajku biegła
niewidzialna przez podwórze,
zobaczyła cztery dziewczuchy, z
którymi w jednej izbie
mieszkała, idące ze skopcami do
doju. Wśliznęła się do piekarni,
gdzie żywego ducha nie zastała,
stamtąd do izby czeladnej
przewdziać się z drogi w
codzienne ubranie i skarb swój
najdroższy schować na dno
kuferka.

Stała pod oknem, wyjęła z
zanadrza jajko i aż je
pocałowała z wielkiej
wdzięczności. Toż ozdrowienie
matusi było jego dziełem, ono ją
strzegło i broniło w drodze,
kochane rubinowe jajeczko.

Ognisty blask zalał całą izbę,
a równocześnie dał się słyszeć z
podwórza krzyk Mikołajowej:

- Ludzie ratujcie. Wody...

wody! gore!

- Matko Boska... cóżem ja najlepszego zrobiła! - zawołała Marysia chowając znowu jajko za gorset. W tejże chwili stara klucznica wpadła do izby i stanęła jak wryta.

- Cóż to za diabelskie pokusy. Ciemno, choć oko wykol, cicho, nikogo nie ma, a tylko co jarzyło się jak w piekle i wyraźnie bez okno dziewczynę jakąś widziałam.

Skrzesła ognia, zaświeciła świeczkę łojową i tak niespodziewanie podbiegła w stronę Marysi, że ta stojąc przy swoim łóżku w kącie nie mogła się wymknąć ani na bok uskoczyć i mimo woli krzyknęła:

- No, babusiu! Bo mi oczy płomieniem wypalicie!

- A Słowo stało się Miałem... gdzieś ty?

- Toli stoję przed wami. - I pocałowała Mikołajową w rękę.

- Święta Salomejo patronko... nie dawaj mnie w moc diabelską!

Marysia wyjęła jajko z zanadrza i wcisnęła pod siennik.

- O moiściewy złoci, kochani - rzekła pokornie - już się też na mnie nie gniewajcie. Z wielkiego strachu na śmierć zapomniałam, że mnie nie możecie widzieć.

- Cóż ty bajesz, Maryna? Czy i ciebie obłąd się chyta?

- Zgaście świecę, babusiu; po ciemku wam coś powiem.

Mikołajowa tak była zdumiona, że usłuchała. A Marysia objęła ją za szyję i szepnęła do ucha:

- Znalazłam jajko
ptaszka_cudaszka...
- Nie może to być żadnym
sposobem... chyba ci się w
głowie pomieszało... gdzież by
tak wielkie szczęście.
- A czegoż w izbie czerwone
ognie jaśniały, ażeście "gore"
krzyczeli? A czemuście mnie
nie widzieli, choć stałam tuż
przy was?
- Gadajże, gadaj powoli, za
porządkiem, bo mi się widzi, że

to wszystko nieprawda, sen albo
omam.

I Marysia wszystko Mikołajowej
szczegółowo rozpowiedziała. Gdy
doszła do swego spotkania ze
złodziejami, staruszka załamała
ręce.

- A wiesz ty, córuś, że to
przedwczoraj dwór w Pomianowie
okradziono? Państwo wyjechali na
wesele brata do Przemyśla, a
złodzieje skorzystali z tego i
do cna, co ino mogli, zrabowali.
Trafiłabyś ty do tego miejsca?

- A jakże. I gdyby kto
wiedział, gdzie Świńska Krzywda,
toby ich przyłapał u Kulawego
Wojtka, bo tam będą siedzieć
schowani bez kilka tygodni; tak
sobie umyślili.

- Kto by wiedział? Dy ja sama
znam ten przysiółek pod
Krakowem. A Kulawy Wojtek
karczmę przy drodze trzyma. Dziś
jeszcze powiem wszystko panu
staroście, a co on postanowi, to
pewnikiem będzie najlepiej.
Pokażże mi ono jajeczko, Maryś,

**pokaż. Niech jeden raz w życiu
zobaczę, jak szczęście wygląda.**

**Marysia odchyliła rożek
siennika, żeby znowu zbyt
blask ludzi do izby nie
sprowadził.**

**- O mój Boże... nieraz mi po
głowie chodziło - rzekła
Mikołajowa - że wszystkie bajki,
co ich się człowiek nasłuchał i
sam naopowiadał, to... ino
ludzkie wymysły. Ot, pokazało
się teraz, że wszystko się
zdarza na świecie. Schowaj,
schowaj, zawiń w czystą
szmacinę, a wraz na samo dno
skrzynki, a nie pokazuj nikomu,
a nie wspominaj nigdy, a nie
zgub, a nie stłucz, a szanuj, a
pilnuj, toć to błogosławieństwo
Boże za twoje dobre serce i za
twoją poczciwość.**

**Poszła Mikołajowa do państwa i
nie wspominając ani słowem o
rubinowym jajku opowiedziała im
przygodę Marysi w pomianowskim
lesie; jak schowana w gęstych**

**krzakach widziała złodziei
niosących skradzione
kosztowności i wie, gdzie je
ukryli.**

**Nazajutrz rano pan starosta
kazał zaprząć do karocy, wziął
ze sobą Marysię, kilku ludzi
konnych i pojechali do lasu. Na
wskazanym przez dziewczynę
miejscu znaleziono wszystko, jak
opowiedziała, odwalono kamień, a
w głębokiej jamie, oprócz świeżo
zrabowanych sreber i klejnotów,
stały dwie skrzynie**

pełnusięńkie talarów, zapewne
od kilkunastu lat już składanych
przez rzezimieszków. Pieniądze
odwieziono do Krakowa i złożono
w sądzie, a pan starosta
wyprawił mały oddział ceklarzy *
do karczmy Kulawego Wojtka na
Świńskiej Krzywdzie. Spadli
niespodziewanie nocą i pojмали
śpiących złodziei bez kłopotu.
Nim się rozbudzili, już mieli
kajdany na rękach.

Ceklarz - pacholek miejski do
chwywania i chłostania
przestępców.

- A widzisz, a widzisz -
narzekał młodszy złodziej -
gadałeś, że dziwożony głupie, a
ony dobry rozum mają,
przynajmniej ta jedna, co nas
tak po lesie tropiła, mądra była
aż hej. Gdybym ją był złapał,
udusiłbym niczym wróbla.

- Aleś nie złapał - ze złością
odparł drugi. - Bodaj ją wicher
na sto łokci podniósł i o skałę
gruchnął... czarownicę
przemierzył.

Sąd kazał ogłosić po
okolicznych wsiach i
miasteczkach, by każdy, co w
przeciągu lat dziesięciu był
okradziony lub obrabowany,
stawił się do grodu i albo
złożył dowody, albo
przyprowadził wiarygodnych
świadców, że prawdę mówi.
Ponieważ złodzieje wymieniali
przez długi czas zdobycz swoją
na pieniądze, przeto owe
skrzynie z talarami miały pójść

do podziału między
pokrzywdzonych.

Marysia wróciła z leśnej
wyprawy do dworu i wzięła się
zaraz do roboty, by wynagrodzić
czas stracony. Jednakże mimo tak
niespodziewanych a pomyślnych
wydarzeń, mimo zupełnego
wyzdrowienia matusi, wcale się
nie czuła szczęśliwa. Żal jakiś
dziwny i niepokój zakradł się do
jej serca. Rubinowe jajko leżało
schowane na samym dnie
skrzynki, a godziny takiej w
dniu nie było, żeby o nim nie
myślała. Ciągle jej stał w
oczach rozkwitły krzak głógowy i
maleńkie, puste gniazdko
obrócone do słońca.

Aż w trzy czy cztery dni po
powrocie ze Suchej Wólki, nie
mogąc znieść wyrzutów sumienia,
że ptaszka_cudaszka tak
skrzywdziła, poszła z płaczem do
Mikołajowej i prosiła, żeby jej
pozwoliła jeszcze raz pójść do
matusi, choćby tylko na jeden
dzień. Klucznica zgodziła się
chętnie, bo strasznie dziewczynę
lubiła.

I znowu gorącą południową
godziną biegła Marysia co ino
sił do głógowego krzaka.
Znalazła gniazdko ze mchu i
żółtej słomy, zwrócone ku
słońcu. Ostrożnie i delikatnie
ułożyła w nim rubinowe jajeczko,
splotła ręce jak do pacierza i
utkwiała oczy w czerwonych
promieniach. Długo tak stała
zapatrzona i czekała.

- O Boże, Boże... już pewno
pierwsza: na darmo się
cieszyłam, na darmo biegłam, już
się ptaszek nie wylęgnie.

Poprawiła chusteczkę i
zawróciła się ku Suchej Wólce.

- Niech przynajmniej matusię
choć na godzinkę zobaczę.

Wtem trzask donośny rozległ
się nad samym jej uchem...
Ogląda się, jajko przelupane na
dwoje, a na gałązce siedzi
ptaszek złocisty, skrzydełka
przeciąga, dzióbkiem piórka

wygląda, miluchno ku Marysi
główkę przechyla. Ani słowik nie
zdoli śpiewać tak ślicznie,
jako zaśpiewał maleńki
ptaszek_cudaszek. Kto raz w
życiu posłyszał takie śpiewanie,
do śmierci go nie zapomni.

Marysia stała zapatrzona,
zasłuchana, a ptaszek śpiewał.

Potem zatrzepotał
skrzydełkami, przefrunął tuż_tuż
nad jej głową, musnął ją
dzióbkiem po buzi, jakby
dziękował za wypuszczenie z
niewoli, wzbił się w jednym
okamgnieniu ku niebu i zniknął w
obłokach.

* * *

Do chaty Piotrowej Drzymaliny
płynęło szczęście oknami i
drzwiami: urodzaje w polu co rok
niebywałe, kury niosły jaja omal
że nie po dwa dziennie, pierza
miała od gęsi dziesięć razy
więcej niż inne gospodynie, w
stajni rodziły się same
cieliczki, które podchowawszy
sprzedawała za drogie pieniądze.
Wreszcie, co najważniejsze, sąd
przyznał Marysi z odebranych
złodziejom skarbów trzy tysiące
talarów znaleźnego.

Pokłoniła się do ziemi panu

staroście i pani staroście,
podziękowała za dobrą służbę,
Mikołajową pocałowała w kolana i
powróciła na zawsze do
najdroższej matusi. Żyły sobie w
dostatku i dobrym zdrowiu, a
stary Kanciak, najbliższy
sąsiad, raz wraz do nich
zaglądał, bo mu się dziewczyna
strasznie udała, jako właśnie
synowej pilno szukał.

Że zaś Kanciaków Bartek
Drzymalinie także się bardzo
udał, że Marysia udała się Bart-
kowi, a Bartek Marysi, tedy nie
było innej rady, tylko sprawić
wesele.

Na tym weselu wieś cała przez
tydzień strasznie hulala. Ach,
jedli też to i pili, na
odpoczynek tańczyli, a gdy się
tańcem zmęczyli, na nowo jedli i

pili.